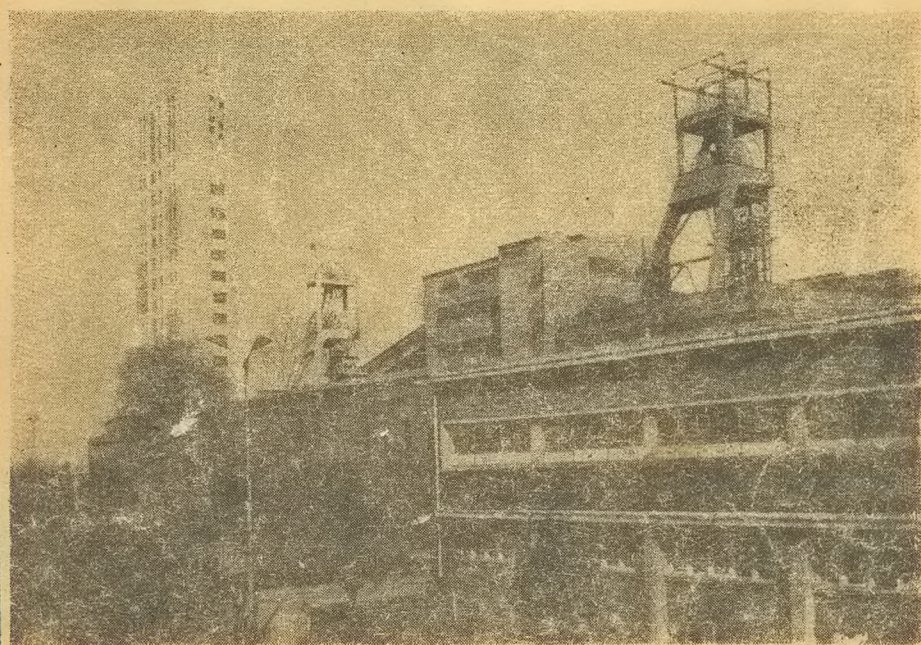


KALENDARZ GÓRNICZY



KOPALNI
„ZIEMOWIT”
NA ROK 1985

Kalendarz **GÖRNICZY**

1985

*Kopalni
Ziemowit*



Kolegium Redakcyjne:

Bolesław Gajda, Alojzy Lysko, Józef Mądry,
Jan Raszka, Henryk Smyczek, Jan Wyżgoł

Zespół Autorski:

Józef Bednarowski, Rafał Bula, Tadeusz Niechciał, Alojzy Lysko,
Jan Pasierbek, Sylwia Plucińska, Ewa Swiżewska

Opracowanie graficzne:

Edward Tomenko, Norbert Tomala, Czesław Słosarczyk

Zdjęcia:

Krystyna Czembor
Marian Jamrozy

Drzeworyty:

Jan Wałach
Paweł Steller
Jadwiga Smykowska
Adolf Drobik
Edward Biszorski

Redakcja techniczna:

Timios Kiechajás
Józef Bednarowski

Wydawca: Kopalnia Węgla Kamiennego „Ziemowit”
w Tychach-Lędzinach

Druk: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza, Cieszyn, ul. Pokoju 1.

Nakład 6.000 egz. Zam. nr 863-K-84. U-14.

Cena zł 120.—



W NOWYM 1985 ROKU WSZYSTKIM PRACOWNIKOM
KOPALNI I CZŁONKOM ICH RODZIN — SKŁADAMY TRA-
DYCYJNE ŻYCZENIA ZDROWIA, ZADOWOLENIA W PRACY,
SZCZĘCIA RODZINNEGO I WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI
W ŻYCIU OSOBISTYM



Słowo od Redakcji

Drugie wydanie Kalendarza Górniczego skłania do kilku miłych refleksji. Rozpoczynając pracę nad jego pierwszą edycją mieliśmy cichą nadzieję, że zostanie on przyjęty przez załogę kopalni życzliwie. Nie sądziłiśmy jednak, iż spotka się z tak dużym zainteresowaniem odbiorców. Świadczyło o tym nie tylko szybkie wyczerpanie się 10-tysięcznego nakładu, ale i liczne, na ogół ciepłe, opinie i uwagi kierowane do wydawcy i redakcji.

Ten udany debiut naszego kalendarza zachęcił wydawcę do kontynuowania przedsięwzięcia. Pragniemy, aby i w niniejszej pozycji każdy czytelnik znalazł coś ciekawego i pouczającego.

Spodziewamy się, że i ten rocznik zawierający sporo interesującego materiału faktograficznego, związanego z kopalnią i ziemią tyską, spotka się z nie mniej życzliwym przyjęciem niż poprzedni.



STYCZEŃ



- 1 W Nowy Rok, Mieczysława
2 Ś Izydora, Makarego
3 C Danuty, Genowefy
4 P Tytusa, Eugeniusza
5 S Edwarda, Szymona

21. I. — Słońce
wchodzi w znak
Wodnika

6 N Kacpra, Melchiora, Baltazara

- 7 P Izydora, Lucjana
8 W Mściława, Seweryna
9 Ś Marcelina, Marcjanny
10 C Jana, Wilhelma
11 P Honoraty, Matyldy
12 S Arkadiusza, Benedykta

13 N Bogumiła, Weroniki

- 14 P Feliksa, Hilarego
15 W Domośława, Remigiusza
16 Ś Marcelego, Włodzimierza
17 C Antoniego, Rościława
18 P Małgorzaty, Piotra
19 S Henryka, Mariusza

20 N Fabiana, Sebastiana

- 21 P Agnieszki, Jarosława
22 W Anastazego, Wincentego
23 Ś Ildelfonsa, Rajmunda
24 C Felicji, Tymoteusza
25 P Miłosza, Pawła
26 S Pauli, Polikarpa

27 N Jana, Chryzostoma

- 28 P Radomira, Walerego
29 W Juliana, Zdzisława
30 Ś Macieja, Martyny
31 C Jana, Marcelli

- Nowy Rok pogodny — zbiór będzie dogodny
- Trzej Królowie pod szopą — przybyło dnia na kurzą stopę
- Fabian i Sebastian pierwsi drzewa budzą, ale często łudzą
- Agnieszka łaskawa puszcza skowronka z rękawa
- Na święty Tymeus kup se capke, nie kapelus
- Kiedy styczeń najostrzejszy — wtedy roczek najpłodniejszy



LUTY



1 P Brygidy, Ignacego
2 S Marii, Mirosława

3 N Błażeja, Hipolita

4 P Andrzeja, Weroniki
5 W Adelajdy, Agaty
6 S Bohdana, Doroty
7 C Ryszarda, Teodozji
8 P Jana, Piotra
9 S Apolonii, Cyryla

10 N Jacka, Scholastyki

11 P Dezyderiusza, Lucjana
12 W Eulalii, Modesta
13 S Grzegorza, Katarzyny
14 C Walentego, Zenona
15 P Faustyny, Jowity
16 S Danuty, Julianny

17 N Donata, Sylwina

18 P Klaudiusza, Konstancji
19 W Konrada, Mansweta
20* S Leona, Ludomiła **POPIELC**
21 C Eleonory, Fortunata
22 P Marty, Małgorzaty
23 S Damiana, Romany

24 N Bogusza, Macieja

25 P Cezarego, Wiktora
26 W Aleksandra, Mirosława
27 S Dionizego, Gabriela
28 C Makarego, Teofila

21. II. — Słońce
wchodzi w znak
Ryby

- *Spyta się luty — masz-li buty?*
- *Na Gromnicę masz zimy połowicę*
- *Na dzień świętej Doroty ma być śniegu pod płoty*
- *Scholastyka mróz utyka*
- *Gdy na święty Walek deszcze — mrozy wrócą jeszcze*
- *Lepsza na Konrada głodnych wilków gromada, niżli chłop w koszuli*



MARZEC



- 1 P Albina, Donata
2 S Heleny, Radosława

21. III. — Słońce
wchodzi w znak
Barana

3 N Kunegundy, Tycjana

- 4 P Kazimierza, Łucji
5 W Euzebiusza, Wacława
6 S Róży, Wiktora
7 C Pawła, Tomasza
8 P Beaty, Jana
9 S Cyryla, Metodego

10 N Cypriana, Marcelego

- 11 P Aleksandra, Konstantego
12 W Bernarda, Grzegorza
13 S Bożeny, Krystyny
14 C Leona, Matyldy
15 P Klemensa, Longina
16 S Hilarego, Izabeli

17 N Gertrudy, Zbigniewa

- 18 P Cyryla, Edwarda
19 W Józefa, Teodora
20 S Eufemii, Klaudii
21 C Benedykta, Lubomira
22 P Bogusława, Katarzyny
23 S Feliksa, Pelagii

24 N Gabriela, Marka

- 25 P Marii, Wienčystawa
26 W Ludgardy, Teodora
27 S Ernesta, Lidii
28 C Anieli, Sykstusa
29 P Eustachego
30 S Amelii, Jana

31 N Balbiny, Kornelii

• Skoro przyjdzie marzec — nie
wytrzyma starzec

• Kiedy w marcu grzmoty, to
w maju śniegi

• W popielcową środę jak deszcz
z góry pada — trzecia kopka w polu
chłopu przepada

• Gdy na święty Józef bociek
przybędzie, to już śniegu nie będzie

• Na Zwiastowanie zlatują się bo-
cianie



KWIECIEŃ



- 1 P Grażyny, Teodory
- 2 W Franciszka, Władysława
- 3 S Ryszarda, Teodozji
- 4 C Ambrożego, Izydora
- 5 P Ireny, Wincentego
- 6 S Celestyna, Wilhelma

7 N Wielkanoc, Brandana

- 8 P Januarego Sykstusa
- 9 W Marcelego, Marii
- 10 S Apolinarego, Makarego
- 11 C Leona
- 12 P Juliusza, Zenona
- 13 S Eufemii, Przemysława

14 N Justyny, Waleriana

- 15 P Anastazji, Bazylego
- 16 W Benedykta, Julii
- 17 S Roberta, Rudolfa
- 18 C Apoloniusza, Bogusławy
- 19 P Adolfa, Tymona
- 20 S Agnieszki, Czesława

21 N Anzelma, Feliksa

- 22 P Leona, Łukasza
- 23 W Jerzego, Wojciecha
- 24 S Fidelisa, Grzegorza
- 25 C Jarosława, Marka
- 26 P Marceliny, Marzeny
- 27 S Teofila, Zyty

28 N Walerii, Witalisa

- 29 P Piotra, Roberta
- 30 W Katarzyny, Kwiryndy

21. IV. — Słońce
wchodzi w znak
Byka

• Pogody w kwietne niedziele
wróżą urodzajów wiele

• Na św. Franciszka przylatuje
pliszka

• Gdy Wielki Piątek ponury —
Wielkanoc będzie bez chmury

• Na św. Wojciech — kobyli po-
ciech

• Na świętego Jura schowa się
w życie kura

• Na świętego Marka sieje się
ostatnia jarka



MAJ



- 1 Ś Święto Pracy
- 2 C Anatola, Zygmunta
- 3 P Aleksandra, Antoniny
- 4 S Floriana, Moniki

5 N Ireny, Waldemara

- 6 P Jana, Judyty
- 7 W Ludmiły, Ludomira
- 8 Ś Stanisława, Wiktora
- 9 C Bożydara, Grzegorza
- 10 P Antoniny, Izydora
- 11 S Franciszka, Mamerta

12 N Dominika, Pankracego

- 13 P Roberta, Serwacego
- 14 W Bonifacego, Teodora
- 15 Ś Tymoteusza, Zofii
- 16 C Andrzeja, Wieńczysława
- 17 P Weroniki
- 18 S Aleksandry, Eryka

19 N Mikołaja, Piotra

- 20 P Bazylego, Bernarda
- 21 W Tymoteusza, Wiktora
- 22 Ś Heleny, Julii
- 23 C Dezyderego, Iwony
- 24 P Joanny, Zuzanny
- 25 S Grzegorza, Urbana

26 N Augustyna, Pauliny

- 27 P Jana, Juliusza
- 28 W Jaromira
- 29 Ś Magdaleny, Maksymiliana
- 30 C Feliksa
- 31 P Anieli, Petroneli

21. V. — Słońce
wchodzi w znak
Bliźniąt

- Pierwszego maja deszcz — nie-
urodzaju wieszcz
- Na świętego Stanisława rośnie
koniom trawa
- Pankracy, Serwacy, Bonifacy —
żli na ogrody chłopacy
- Na świętej Zosi kłos się podnosi
- Na Świętego Izydora dla bociana
pora
- Na świętej Halszki dzionek nuci
skowronek



CZERWIEC



1 S Jakuba, Konrada

22. VI. — Słońce
wchodzi w znak
Raka

2 N Erazma, Marcelina

3 P Leszka, Klotyldy
4 W Franciszka, Karola
5 S Bonifacego, Walerii
6 C Boże Ciało
7 P Lucjana, Wiesława
8 S Maksyma, Medarda

9 N Felicjana, Pelagii

10 P Małgorzaty
11 W Barnaby, Feliksa
12 S Jana, Onufrego
13 C Antoniego, Lucjana
14 P Bazylego, Waleriana
15 S Jolanty, Wita

16 N Aliny, Justyny

17 P Adolfa, Laury
18 W Elżbiety, Marka
19 S Gerwazego, Protazego
20 C Bogny, Florentyny
21 P Alicji, Alojzego
22 S Flawiusza, Paulina

23 N Wandy, Zenona

24 P Danuty, Jana
25 W Łucji, Sewera
26 S Jana, Pawła
27 C Marii, Władysława
28 P Ireneusza, Leona
29 S Piotra, Pawła

30 N Emilii, Lucyny

- Czerwiec temu się zieleni, kto do pracy się nie leni
- Na Zielone Świątki — najlepsze z krów wziętki
- Na święty Antoni pierwsza się jagódka zapłoni
- Gdy święty Jan łąkę kosi, lada baba deszcz uprosi
- Święty Piotr grzyby sieje, a Paweł zbiera
- Na świętego Władysława w domu pustki, w polu sława



LIPIEC



23. VII. — Słońce
wchodzi w znak
Lwa

- 1 P Haliny, Mariana
- 2 W Marii, Urbana
- 3 Ś Anatola, Jacka
- 4 C Prokopa, Teodora
- 5 P Emeryka, Karoliny
- 6 S Dominika, Łucji

7 N Cyryla, Metodego

- 8 P Elżbiety, Prokopa
- 9 W Weroniki, Zenona
- 10 Ś Amelii, Filipa
- 11 C Olgi, Pelagii
- 12 P Fortunata, Gwalberta
- 13 S Ernesta, Małgorzaty

14 N Bonawentury, Marcelina

- 15 P Henryka, Włodzimierza
- 16 W Eustachego, Hilarego
- 17 S Bogdana, Januarego
- 18 C Kamila, Szymona
- 19 P Arseniusza, Justyna
- 20 S Czesława, Hieronima

21 N Daniela, Praksedy

- 22 P Święto Odrodzenia
- 23 W Apolinarego, Bogny
- 24 Ś Kingi, Krystyny
- 25 C Jakuba, Krzysztofa
- 26 P Anny, Mirosławy
- 27 S Julii, Natalii

28 N Innocentego, Wiktora

- 29 P Marty, Olafa
- 30 W Julity, Ludmiły
- 31 S Germana, Ignacego

- Miesiąc lipiec lubi przypieć
- Na świętego Prokopa szykuj plecy do snopa
- Około świętej Marty płąć za żniwo i szykuj kwarty
- W lipcowej porze łowią raki i piskorze
- Od świętej Anki — chłodne wieczory i ranki
- Po świętym Jakubie każdy w swoim garnku dłubie



SIERPIEŃ



- 1 C Justyna, Piotra
2 P Gustawa, Stefana
3 S Augusta, Lidii

4 N Dominika, Protazego

- 5 P Marii, Oswalda
6 W Jakuba, Sykstusa
7 Ś Donata, Kajetana
8 C Cyriaka, Emiliana
9 P Romana, Romualda
10 S Borysa, Wawrzyńca

11 N Filomeny, Zuzanny

- 12 P Hilarii, Klary
13 W Diany, Hipolita
14 S Alfreda, Euzebiusza
15 C Marii
16 P Joachima, Rocha
17 S Jacka, Mirona

18 N Agapita, Heleny

- 19 P Bolesława, Juliana
20 W Bernarda, Sobiesława
21 Ś Joanny, Juliusza
22 C Cezarego, Tymoteusza
23 P Apolinarego, Filipa
24 S Bartłomieja, Jerzego

25 N Ludwika, Luizy

- 26 P Ireneusza, Zefiryny
27 W Kalasantego, Rufina
28 Ś Augustyna, Wyszomira
29 C Jana, Sabiny
30 P Róży, Szczęsnego
31 S Bohdana, Rajmunda

23. VIII. — Słońce wchodzi w znak Panny

- Kiedy sierpień następuje, resztki zboża koszą, albo sierpem dożynają i przepiórki płoszą
- Na święty Dominik — kopy z pola myk, myk
- Na święty Wawrzyniec bez pole gościniec
- Na Wniebowzięcie — pokończone żęcie
- Na św. Bartłomieja otwiera się siew i knieja
- Na św. Augustyna orka dobrze się poczyna



WRZESIEŃ



1 N Bronisława, Idziego

2 P Justyna, Stefana
3 W Izabeli, Szymona
4 S Marcelina, Rozalii
5 C Doroty, Wawrzyńca
6 P Marii, Radosława
7 S Melchiora, Reginy

8 N Adriana, Marii

9 P Kunegundy, Sergiusza
10 W Łukasza, Wiktora
11 S Jacka, Prota
12 C Gwidona
13 P Eugenii, Filipa
14 S Cypriana, Kornela

15 N Albina, Nikodema

16 P Edyty, Eufemii
17 W Franciszka, Justyny
18 S Ireny, Józefa
19 C Florentyny, Konstancji
20 P Eustachego, Filipiny
21 S Hipolita, Mateusza

22 N Maurycego, Tomasza

23 P Bogusława, Tekli
24 W Gerarda, Kleofasa
25 S Aurelii, Irminy
26 C Cypriana, Justyny
27 P Kosmy, Damiana
28 S Marka, Wacława

29 N Michała

30 P Hieronima, Zofii

23. IX. — Słońce
wchodzi w znak
Wagi

- *Jaki pierwszy wrzesień, taka będzie jesień*
- *Święty Idzi w polu nic nie widzi*
- *Św. Mateusz dodaje chłodu i raz ostatni podbiera miodu*
- *W dzień św. Reginy wabią chłopców dziewczyny*
- *Po św. Michale wolno paść konie i na skale*



PAŹDZIERNIK



- 1 W Danuty, Remigiusza
- 2 S Dionizego, Teofila
- 3 C Gerarda, Teresy
- 4 P Franciszka, Rozalii
- 5 S Apolinarego, Placyda

23. X. — Słońce
wchodzi w znak
Skorpiona

6 N Artura, Brunona

- 7 P Marka, Marii
- 8 W Brygidy, Marcelina
- 9 S Dionizego, Ludwika
- 10 C Pauliny, Tomila
- 11 P Emila, Enancjusza
- 12 S Eustachego, Maksymiliana

13 N Anastazego, Kaliksta

- 14 P Bernarda, Kaliksty
- 15 W Jadwigi, Teresy
- 16 S Ambrożego, Gawła
- 17 C Małgorzaty, Wiktora
- 18 P Juliana, Łukasza
- 19 S Piotra, Ziemowita

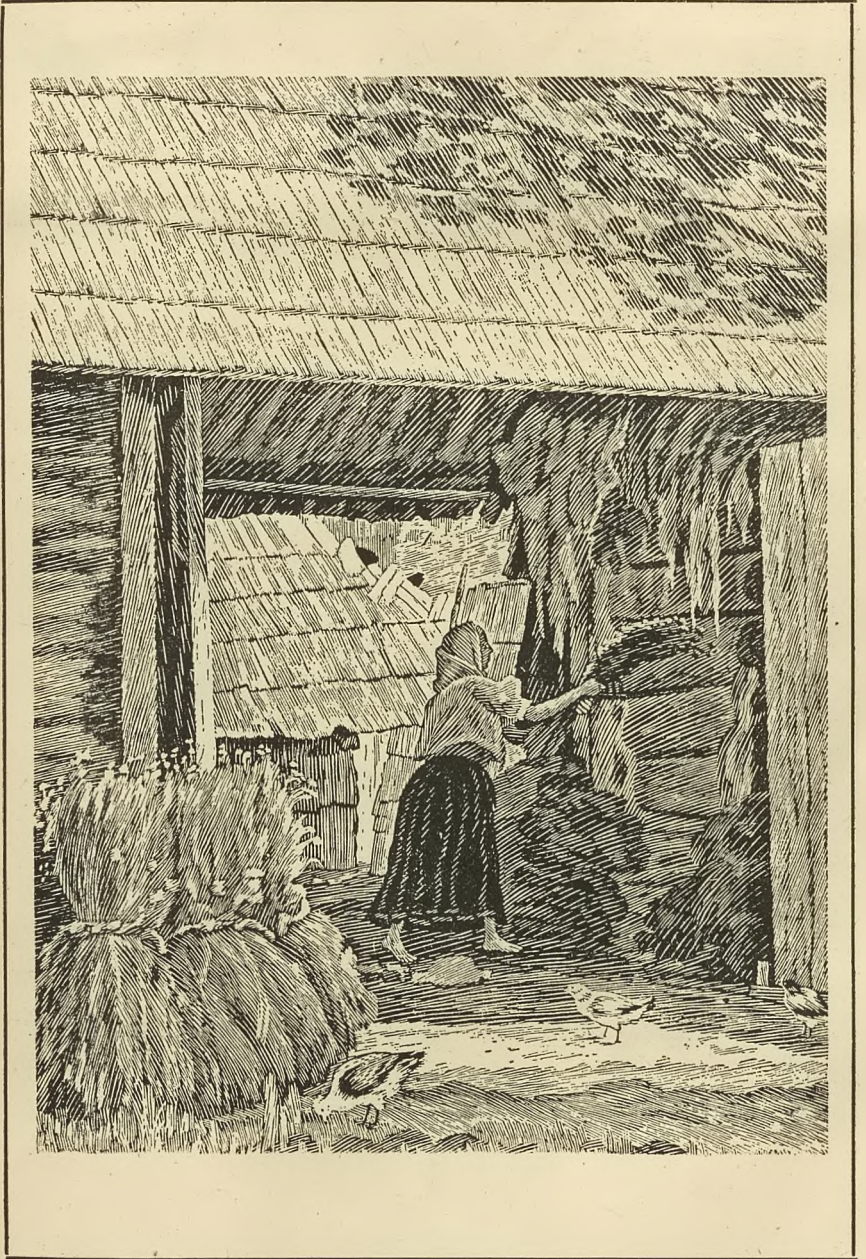
20 N Ireny, Pawła

- 21 P Hilarego, Urszuli
- 22 W Filipa, Korduli
- 23 S Seweryna, Teodora
- 24 C Kryspina, Rafała
- 25 P Bonifacego, Ingi
- 26 S Ewarysta, Lucjana

27 N Iwony, Sabiny

- 28 P Szymona, Tadeusza
- 29 W Marcelina, Narcyza
- 30 S Euzebiei, Przemysława
- 31 C Saturnina, Urbana

- Październik chodzi po kraju —
żenie ptactwo z gaju
- Na św. Franciszka odlatuje
pliszka
- Od Urszuli — śnieżnej czekaj
koszuli
- Na świętych Szymona i Judy
spodziewaj się grudy
- Miesiąc październik — marca
obraz wierny
- O Brygidzie babie lato idzie



LISTOPAD



- 1 P Wszystkich Świętych
2 S Dzień Zaduszny

3 N Huberta, Sylwii

- 4 P Karola, Olgierda
5 W Elżbiety, Sławomira
6 S Feliksa, Leonarda
7 C Rocznica Rew. Paźdz.
8 P Seweryna, Wiktoryna
9 S Teodora, Ursyna

10 N Ludomira

- 11 P Bartłomieja, Marcina
12 W Renaty, Witolda
13 S Mikołaja, Stanisława
14 C Klementyny, Teodora
15 P Alberta, Leopolda
16 S Edmunda, Gertrudy

17 N Grzegorza, Salomei

- 18 P Anieli, Romana
19 W Elżbiety, Seweryna
20 S Anatola, Feliksa
21 C Janusza, Konrada
22 P Cecylii, Marka
23 S Felicyty, Klemensa

24 N Erazma, Flory

- 25 P Katarzyny
26 W Konrada, Waleriana
27 S Piotra, Witalisa
28 C Idy, Zdzisława
29 P Błażeja, Saturnina
30 S Andrzeja, Maury

23. XI. — Słońce
wchodzi w znak
Strzelca

- W listopadzie grzmi — rolnik wiosnę śni
- Po Wszystkich Świętych słońce — przez cały miesiąc błota
- W listopadzie kapustę się kładzie
- Na Marcina najlepsza gęsina
- Jak się Katarzyna głosi, tak się Nowy Rok nosi
- Na św. Andrzeja trza kozucha dobrodzieja



GRUDZIEŃ



1 N Eligiusza, Natalii

2 P Barbiny, Pauliny
3 W Franciszka, Ksawerego
4 Ś Barbary, Piotra
5 C Kryspina, Saby
6 P Emiliana, Mikołaja
7 S Ambrożego, Marcina

8 N Marii

9 P Leokadii, Wiesława
10 W Daniela, Eulalii
11 Ś Damazego, Waldemara
12 C Adelajdy, Aleksandra
13 P Łucji, Otylii
14 S Alfreda, Izydora

15 N Aureliana, Celiny

16 P Albiny, Zdzisława
17 W Ignacego, Łazarza
18 Ś Bogusława, Gracjana
19 C Dariusza, Urbana
20 P Bogumiła, Dominika
21 S Seweryna, Tomasza

22 N Honoraty, Zenona

23 P Sławomira, Wiktorii
24 W Adama i Ewy
25 Ś Boże Narodzenie
26 C Dionizego, Szczepana
27 P Jana, Maksyma
28 S Innocentego, Teofila

29 N Tomasza

30 P Eugeniusza, Sewera
31 W Melanii, Sylwestra

23. XII. — Słońce
wchodzi w znak
Koziorożca

- Gdy zamarznie pierwszego grudnia, wyschnie na Jana studnia
- Na św. Barbarę mróz — chowaj sianie, szykuj wóz
- Koło świętej Ewy noś długie cholewy
- Willa piękna, jutrzeńka jasna — będzie stodoła za ciasna
- Gdy w Boże Narodzenie pogodnie, będzie tak cztery tygodnie
- Jeśli pola zielone, gdy się Chrystus rodzi, to gdy zmartwychwstaje — śnieg z mrozem kołaczom przeszkodzi



Skrócony kalendarz na rok 1986

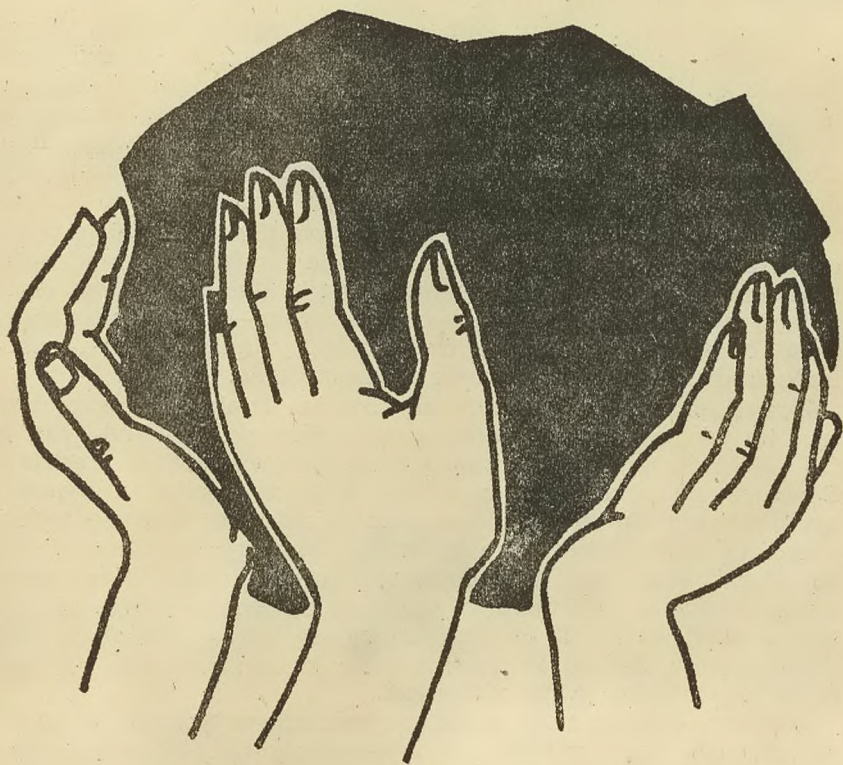
STYCZEŃ					LUTY				MARZEC					
P		6	13	20	27	3	10	17	24	3	10	17	24	31
W		7	14	21	28	4	11	18	25	4	11	18	25	
Ś	1	8	15	22	29	5	12	19	26	5	12	19	26	
C	2	9	16	23	30	6	13	20	27	6	13	20	27	
P	3	10	17	24	31	7	14	21	28	7	14	21	28	
S	4	11	18	25	1	8	15	22	1	8	15	22	29	
N	5	12	19	26	2	9	16	23	2	9	16	23	30	
KWIECIEŃ					MAJ				CZERWIEC					
P		7	14	21	28	5	12	19	26	2	9	16	23	30
W	1	8	15	22	29	6	13	20	27	3	10	17	24	
Ś	2	9	16	23	30	7	14	21	28	4	11	18	25	
C	3	10	17	24	1	8	15	22	29	5	12	19	26	
P	4	11	18	25	2	9	16	23	30	6	13	20	27	
S	5	12	19	26	3	10	17	24	31	7	14	21	28	
N	6	13	20	27	4	11	18	25	1	8	15	22	29	
LIPIEC					SIERPIEŃ				WRZESIEŃ					
P		7	14	21	28	4	11	18	25	1	8	15	22	29
W	1	8	15	22	29	5	12	19	26	2	9	16	23	30
Ś	2	9	16	23	30	6	13	20	27	3	10	17	24	
C	3	10	17	24	31	7	14	21	28	4	11	18	25	
P	4	11	18	25	1	8	15	22	29	5	12	19	26	
S	5	12	19	26	2	9	16	23	30	6	13	20	27	
N	6	13	20	27	3	10	17	24	31	7	14	21	28	
PAŹDZIERNIK					LISTOPAD				GRUDZIEŃ					
P		6	13	20	27	3	10	17	24	1	8	15	22	29
W		7	14	21	28	4	11	18	25	2	9	16	23	30
Ś	1	8	15	22	29	5	12	19	26	3	10	17	24	31
C	2	9	16	23	30	6	13	20	27	4	11	18	25	
P	3	10	17	24	31	7	14	21	28	5	12	19	26	
S	4	11	18	25	1	8	15	22	29	6	13	20	27	
N	5	12	19	26	2	9	16	23	30	7	14	21	28	

Kalendarz stuletni

Posługując się trzema tabelami (lat, miesięcy i dni), możemy ustalić, którym dniem tygodnia był, lub będzie, określony dzień miesiąca i roku. W tym celu w tabeli lat odszukujemy interesujący nas rok (np. 6.11.1902) i w poziomie jego wiersza odczytujemy liczbę wskaźnikową dla miesiąca tego roku. Odczytaną liczbę wskaźnikową, w tym przypadku 6, dodajemy do liczby daty dnia, czyli $6 + 6 = 12$. W tabeli dni odczytamy, że 12 wskazuje, iż był to czwartek.

Tabela lat 1901—2000	Tabela miesiący											
	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	IX	X	XI	XII
— 25 53 81	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2
— 26 54 82	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3
— 27 55 83	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4
— 28 56 84	0	3	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6
01 29 57 85	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0
02 30 58 86	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1
03 31 59 87	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2
04 32 60 88	5	1	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4
05 33 61 89	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5
06 34 62 90	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6
07 35 63 91	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0
08 36 64 92	3	6	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2
09 37 65 93	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3
10 38 66 94	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4
11 39 67 95	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5
12 40 68 96	1	4	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0
13 41 69 97	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1
14 42 70 98	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2
15 43 71 99	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3
16 44 72 00	6	2	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5
17 45 73 —	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6
18 46 74 —	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0
19 47 75 —	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1
20 48 76 —	4	0	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3
21 49 77 —	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4
22 50 78 —	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5
23 51 79 —	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6
24 52 80 —	2	5	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1

WSPÓLNYMI SIŁAMI



NASZE ZADANIA

Górnictwo węglowe stanowi podstawową gałąź polskiej gospodarki. Przemysł, energetyka, komunikacja, rolnictwo, handel — głośno wołają o węgiel, domagają się go coraz więcej. W minionym roku wydobyto go ponad 190 mln ton. To dużo, ale jednocześnie za mało, aby zaspokoić wszystkie potrzeby. Żeby więc „nakarmić” węglem wszystkich odbiorców buduje się nowe kopalnie i rozbudowuje istniejące.

Procesy rozwojowe nie ominęły również naszej kopalni. W ciągu trzech dziesięcioleci zakład nasz systematycznie zwiększał produkcję. W roku 1984 wydobywano u nas przeciętnie 25.500 ton na dobę. W 1985 zaś kopalnia osiągnie docelową produkcję 27.000 ton na dobę. Dla uzyskania takiej ilości węgla, węgla handlowego, bo przeznaczonego na zbyt, konieczne jest dobowe wydobycie około 32.000 ton węgla surowego.

Aby sprostać temu zadaniu, należy podjąć wiele zabiegów organizacyjnych, z których zabezpieczenie dopływu odpowiedniej liczby ludzi do pracy, będzie sprawą najtrudniejszą. Nowe przywileje, zwłaszcza te, które dotyczą emerytur — powodują zwiększony odpływ doświadczonej części załogi. Stąd problem — szkolenie modych. I to będzie drugie ważne zadanie.

Z myślą o młodych podejmiemy również działania zabezpieczające im jak najlepsze warunki pracy i warunki socjalno-bytowe. Od 1985 roku planuje się rozpoczęcie budowy osiedla „Łędziny-Centrum” na ponad 1000 mieszkań w kilku pięciokondygnacyjnych blokach. Teren zabudowy tego osiedla rozciągał się będzie pomiędzy szosą prowadzącą do Szybu Głównego a obiektami szybu „Piast”. Pierwsze dwa bloki przewiduje się oddać do zamieszkania jeszcze w 1985 roku. Niezależnie od tego zamierza się obszar o powierzchni 20 ha, znajdujący się między dworcem PKP „Ziemowit” a Szkołą Podstawową Nr 28, przeznaczyć pod budowę 200 domków jednorodzinnych.

Poważne zadania stoją przed kierownictwem kopalni w zakresie rozwoju bazy rekreacyjno-wypoczynkowej. Dotychczasowe obiekty znajdujące się w Ustroniu, Korbielowie i na Mazurach nie zapewniają załodze należytych warunków do wypoczynku. Przewiduje się wybudowanie nowego domu wczasowego.

Ważną i nie schodzącą z pola uwagi kierownictwa kopalni sprawą jest ochrona zdrowia załogi i członków rodzin górniczych. Wychodząc naprzeciw temu postulatowi, rozważa się możliwość budowy systemem gospodarczym, przy pomocy środków z Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, własnego szpitala górniczego na 200 łózek. Wiele tysięczna załoga kopalni, a także mieszkańcy Łędzin znaleźliby w nim szybką i należytą pomoc i opiekę lekarską, przy wykorzystaniu najnowocześniejszego sprzętu medycznego.

Dużą uwagę przywiązywano do wzorowego zagospodarowania łądzkich osiedli mieszkaniowych. Również i w nowym roku dołoży się starań, aby wszystkie miejsca, gdzie mieszkają górnicy były schludne i zadbane.

Dyrekcja kopalni, a także władze miejskie Tychów, udzielają ponadto szerokiej pomocy organizacyjnej i finansowej obywatelskiemu komitetowi budowy gazociągu na terenie Łędzin. Prace z tego zakresu prowadzone są na wielu odcinkach. Planuje się też zaadaptowanie istniejącego nasypu po dawnej kolei podsadzkowej na aleję spacerową. Aleja razem z istniejącymi już obiektami kąpieliska stanowiłaby dobrze zorganizowane miejsce wypoczynku sobotnio-niedzielnego rodzin górniczych.

Nawet z tak pobieżnego wyczerpania widać, że zadania produkcyjne stawiane są u nas na równi z socjalnymi. Wśród kierownictwa kopalni, wśród całej załogi istnieje bowiem pogląd, że nie należy zadań tych rozdzielać. Węgiel idzie w świat, ale ludzie zostają. I tym ludziom też się coś należy.

mgr inż. Henryk Smyczek
dyrektor kopalni



DLA DOBRA ZAŁOGI I KRAJU

Całe moje życie — już jako człowieka dorosłego — związane jest z kop. „Ziemowit”, w której pracuję nieprzerwanie od 1955 roku. W tym okresie dość dobrze poznałem kopalnię i załogę i jestem tego świadomy, że moi towarzysze pracy znają mnie również dobrze, bo przecież 26 lat fedrowałem na dole jako kombajnista.

9 stycznia 1981 roku wybrano mnie na plenarnym posiedzeniu Komitetu Zakładowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej I sekretarzem KZ.

W partii, do której wstąpiłem 1964 roku, pełniłem różne funkcje: byłem między innymi sekretarzem OOP i członkiem plenum KZ. Tak więc zdobyłem już odpowiednie doświadczenie w pracy partyjnej, zanim zostałem I sekretarzem KZ. A zatem nie przywieziono mnie w „teczce”, lecz funkcję tę powierzyli mi towarzysze, z którymi od wielu lat współpracuję i współdziałam.

Sekretarzem wybrano mnie w okresie bardzo trudnym dla naszej partii, kraju i kopalni. Jest po prostu rzeczą niemożliwą, abym tutaj ten straszny czas przemilczał. Nigdy go nie zapomnę i dlatego pragnę przywołać tu do życia niektóre fakty i zdarzenia, które należą już do historii.

Nasza kopalnia, jak powszechnie wiadomo, stała się od sierpnia 1980 roku do grudnia 1981 roku również widownią walki politycznej, ostrych konfliktów i zaburzeń zakończonych wielodniowym strajkiem, w wyniku którego gospodarka narodowa poniosła pokaźne straty materialne.

W owym czasie nie było łatwo być członkiem partii, otwarcie bronić socjalizmu i dorobku Polski Ludowej. Pod wpływem demagogicznej propagandy — uprawianej przez liderów KOR, KPN i „Solidarności” — sporo ludzi jej uległo i straciło właściwą orientację polityczną. Górowały wtedy emocje. Nie było miejsca na rozsądek i realistyczną ocenę sytuacji. Modną była totalna negacja partii i ustroju socjalistycznego.

Stosowany przez ekstremę „Solidarności” terror, szantaż i presja psychiczna święciły swoje triumfy. Ludzie żyli w ciągłym

strachu i niepewności. Kraj był nieustannie nękany demonstracjami i strajkami. Gospodarka upadała, na rynku ubywało towarów. Antypolskim i antysocjalistycznym ośrodkiem i ugrupowaniom chodziło o to, aby Polska pogrążyła się całkowicie w chaosie i anarchii i przez to osłabiła zwartość i siłę bloku państw socjalistycznych.

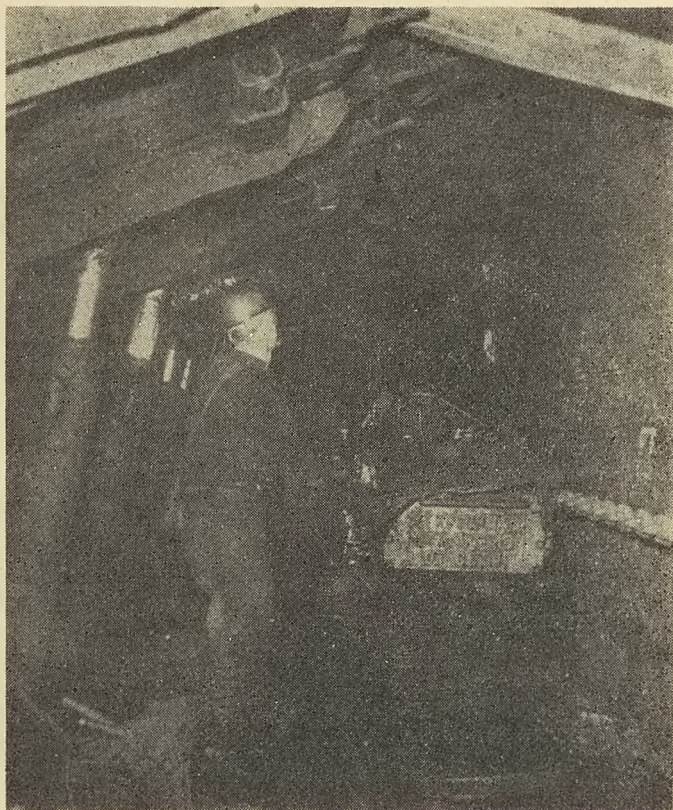
Trzeźwo myślący ludzie pytali: jak długo jeszcze będzie ta szalejąca demokracja niszczyć nasz kraj? Kiedy nastąpi jej kres i zacznie się normalne życie?

W tym burzliwym czasie, 22 maja 1981 roku odbyła się zakładowa konferencja partyjna, na której ponownie powierzono mi funkcję I sekretarza KZ. Partia stawała się coraz słabsza, traciła autorytet i przewodnią rolę w życiu społecznym. Ludzie bali się nawet wejść do siedziby Komitetu Zakładowego, bo specjaliści obserwatorzy z ramienia „Solidarności” śledzili ich i donosili, kto kontaktuje się z KZ. Ogólna obawa przed szykanami spowodowała, że słabsi, mniej odporni psychicznie, zaczęli składać legitymacje partyjne. Przykro o tym wspominać, ale wielu mądrych ludzi zagubiło się wówczas w tej walce ideologicznej i czasem bezmyślnie rezygnowało z przynależności do PZPR. Bywało, iż na masówkach, organizowanych przez „Solidarność”, oddawano legitymacje partyjne. Dziś, z dystansu czasu, z pewnością nikt nie żałuje tego pochopnego kroku.

Przed sierpniem 80 zakładowa organizacja partyjna liczyła prawie 3 tysiące członków i kandydatów, a na przestrzeni kilkunastu miesięcy jej stan liczbowy zmniejszył się do 1700. Wiele oddziałowych organizacji partyjnych niemalże się rozwiązało. Jak widać — dokonali się duże spustoszenia w szeregach partyjnych.

Rozmawiałem wtedy z górnikami. Mówili: widzimy widmo zła. Strajki niczego dobrego nie przyniosą. Byli zaniepokojeni krytycznym rozwojem sytuacji, zwłaszcza po groźnych wystąpieniach przywódców „Solidarności” w Gdańsku i Radomiu. Ale ekstremiści wciąż podjudzali ludzi do bojkotu, nierespektowania legalnej władzy i poszanowania prawa, zachęcali do żądania coraz to wyższych płac i świadczeń socjalnych, a z góry wiadome było, iż spełnienie tych żądań przyczynić się musi do dalszej destabilizacji gospodarki i pogłębiania kryzysu społeczno-ekonomicznego.

Również w naszej kopalni niektóre osoby wrogo ustosunkowane do socjalistycznej rzeczywistości inspirowały załogę do takich właśnie destruktywnych działań. Ich celem było: zniszczyć gospodarke, partię i socjalizm. Nie przypadkowo znaleźli się oni wśród załogi. Byli przygotowani do organizowania dywersyjnej



26 lat fedrowałem jako kombajnista

i wrogiej działalności. Teraz ich już nie ma w kraju. Wybrali „wolność” na Zachodzie — np. tacy „żarliwi demokraci” jak Kennec i Mróz wyjechali do USA, zaś Janik do Francji, a Wróbel i Rusicki do RFN.

Z perspektywy czasu można dziś chłodno i obiektywnie ocenić ten okres, w którym ekstremiści „Solidarności” pchali społeczeństwo polskie w przepaść. Ci butni, pewni siebie panowie, suto wspierani amerykańskimi dolarami, wiedzieli czego chcą: władzy i odwrócenia biegu historii. Dopiero ogłoszenie stanu wojennego przerwało ich niecną i wrogą działalność, a tym samym kraj nasz uniknął katastrofy.

Od sierpnia 80 do 13 grudnia 81 był to okres najcięższy i najdramatyczniejszy dla naszej partii. Zapamiętam go na całe życie.

Po ogłoszeniu stanu wojennego rozpoczął się nowy, bardzo trudny etap pracy partyjnej. Cały ciężar pracy organizatorskiej spoczął na wypróbowanym aktywie zakładowym. Wielkiej pomocy udzielili nam komisarze wojskowi.

W owym czasie znaleźli się jeszcze tacy, którzy obrazili się na partię za to, że w kraju położono kres anarchii. Rozstali się więc z naszą partią.

Po zakończeniu grudniowego strajku w naszej kopalni atmosfera w załodze była wciąż niepewna i skomplikowana. Wymagała ona od aktywu szczególnie dużej czujności i mobilności.

Sprawą zasadniczą dla wszystkich członków i kandydatów PZPR było świadome i jednoznaczne samookreślenie się. Nikogo nie zmuszaliśmy do podjęcia takiej czy innej decyzji. Każdy rozsądnie myślący towarzysz podjął decyzję właściwą i wyraził opinię dezaprobującą antysocjalistyczne poczynania ekstremy „Solidarności”.

Organizowaliśmy spotkania i zebrania z udziałem towarzyszy z KC, KW i KM. Wyjaśniano na nich różne kwestie i problemy nurtujące górników. Jednocześnie rozwijała swoją działalność grupa agitatorów partyjnych. Powołano również do życia zespół wykładowców i lektorów szkolenia partyjnego.

Ten pionierski okres odbudowy zakładowej organizacji partyjnej przyniósł pożądane rezultaty. Powoli, krok po kroku nasza organizacja łapała oddech, zajmując w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym kopalni należne jej miejsce.

Nowa sytuacja spowodowała, że zreorganizowaliśmy strukturę oddziałowych organizacji partyjnych. Zamiast 46 działów obecnie 25 OOP. Rozmieszczenie sił partii jest właściwe. We wszystkich oddziałach istnieją i działają nasze ogniwa.

Pragnę tu podkreślić zaangażowanie dozoru, który w pełni zrozumiał aktualną sytuację i nie szczędził czasu i sił w odbudowie życia partyjnego w kopalni.

1982 rok był okresem konsolidacji szeregów partyjnych. Systematycznie zaczęły pracować egzekutywy KZ i OOP. Przystąpiono do organizacji regularnych zebrań i szkoleń partyjnych.

W 1983 roku przeprowadzona została kampania sprawozdawczo-wyborcza w PZPR. W toku jej trwania nastąpiło dalsze umocnienie naszych szeregów. Na zakładowej konferencji zostałem ponownie wybrany I sekretarzem KZ.

Konferencja ta przebiegała już w innej atmosferze społeczno-politycznej, niż w 81 roku. Rzeczowo oceniła ona miniony okres i wytyczyła program działania naszej organizacji partyjnej na kadencję 1984—85. Uwzględnia on wszystkie aspekty życia spo-

leczno-politycznego i gospodarczego kopalni, precyzuje najważniejsze zadania na dziś i jutro.

Jeden z głównych kierunków naszego działania zmierza do dalszego rozwoju szeregów partyjnych. W tym celu aktyw systematycznie podejmuje odpowiednie przedsięwzięcia organizatorskie i wyjaśniająco-agitatorskie. Efekty naszych starań są widoczne: młodzi górnicy wstępują do partii.

Dziś już ponownie głos partii liczy się w kopalni. Liczy się zawsze i wszędzie w podejmowaniu ważkich decyzji gospodarczych, kadrowych i socjalnych.

Rozwijając działalność polityczną pragniemy, aby wśród załogi panował dobry klimat, sprzyjający realizacji nakreślonych zadań wydobywczych, aby sprawiedliwie oceniano i nagradzano ludzi za ich pracę. Równocześnie wspierać będziemy inicjatywy i zarządzenia kierownictwa kopalni zmierzające do obniżenia kosztów wydobycia węgla, lepszej gospodarki naszym majątkiem.

Proces socjalistycznej odnowy życia objął również naszą kopalnię. Ważki udział w tym dziele ma także nasza partia, która na swoim IX Nadzwyczajnym Zjeździe sformułowała program, którego realizacja ma się przyczynić do przezwyciężenia kryzysu i wszelkich trudności społecznych i ekonomicznych. Stąd też w centrum uwagi organizacji partyjnej „Ziemowita” znajdują się wszystkie sprawy i problemy ściśle związane z demokratyzacją życia w kopalni.

Tworzyliśmy i tworzyć będziemy klimat sprzyjający odbudowie i rozwoju nowego ruchu związkowego w kopalni — powszechnej organizacji zawodowej górników, dbającej o żywotne interesy swoich członków.

Kop. „Ziemowit” należy do tych wielkich przedsiębiorstw w Polsce, które znajdują się pod bezpośrednią opieką Komitetu Centralnego PZPR. Podnosi to rangę naszej organizacji i kopalni. Stąd też otrzymujemy teleksy bezpośrednio z KC, które są nam bardzo pomocne w bieżącej pracy partyjnej, propagandowej i wyjaśniająco-informacyjnej.

Wszystko, co zgodnie z postanowieniami IX Zjazdu i Krajowej Konferencji Delegatów PZPR czyni nasza zakładowa organizacja partyjna, służyć powinno dobrze całej naszej załodze i krajowi. Taki jest cel naszej partii. Myślę, że wspólnymi siłami go osiągniemy!

Adam Szpila
I sekretarz KZ PZPR

PRZED NAMI JESZCZE SPORO ROBOTY

Najpierw dużo mówiło się o mającej się ukazać nowej ustawie związkowej. Tak naprawdę to nikt z nas nie wiedział, jaka będzie jej treść. Nie chodziło tu jednak o samą ustawę. Były inne wątpliwości. „...Mamy komisję socjalną i bez żadnych związków wszystko hula jak trzeba...”, „...Ludzie i tak już nikomu nie wierzą...”, „...Komisje komisjami a związki muszą być. Ludzi nie ma kto wysłuchać, doradzić im, chociażby tylko pocieszyć...” Takie wówczas były głosy. W końcu uznano, że nie ma nikogo, kto byłby reprezentantem tzw. „dołów”.

Nadszedł dzień 11 października 1982 roku. W kopalni małe poruszenie: „...Na górze zapisują do nowych związków... robić się im nie chce... dwa razy się już nadziałem i teraz do żadnych związków nie wstąpię... Związki jakieś muszą być, bo gdzie pójdziemy...”

Tego dnia akces do powstających związków złożyło 36 pracowników, przeważnie robotników. Wyłoniono Komitet Założycielski, na którego czele stanął Alfred Kusak. Tego samego dnia, w Sądzie Wojewódzkim w Katowicach dokonano wstępnej rejestracji.

Od tego momentu zaczęła się typowa praca związkowa. Telefon w tymczasowej siedzibie Komitetu Założycielskiego dzwonił coraz częściej. Ci, którzy uważali, że związki to przeżytek, po cichu wycofali się. Ludzie początkowo nieufni i anonimowi przekazywali to, co im przeszkadza w pracy, później przychodzili osobiście ze swymi problemami. Byli i tacy, którzy przez przynależność do związku chcieli, aby tolerowano ich nieróbstwo. Tych odsyłano z przysłowiowym kwitkiem.

Opracowano statut i ordynację wyborczą. 28 grudnia 1982 roku Sąd Wojewódzki w Katowicach zarejestrował Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Kopalni „Ziemowit” w Tychach-Lędzinach. 3 lutego 1983 roku odbyło się zebranie wyborcze. Wybrano 15-osobowy Zarząd Związku a z jego grona przewodniczącego, którym został Alfred Kusak.

Początek działalności był okresem próby. Byli tacy, którzy od razu zaczęli pomagać. Nie zabrakło jednak i tych, co grozili, szkalowali i rozsiewali plotki (najczęściej anonimowo). Nie wszyscy też z grona Zarządu zdali ten trudny egzamin. Z tymi trzeba się było pożegnać. Działalność Związku została oparta na pełnej

jawności wszystkich poczynań i w miarę możliwości na pomocy świadczonej jego członkom i nie tylko.

Z bieżącej pracy na pierwszy ogień poszła problematyka socjalna. Uporządkowano sprawy zasiłków statutowych, wczasów, kolonii i zapomóg. Skupiono również uwagę na sytuacji emerytów i rencistów naszej kopalni. Najgorzej przedstawiała się sprawa z mieszkaniami. Była to spuścizna po niefrasobliwości naszych poprzedników. Aby poprawić istniejący stan rzeczy, kopalnia własnymi środkami finansowymi podjęła się budownictwa mieszkaniowego, a pierwszych efektów należy oczekiwać pod koniec 1985 roku.

Obecnie cała działalność Związku oparta jest na pracy komisji problemowych: socjalnej, mieszkaniowej, sportu, turystyki i wypoczynku, kobiet pracujących, emerytów i rencistów, współpracy z Radą Pracowniczą. Za jedną z najpilniejszych spraw uważamy powołanie na terenie kopalni społecznej inspekcji pracy, opierając się o odpowiednią ustawę. Bowiem sprawy bhp nie mogą nigdy schodzić z pola widzenia związkowców. To, że ludzie przychodzili i przychodzą nadal do nas z własnej woli świadczy o społecznej potrzebie istnienia organizacji związkowej na terenie kopalni.

Dzień jutrzejszy Związku to w głównej mierze kontynuacja dotychczasowych działań. Kopalnia nasza należy do kluczowych zakładów w kraju. Wielkość jej produkcji, liczebność załogi nie idą jednak w parze z bazą wypoczynkową, która wygląda żenująco. Dlatego wspólnie z Radą Pracowniczą podjęto starania o wybudowanie domu wczasowego dla załogi kopalni. W swych zamierzeniach na przyszłość dążymy też do tego, aby głównymi problemami nie były tylko przysłowiowe rękawice i buty. Tymi sprawami powinni się zająć ci, których do tego powołano. Nasze cele to wszystko to, co wiąże się z warunkami pracy, a więc jej organizacją, kształtowaniem prawidłowych stosunków międzyludzkich i zaspokajania potrzeb socjalnych.

Można stwierdzić, że Związek już wypracował sobie wśród załogi autorytet. Czy go dalej utrzyma, zależy od wszystkich jego członków, i tych z Zarządu i tych szeregowych. Aby dalej się rozwijał i nie stracił swej rangi, trzeba nadal wkładać sporo zaangażowania w jego działalność. A działalność ta winna się opierać na współpracy z wszystkimi organizacjami w kopalni. Wspólnie bowiem można dokonać o wiele więcej niż w pojedynkę, a cel mamy przecież ten sam.

Andrzej Kuta

STWORZYĆ TO, CZEGO NIE MA

Czy młodzież może stać na uboczu zachodzących przemian, czy młodzi mogą obojętnie przyglądać się toczącej się historii? Nigdy tak nie było, nie jest i z pewnością nie będzie. Młodzi zawsze przyśpieszali bieg koła dziejów, współtworzyli świat.

I młoda część załogi kopalni „Ziemowit” nigdy biernie nie spoglądała na swoje miejsce pracy. Przeciwnie — młodzi wykorzystując tak typowe dla siebie cechy, jak spontaniczność, zapał, wrażliwość, witalność — tworzyli historię „Ziemowita”, dynamizowali jego rozwój. Dowodów znaleźć by można dużo. Przytoczyć warto dwa: pionierzy z lat czterdziestych, którzy tutaj zjechali się z całej Polski — oni to wzniesli ten zakład, członkowie brygad młodzieżowych potrafili bić rekordy na odcinku najważniejszym dla Polaków — na odcinku pracy.

A i dzisiaj brygady ścianowe i chodnikowe w większości składając się z młodych, wyciskają piętno na wielu dziedzinach życia kopalni.

Wiadomo, młodym łatwiej żyć i pracować razem, wspólnie. Więc — związki młodzieżowe. Działają obecnie w Polsce kilkanaście, ale oczywiście rangę najwyższą winny mieć związki młodzieży robotniczej! A zatem — ZSMP.

Związek ten nie narodził się zaś na politycznym nowiu. Rodowód jego sięga korzeniami do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej z okresu międzywojennego, do Związku Walki Młodych z okresu okupacji, do ZMP, później ZMS.

Istniejąca w naszej kopalni organizacja ZSMP nie chce w swej działalności uronić niczego, co chlubne w tradycjach polskiego ruchu młodzieżowego, co cenne w 30-letnim dorobku ziemowickiej organizacji młodzieżowej.

Jej zadaniem było i jest wychowanie ludzi ideowych i pracowitych, o rzetelnej wiedzy, ludzi świadomych swych celów życiowych, aktywnych w pracy i działalności społecznej. Zadania to ambitne. Zostały one określone w programie działania w zakładowej organizacji ZSMP, który jest programem wszystkich młodych górników kopalni.

Ale młodzi, chcą aby oceniano nie po programie, a po konkretnych efektach działalności. Podjęto więc szereg pożytecznych inicjatyw, z których utworzenie zrzeszenia budowy domków jednorodzinnych, akcja „Sygnał” (wykrywanie przypadków niegospodarności i marnotrawstwa) są konkretnym wkładem młodych w rozwiązywanie wielu problemów, jakimi żyje kopalnia.

Coraz więcej młodych dostrzega to i przychodzi do organizacji, by razem rozwiązywać swoje problemy. Młodzi chcą bowiem być w zgodzie z tym, co powiedział kiedyś I sekretarz KC PZPR tow. Wojciech Jaruzelski:

„POLSKA NIE MOŻE DAĆ SWOJEJ MŁODZIEŻY WIĘCEJ NIŻ DOTĄD STWORZYŁA, ALE MŁODZIEŻ MOŻE STWORZYĆ TO, CZEGO JESZCZE W POLSCE NIE MA...”

W słowach tych kryje się głęboka mądrość. Polsce Ludowej każde kolejne pokolenie wносиło twórczym wysiłkiem własny wkład w jej współczesny wizerunek. I obecne pokolenie — ludzi młodych — stoi przed historyczną szansą wzbogacenia dorobku ojców.

Nie inaczej może być z młodymi w naszej kopalni. 28% załogi nie przekroczyło 25 lat, 52% załogi — 30 lat. Cechą wyróżniającą tę załogę jest więc MŁODOŚĆ. Jeśli tak, to właśnie młodzi mogą wziąć sprawy kopalni w swoje ręce. W codziennej, uczciwej pracy mogą stworzyć właśnie to, czego jeszcze nie ma — lepsze jutro kopalni, lepsze jutro Polski.

Bogusław Kaszuba

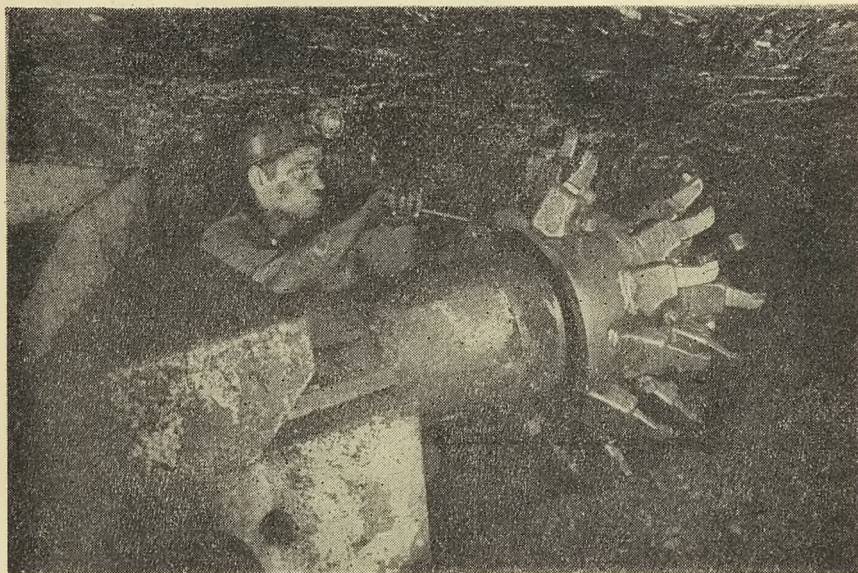


DZIEŃ

dzisiejszy



BEDEKER ZIEMOWICKI



„Ziemowit” to węgiel, ludzie i maszyny

Agricola Grzegorz (1494—1555). Autor jednego z najstarszych dzieł o górnictwie, 12-księgowego „De re metallica”, które ukazało się w 1556 roku w bazylejskiej drukarni Forbena — czy mógł przewidzieć, jak rozwinię się technika górnicza za pół tysiąca lat? Dla niego przecież średnio-wieczne „kunszty”: antwerki, kieraty, bulgi, dreptaki, paternostry i wiele innych zdały się być cudami ówczesnej techniki. Czyż mógł mistrz Gregorius — gwarecki medyk z Jachymowa przewidzieć, że owe majstersztyki zostaną kiedyś zastąpione kombajnami, przenośnikami, zautomatyzowanymi ciągami taśmowymi, precyzyjnymi wyciągami szybowymi, wentylatorami, pompami. Wszystko zmieniło się w górniczej sztuce. Tylko nie zmienili się górnicy. Pozostali ludźmi, bez których żadna machina, żaden cud techniki ani drgnąłby, których zastąpić nie potrafią nawet ultranowoczesne automaty.

Bezpieczeństwo. To zespół warunków, które muszą być zachowane, aby ludzie mogli pracować bez wypadków i bez szkody dla zdrowia. Wszyscy pracownicy na każdym stanowisku są zobowiązani do tworzenia takich właśnie warunków w oparciu o istniejące przepisy. Nikt z tego obowiązku nie może być zwolniony. Lecz choć tak jest, wypadki wciąż jeszcze mają miejsce. W roku 1983 w naszej kopalni było ich razem 334. Mimo czynionych wysiłków, mimo naszej ostrożności wypadki te zdarzyły się. Dlaczego? Przyczyn było wiele. Jedne z nich były obiektywne, niezależne od woli i działania ludzi, drugie — subiektywne, zależne od ludzi, od ich przeczności, od zasobu ich doświadczenia zawodowego, wiedzy, predyspozycji — od czegoś, co nazywa się instynktem górniczym. W żadnym innym zawodzie pracownicy nie podkreślają tak dobitnie, że przepracowało się 10, 20, 30 lat w ruchu, bez wypadku. Bez wypadku! Ten fakt podkreśla się wszędzie, bo górnicy znają wartość pracy bezpiecznej.

Garbon. Znaczy węgiel. Cóż to jest ten węgiel kamienny? Gdyby sztabakowi stojącemu przed surowym obliczem nauczyciela szkoły górniczej zadać takie pytanie, musiałby odpowiedzieć mniej więcej tak: „Węgiel kamienny to skała osadowa organiczna pochodzenia roślinnego, zawierająca powyżej 80 proc. czystego chemicznego węgla C, kilkanaście procent popiołu i kilka procent wilgoci własnej”. Wśród wielu rodzajów, odmian i typów węgla z pokładów serii łazickiej w naszej kopalni wydobywa się węgiel określony wyznacznikiem cyfrowym 31, co oznacza, że jest to węgiel płomienny przeznaczony do spalania.

Patrzcie, jacy ci ludzie to dziś mądrzy. Wszystko umięją definiować, klasyfikować, systematyzować. A nasi dziadkowie nie byli uczeni i mówili krótko: „łędziński węgiel jest dobry, mysłowski jest lepszy, ale najlepszy jest węgiel z Janowa...”

Dniówka. Odliczając dni „czerwone” w kalendarzu, czyli niedziele i święta, odliczając dni spędzone na urlopie (8 proc.), dni chorobowe (6 proc.), nieusprawiedliwione (0,7 proc.) efektywnie przepracowujemy średnio 250 dniówek w roku. Tak przynajmniej mówi statystyka. Tyle więc razy w roku zaterkotały budziki w naszych domach, tyle poczynić musieliśmy skrzętnych zabiegów, aby wybrać się z domu, tyle odbyć podróży do kopalni, tyle razy rozebrać się i ubrać, tyle razy zjechać pod ziemię i wyjechać. Tyle też razy szytygar

wpisał nas do szychtownicy. 250 dniówek w roku. W ciągu 25 lat — 6050 dniówek, czyli 50.000 godzin pracy na dole.

Ostatnio, w związku z nowymi przepisami emerytalnymi, zaczynamy coraz częściej liczyć dniówki. Każda szychta jest ważna, każda szychta pisze bowiem nasz górniczy życiorys. I warto chyba zaprowadzić własną księgę przepracowanych dniówek i spisywać dzień po dniu przeżyty w kopalni czas. Może to być ciekawa książka! Prawdziwe bibliofilskie cymelium.

Elektryczność. Niewielu to wie, że rozpoczęła podbój świata od oświetlenia kopalni. Stało się to w 1880 roku w brytyjskich kopalniach węgla, gdzie po raz pierwszy na podszybiach i głównych drogach transportowych zainstalowano stałe punkty świetlne. Takie były początki. Dziś nie sposób sobie wyobrazić kopalni podziemnej bez prądu elektrycznego, zwłaszcza kopalni tak nowoczesnej jak „Ziemowit”. Żeby stworzyć wyobrażenie współczesnej potęgi elektrycznego imperium, warto posłużyć się takim przykładem: gdyby wyłączyć na 1 dobę tylko jeden z kilku tysięcy silników elektrycznych zainstalowanych w kopalni — silnik kombajnu ścianowego — wydobycie zmalałoby o 1,5 tysiąca ton węgla. Jeszcze nie tak dawno taką ilość węgla urabiać musiało kilkuset rębaczy. Dziś — jeden ogromny silnik. I pomyśleć, że wszystko zaczęło się zaledwie sto lat temu.

Front węglowy. Zwrot jakby żywcem wyjęty z terminologii wojennej. Górnikom to określenie nie nasuwa żadnych takich skojarzeń. To po prostu suma długości wszystkich uzbrojonych ścian w kopalni. Łatwo można go obliczyć, mnożąc liczbę czynnych ścian przez ich średnią długość. W naszej kopalni front ten ma długość około 2600 m. Na tym odcinku górniczych „walk” nasyconym najnowocześniejszym sprzętem, w codziennej, nieustępliwej walce i w całorocznej batalii wydiera się „przeciwnikowi”, czyli przyrodzie, jej bogactwo.

Godność ludzkiej pracy. Najidealnej byłoby, gdyby każda praca mogła być twórczością. „Twórca uprawia pracę z radością” — mówi prof. T. Kotarbiński. Ale jeśli górnicza robota dla niektórych nie może być radosnym dziełem tworzenia, to przynajmniej winna być aktem świadomego wyboru, winna być traktowana jako naturalna życiowa potrzeba. Nie jest już dobrze, jeśli praca staje się smutnym obowiązkiem, bezwzględną koniecznością łamiącą świadomy wybór. A jest już zupełnie źle, jeśli to, co się codziennie robi staje się udręką, niewolą — nawet przekleństwem. Taka praca traci wszel-

ki sens i przynosi społeczeństwu, kopalni i bezpośrednio wykonawcy więcej szkody niż pożytku. Taka praca zabija osobowość człowieka, uwłacza ludzkiej godności. Czas zajęty taką pracą — jest marnotrawieniem życia.

Jakie znamiona ma górnicza praca? Czy jest to twórczość, potrzeba, konieczność czy przekleństwo? Na to pytanie musi odpowiedzieć każdy górnik z osobna. Jedno jest natomiast pewne: im więcej ma się lat, im więcej doświadczenia górniczego — więcej ma się skłonności do traktowania własnej pracy jako twórczości. Wykonywanie jej — rzetelne, sumienne — jeśli już nie przynosi radości — to na pewno daje satysfakcję. I z tej właśnie satysfakcji rodzi godność górniczego zawodu.

Honorowe przywileje górnicze. Są wyrazem pełnego uznania dla pracy górników. Galowe stroje, odznaczenia, stopnie górnicze, szpady, dyplomy, tytuły — Karta Górnika ustanawia sporo podobnych zaszczytów. Górnicy oczywiście doceniają troskę państwa o uznanie dla ich trudu, ale uważają, że zaszczyty te to tylko zewnętrzne symbole. Prawdziwy honor ma się w sobie — mówią. Trzeba mieć honor własny, aby z godnością przyjmować i nosić honory przyznane.

Inwencja górników. Trzeba popracować parę lat na dole, aby utwierdzić się w przekonaniu, iż pomysłowość górników jest nieraz nieprawdopodobna, granicząca z fantazją. Pod ziemią, w ciasnych, mokrych i dusznych wyrobiskach trzeba liczyć tylko na siebie. Na swoje ręce i głowę. Tam na dole nie ma czasu na biadolenie, tam nie może być też zadań niewykonalnych. Tam jest termin: „ściana 701 musi być „uzbrojona” za miesiąc!” Wtedy zaczyna się. Idą w ruch podziemne pociągi z setkami ton sprzętu, potem potężne kołowroty, potem ludzkie ramiona. Wznosi się dziwne konstrukcje, podkłada platformy, montuje łąjby, płozy, rolki toczne, wykorzystuje dźwignie, równie pochyłe, bloki proste i wszelkie inne, mechanizmy dźwigniowe, tłoki i tłoczyska, popychaki, zębaki, łańcuchy i liny. Ręce i nogi. Głowy i serca. I pot — dużo potu. A na koniec — uśmiech, że poszło, udało się. Tysiąc ton stali zakutej w obudowie, sto ton w przenośniku, kombajnie, osprzęcie — znalazło się wreszcie w wąskiej przecince ścianowej.

Jutro naszej kopalni. Wizjonerzy z początku lat siedemdziesiątych nie wiadomo czym kierując się, takie oto roztaczali przed górnikami miraż: „...w roku 1985 kopalnie będą nowoczesnymi, kompleksowo zautomatyzowanymi przedsiębiorstwami, kierowanymi z powierzchni za pomocą elektronicznych systemów sterowania, zapewniających cy-

bernetyczną kontrolę wszystkich procesów produkcyjnych. Nie będzie zatem ludzi tam, gdzie urabia się węgiel a w podziemiach pozostanie ich bardzo niewielu..."

Marzyciele, czy kiepscy prorocy? Na przykładzie naszej kopalni, uchodzącej przecież za najnowocześniejszą w polskim górnictwie, możemy się naocznie przekonać, jak nam jeszcze daleko do „cybernetycznej kontroli wszystkich procesów roboczych”. Ogromnie pomylili się więc prognostycy sprzed 10 lat. Ciekawe, czy będą mieli rację dzisiejsi autorzy programów rozwojowych górnictwa węglowego? Proces przekształcania kopalń bowiem trwa. Na deskach projektantów rodzą się koncepcje kopalń węgla 2000 roku. Zakłada się tam, że po udostępnieniu złoża węgla na dole wykorzystana się bądź jako paliwo służące do produkcji energii elektrycznej, bądź też rozpuści się go albo zgazyfikuje i w postaci półproduktu przekaże do zakładu chemicznego na powierzchni. Załogę kopalni stanowić będzie nieliczna grupa specjalistów zatrudnionych w centrum cybernetycznym. Wizja piękna, ale...

Klimatyzacja kopalni. Przed rozwiązaniem tego problemu stoi „Ziemowit”. Wiadomo, powietrze atmosferyczne samorzutnie nie „zejdzie” do kopalni. Przepływ powietrza przez wyrobiska podziemne trzeba wymusić za pomocą urządzeń wentylacyjnych, spośród których najważniejszym jest wentylator główny. Nad sprawnym funkcjonowaniem tych urządzeń czuwają służby wentylacyjne. Jednym z ich zadań jest stała kontrola stanu powietrza w kopalni. Górnicze przepisy stawiają tu surowe wymagania jakościowe. Dla przykładu: temperatura powietrza nie może przekraczać +28 st. C, wilgotność — 80 proc., prędkość maksymalna w miejscach pracy górników — 5m/s. Ilość powietrza nie może być mniejsza niż 6 m sześć. na min dla każdego pracującego na dole górnika.

Ale okazuje się, że suma działań skierowanych na zachowanie tak korzystnych czynników nie wystarcza. Wraz ze wzrastającą głębokością kopalni najtrudniej utrzymać na odpowiednim poziomie temperaturę powietrza. Dlatego koniecznością staje się wprowadzenie klimatyzacji, bez której nie można będzie się już obejść po uruchomieniu poziomu IV.

Lata uciekają. Zmieniają się ludzie, zmienia się oblicze ziemi, na której ci ludzie żyją. Nieubłaganemu upływowi czasu podlega kopalnia i jej załoga.

Warto więc dla tych co przyjdą po nas zatrzymać w kadrze czasu obecny skład osobowy kierownictwa kopalni (skład z początku 1984):

Dyrektor kopalni	— mgr inż. Henryk Smyczek
I sekretarz KZ PZPR	— Adam Szpila
Przewodniczący Niezależnych Samo- rządnych Związków Zawodowych	— Alfred Kusak
Przewodniczący Rady Pracowniczej	— inż. Jerzy Malina
Przewodniczący Zarządu Zakładowego ZSMP	— Bogusław Kaszuba
Naczelnny Inżynier	— mgr inż. Adrian Winkler
Z-ca dyr. d/s Ekonomicznych	— mgr Eugeniusz Leki
Z-ca dyr. d/s Pracowniczych	— mgr Edward Sitko
Główny Księgowy	— Paweł Kycler
Główny Inżynier Górniczy	— mgr inż. Marian Zając
Główny Inżynier Energo-Mechaniczny	— mgr inż. Edmund Godzik
Inżynier Wentylacji	— mgr inż. Tadeusz Gandor
Główny Inżynier Inwestycji	— mgr inż. Bolesław Gajda
Główny Inżynier BHP	— mgr inż. Ludwik Bistyga
Gł. Inż. d/s Jakości i Zbytu	— mgr inż. Marian Grzywno- wicz
Zawiaadowca ruchu I	— mgr inż. Otto Mocny
Zawiaadowca ruchu II	— mgr inż. Helmut Malcharek
Kierownik robót górniczych pola I	— mgr inż. Franciszek Wała
Kierownik robót górniczych pola II	— Mieczysław Zieliński
Kierownik robót górniczych I	— mgr inż. Aleksander Brom- blik
Kierownik robót górniczych II	— mgr inż. Henryk Hajda
Kierownik robót pomocniczych	— mgr inż. Marian Sobczyk
Inżynier Strzelniczy	— mgr inż. Wiesław Czerkaw- ski
Kierownik działu mierniczo-geologicz.	— mgr inż. Marian Jakubowski
Główny Mechanik I	— mgr inż. Henryk Paruch
Główny Mechanik II	— inż. Henryk Bogacki
Główny Mechanik Urządzeń podstawowych	— inż. Mieczysław Sosna
Główny Energetyk	— mgr inż. Franciszek Wojcie- chowski
Główny Mechanik Przeróbki	— inż. Alojzy Okoń
Kierownik działu ekspedycji	— Jan Kuźnik
Dział przygotowania produkcji	— mgr inż. Tadeusz Niechciał
Kierownik działu kadr	— mgr Stefan Fajferek
Kierownik działu organizacyjno- -prawnego	— mgr Henryk Tomera
Kierownik działu pracy i płacy	— mgr Jan Firla
Kierownik działu szkolenia zawodow.	— mgr inż. Zenon Szeliga
Z-ca głównego księg. d/s płac	— mgr Jerzy Ficek

Kierownik działu analiz ekonomicznych, informatyki i planowania	— mgr Urszula Śwituli-Jeruzol
Kierownik działu zaopatrzenia	— Feliks Wójcik
Kierownik działu zatrudnienia	— Cecylia Jezierska
Kierownik działu socjalnego	— Krystyna Drob
Kierownik działu wczasów i rekreacji	— mgr Józef Jonderko
Kierownik działu gospodarczego	— Bolesław Knopek
Kierownik gospodarki materiałowej	— inż. Zygmunt Tatoj
Kierownik działu powierzchni	— inż. Kazimierz Sowula
Kierownik działu budowlanego	— inż. Leon Czarnynoga
Dyrektor ZSG	— mgr inż. Józef Kirszniok

Lażnia. Czy można przerobić dniówkę i nie być w górniczej łaźni? To jest niemożliwe. Każda dniówka rozpoczyna się i kończy tutaj właśnie. Obszerna hala. Pod stropem setki haków z suszącymi się ubraniami. Obok natryski. Ciepło i zwykle pustawo. Jedynie między rzędami ław krząta się łazienkowi. Łażnia ożywia się dopiero w godzinach, kiedy jedna zmiana kończy pracę, a druga zaczyna. Opadają haki z ubraniami. Rozpoczyna się codzienny rytuał: rozbieranie... i nagle w ogromnej hali pojawia się na krótką chwilę sto, dwieście muskularnych nagusów.

I pomyśleć, że jacyś tam naturyści domagają się od władz osobnej plaży nad jeziorem paprocańskim, aby obnażeni mogli demonstrować wdzięki swojego ciała. W nielicznej chyba grupie tych dziwaków nie ma na pewno górników. Dlaczego? Po pierwsze: po ciężkiej pracy nie takie dziwactwa im w głowie, po drugie: obnażając się w górniczej łaźni demonstrują codziennie najnaturalniejszy naturyzm pod słońcem.

Miernicy. Fachowcy zajmujący się pomiarami dla potrzeb górnictwa. W oczach górników, tych „na węglu” — miernicy to podobno grupa uprzywilejowana. Osąd taki jest mylny i krzywdzący. Miernictwo górnicze to bowiem służba niezwykle odpowiedzialna, bez której tak rozległa obszarowo i przestrzennie kopalnia nie mogłaby w ogóle funkcjonować. Górnicy dobrze o tym wiedzą, ale lubią od czasu do czasu podrażnić każdego, któremu i zjechać na dół wolno później, i wcześniej z dołu wyjechać.

W dziale mierniczo-geologicznym „Ziemowita” zatrudnionych jest 13 specjalistów. Dzięki nim drażnienie wyrobisk korytarzowych nie jest bezcelowym błędzeniem w skalnym pustkowiu a zamierzonym prowadzeniem przodków o ustalonym kierunku

i nachyleniu. Dzięki nim można uniknąć niebezpiecznych niespodzianek, jak np. nagłego wdarcia się wody lub kurzawki, można posłużyć się zawsze aktualną mapą wyrobisk podziemnych, dowiedzieć się na jakiej dokładnie głębokości prowadzi się roboty górnicze, jakie są miesięczne postępy chodników i ścian, ile ton węgla znajduje się na zwałach, ile metrów obniżył się teren pod wpływem robót eksploatacyjnych. Wszystko to oni wiedzą. I każdy ich pomiar jest niezwykle dokładny, albowiem u mierników błąd rodzi błąd i wszelkie dalsze pomiary są już bezcelowe.

Nie my pierwsi pracujemy głęboko pod ziemią. Przed nami od niepamiętnych czasów w mrokach podziemi krzątało się wokół górniczej roboty wiele pokoleń. Jedno po drugim wносиło do skarbcza górniczej mądrości własne doświadczenia, które wraz z upływem czasu stawały się surowymi regułami porządku górniczego. Przestrzeganie tych reguł było dla pokoleń wstępujących nie tylko obowiązkiem zawodowym ale i nakazem moralnym. Dziś zapoznając się z tymi przykazaniami skłonni jesteśmy traktować je raczej jako stare przywiarki niż święte prawa do przestrzegania. Gdyby tak było, byłby to pogląd niesłuszny, gdyż mądrości te mają charakter uniwersalny i nawet dziś znaleźć w nich można treści nas dotyczące. A zatem przeczytajmy i zdobądźmy się na głębszą refleksję.

- gwizdanie na dole jest kategorycznie zabronione, gdyż przywabia „istoty demoniczne” a faktycznie gwizdzący rozprasza sobie i otoczeniu uwagę,

- podziemia nie noszą „kłątwarzy”, kto przeklina, tego skarbnik może poczęstować siarczystym policzkiem,

- zasypianie na dole jest poważnym zaniedbaniem a jednocześnie pogwałceniem obowiązującej czujności (kto w robocie śpi — temu się bieda śni — mówi stare przysłowie górnicze),

- z górniczej roboty nie należy uciekać. Z wykonanej roboty należy złożyć przełożonemu sprawozdanie,

- w robocie należy słuchać starszych rangą i stażem,

- wszystkich napotkanych pozdrawiać odwiecznym apellatywem „Szczęść Boże”,

- młodych należy stale przyuczać i ćwiczyć,

- kunszty różne, maszyny, „noczynia” i urządzenia kopalni strzec jak oka w głowie,

- wszystkie istoty żywe na dole chronić. Myszy, pajaków, much, żab, koni nie wolno dręczyć ani ich zabijać,

- potrzebującym nieść pomoc nawet za wszelką cenę.

Oszczędność. Jest nakazem chwili. Nasza kopalnia chlubi się jednym z najniższych wskaźników kosztu produkcji, wynoszącym w 1983 roku 1428 zł na tonę wydobywania.

Ale czy jest to kres możliwości załogi w zakresie oszczędzania? Na pewno nie. Tak zawodowo doświadczona i wykształcona kadra potrafi z pewnością jeszcze bardziej racjonalizować zużycie przynajmniej podstawowych materiałów i narzędzi: taśm, śrub, nakrętek, lin, lutni, kabli i przewodów, gwoździ, siekier, kilofów, łopat itd. Potrafi, bo w zakładanym programie oszczędności wyznaczyła sobie ambitne zadanie ograniczenia zużycia materiałów o wartości 14 mln zł. Ale czy jest to ostatnie słowo załogi? Podobno rezerwy w oszczędzaniu są nieograniczone.

Przyszłość węgla. Jest nią chemiczna przeróbka. Obecne użytkowanie węgla przez spalanie — to prawdziwe barbarzyństwo. Aż trudno uwierzyć — schyłek XX wieku, człowiek dysponuje skomplikowaną aparaturą badawczą a nie potrafi właściwie spożytkować węgla — tego najcenniejszego skarbu podziemi. Zastanawiające to!

Ale węgiel — niegdyś motor industrializacji a potem surowiec niechciany, wyparty przez ropę naftową — znowu zaczyna wracać do łask. Powraca, bo węgiel jest czymś więcej, niż tylko paliwem do pieców. Węgiel może być niezastąpionym surowcem chemicznym. Na świecie istnieją już wypróbowane technologie, które np. z 5 mln ton węgla pozwalają otrzymać, w zależności od zastosowanej metody, 4 mln ton metanolu jako dodatku do paliwa lub 1,7 mln ton benzyny syntetycznej, lub 2,5 mld m sześć. gazu syntetycznego lub wreszcie 1 mln ton benzyny i oleju opałowego i 1 mld m sześć. gazu ziemnego.

Łatwo wyliczyć, ile „petrodolarów” moglibyśmy zarobić, gdyby z ziemowickiego węgla, w sam raz nadającego się do tego, przeznaczyć do chemicznego użytkowania rocznie 5 mln ton. Może doczekamy jeszcze takich czasów?

Rada Pracownicza. Ukonstytuowała się w kopalni 3 listopada 1983 roku, po przeprowadzonych wcześniej wyborach. Zgodnie z paragrafem 31 nowej ustawy o przedsiębiorstwach rada jest jednym z trzech organów przedsiębiorstwa. Z wielu uprawnień w jakie wyposaża ją ustawa najważniejsze jest uchwalanie planów rocznych kopalni, przyjmowanie sprawozdań z ich wykonania, także podział funduszu zakładowego.

Ziemowicka Rada Pracownicza składa się z 17 członków, wśród których jest 13 robotników. Godząc społeczny interes kopalni

z interesem załogi Rada stara się w granicach swego umocowania prawnego jak najlepiej służyć ludziom. Z wielu inicjatyw jakie już podjęła, na szczególną uwagę zasługuje uchwała dotycząca budowy nowego domu wczasowego — z zapleczem gastronomicznym, przedszkolem, basenem, sauną, placami gier i zabaw, wypożyczalnią sprzętu itp.

Służba zdrowia. Górnicza, oczywiście — wypełnia wielorakie zadania, ale wszystkie sprowadzają się do jednego wspólnego mianownika: szeroko pojętej troski o zdrowie załogi.

W Zakładzie Leczniczo-Zapobiegawczym nad zdrowiem załogi czuwa prawie 100 osób: 13 lekarzy, różnych specjalności, 4 lekarzy dentyistów, 12 techników radiologii, fizykoterapii, analityki, 14 pielęgniarek, 30 salowych itd.

Zakład zajmuje obszerny budynek, w którym mieszczą się: duża pracownia radiologiczna z nowoczesnym torem wizyjnym, laboratorium analityczne wykonujące badania na poziomie średniego szpitala, gabinet endoskopii wykonujący badania przewodu pokarmowego, gabinety stomatologiczne, okulistyczny, chirurgiczny, badań słuchu oraz ogólnolekarskie.

Na drugim piętrze budynku znajduje się oddział rehabilitacyjny na 40 łóżek z dobrze wyposażonym gabinetem kinezyterapii.

A wszystko zaczęło się w 1950 roku od skromnej izby opatrunkowej, w której pierwszej pomocy udzielali trzej sanitariusze: p.p. Stylok, Czipionka, Piętka. Ale załoga kopalni powiększała się i bez fachowej opieki lekarskiej nie mogła się obyć. Pierwszym lekarzem, który położył podwaliny pod rozwój bazy i wziął na siebie odpowiedzialność za zdrowie górników był dr Józef Waloszek. Za nim przyszli inni lekarze: Borowski, Kempny, Zając, Godziek. Wszyscy byli młodzi, pełni zapału i dobrych chęci. W roku 1954, za czasów dyrektora Dychusa, przychodnia otrzymała parter ówczesnego Domu Górnika, gdzie urządzono pracownię analityczną, radiologiczną, gabinet dentyistyczny i inne. Przybywało też lekarzy i białego personelu.

W roku 1971 zakład przeniesiono do zaadaptowanego budynku, w którym mieści się i funkcjonuje do dziś.

Terminy górnicze. Są prawdziwą ozdobą żargonu górniczego. Ileż w nich obrazowości, ile ekspresji. Wiele z nich wskazuje na wiejski, chłopski rodowód górników. Używają tych słów szczególnie starsi górnicy. Ale młodzi też nie chcą z nich rezygnować, wzbogacając własny język o nowe terminy. Spośród wielu oryginalnych słów wybierzmy te,

które — choć tego sobie nie uświadamiamy, tworzą swoiste górnicze ZOO.

kokot — kawałek lontu prochowego służącego do odpalania ładunku,

pies — łapacz wozów na pochyłych wyrobiskach korytarzowych, dawniej wóz,

wilk — niewypał

koza — rodzaj wozu do transportu materiałów,

suka — jak wyżej,

kot — kłęb rozplecionej liny stalowej,

wsza — odstający drut w stalowej linie,

koń — poziomy podciąg w konstrukcji obudowy wielobokowej,

kobyła — zaciągnięta pętla na linie wyciągowej,

żaba — dawny typ lampy olejnej,

raczek — wymienne ostrze wiertła,

bąk — rodzaj zębatki,

baran — zakrzywiony hak w linie stalowej,

śledź — rodzaj klina w obudowie stalowej czarnej,

byk — pneumatyczny zapychak wozów,

bocian — czujnik spiętrzenia węgla na przesypach,

kruk — kruszarka kęsów,

pająk — rodzaj pomostu szybowego.

Jak widać nie jest ich mało. A gdyby wziąć jeszcze do ręki stare słowniki górnicze, podobnych terminów znalazłoby się więcej.

Uwaga górnicy i górnicza służba wentylacyjna! Na najbliższe godziny przewiduje się znaczny spadek ciśnienia..." Ludziom zawodowo nie związanym z górnictwem komunikat taki nic nie mówi. Górnikom natomiast przekazuje niezmiernie ważną wiadomość: tamy oddzielające czynne wyrobiska od starych zrobów, będą robiły „wydech”. A „wydech” dla górników, którzy znaleźliby się w pobliżu takich tam, oznacza niebezpieczeństwo zatrucia się lub uduszenia szkodliwymi gazami.

Jeśli zaś komunikat radiowy informował będzie, że „...na najbliższe godziny przewiduje się stopniowy wzrost ciśnienia...” górnicy będą wiedzieli, że tamy zaciągną się porcją świeżego powietrza, a więc zrobią „wdech”. Sytuacja taka nie jest niebezpieczna, choć niepożądana, gdyż przy najbliższej niższe ciśnienia tlen „przerobiony” na dwutlenek węgla znów poczęstuje górników porcją „złego powietrza”. Dziwne to — tamy górnicze potrafią oddychać.

Dla górników jednak nie dziwne. Dlatego do podstawowych

górnicych obowiązków należy codzienne słuchanie komunikatów katowickiego radia.

Wierzyć nie wierzyć? Uwierzą w prawdziwość tego zdania na pewno górnicy, bo podobnych na dole zachodzą codziennie dziesiątki.

W niedzielę po południu „wysiadła” pompa i „muldę” na trzecim prawie pod strop zalała woda. Za „muldą” — przodek. Przyszli w poniedziałek na pierwszą zmianę. Przodek musi być obłożony, musi „jechać” i musi być przebity do wyżej biegnącego chodnika wentylacyjnego. Musi być przebity a tu woda. Zanim naprawi się pompę, zanim odpompuje się wodę — minie dniówka. Sztymar proponuje przepłynięcie „muldy”. Przodowy i kombajniści nie pływają. Zresztą nie chcą moczyć ubrań przed rozpoczęciem dniówki. Mówią zdecydowanie: nie!

Wtedy sztymar i nadsztymar proponują przeniesienie ich na plecach. Zgadzą się. Więc obaj przełożeni w ciemnej, mętnej wodzie przenoszą całą obsadę na drugą stronę „muldy”. Przodek rusza. I przebija się do chodnika wentylacyjnego po świeże powietrze. Wierzyć? Tak — wierzyć!

Ze swego mieszkania widzi 73-letni Alojzy Żołneczek betonową konstrukcję wieży szybowej. Jest ona dla niego symbolem kopalni, do której zjeżdżają codziennie dwaj jego synowie Edmund i Alojzy. Jest ta wieża symbolem ich świata, w którym spędzają większą część swego życia. Tak jak symbolem jego kopalni i jego życia były stalowe konstrukcje wież szybowych stárego „Piasta”, na którym przepracował 45 lat, tak jak symbolem kopalni i górniczego życia jego ojca i dziadka były drewniane konstrukcje dawnych „piastowskich” szybików i upadowych.

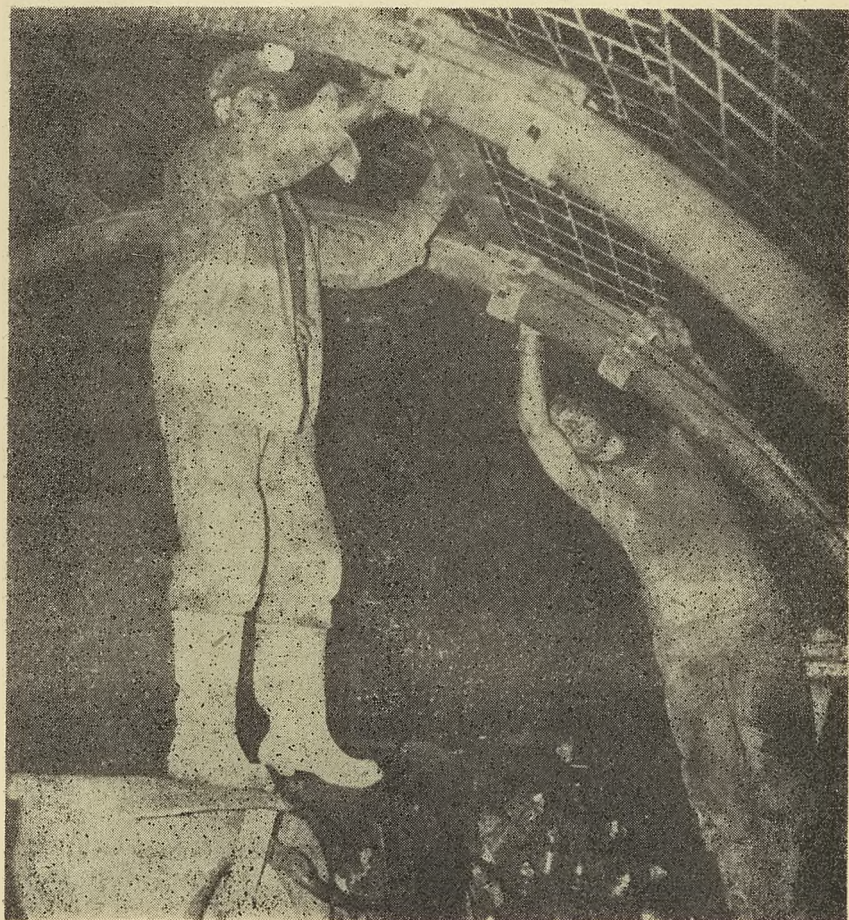
Idzie przez historię pokolenie za pokoleniem i przenosi przez życie własne obrazy śląskiego pejzażu, dźwiga własne brzemie górniczej roboty, przetacza własny człowieczy los. Zakuwa ogńiw po ogniwie długiego, niekończącego się łańcucha górniczych tradycji, górniczego trwania w służbie ludziom i ojczyźnie.

A czy wnuki lędzińskich Żołneczków dopiszą historii ciąg dalszy?

Złować należy starych, wysłużonych maszyn, urządzeń i narzędzi górniczych. Postąpiliśmy z nimi bardzo niefrasobliwie. Zapatrzeni w problemy codzienności, zniewoleni fetyszem nowoczesności, zapomnieliśmy do krzty obejrzeć się za siebie. A za sobą w popiołach czasu zagrzebaliśmy wartości bezcenne. Nic więc dziwnego, że dziś trudno nam

już spotkać dawne akcesoria górniczego wyposażenia: karbidkę z blendą, skórzany hełm, nieckę. Jeszcze trudniej stary typ pneumatycznego kołowrotu, czy wrębiarki WŁE-40s. Wszystko to bezpowrotnie zaginęło. Z naszej winy. A przecież mogłoby znaleźć się w naszej kopalni miejsce, gdzie gromadzono by dla potomnych przynajmniej po jednym egzemplarzu wycofanego urządzenia czy narzędzia. Kultura to nie tylko zdolność tworzenia wartości duchowych ale i materialnych. A takimi wartościami na pewno są wytwory myśli i rąk ludzi górnictwa.

Alojzy Lysko



WIERNI SWEMU STANOWI



Górnictwo to kopalnie, nowoczesność i postęp techniczny, nieustępliwa walka z siłami przyrody. A ludzie węgla? Kim są ci, którzy codziennie rzucają losowi wyzwanie. Co myślą o swojej pracy, o kopalni, dlaczego wybrali ten trudny zawód? Wielokrotnie — jako nauczyciel w szkole górniczej — usiłowałem odpowiedzieć sobie na niektóre przynajmniej z tych pytań.

Zjeżdżałem wilgotnym szybem pod ziemię, przemierzyłem kilkadziesiąt kilometrów mrocznymi korytarzami, z duszą na ramieniu słuchałem przeraźliwego trzasku odrywających się od ściany dziesiątek ton węgla, ale nie znalazłem tego, czego szukałem. Zawarłem wiele znajomości, zamieszkałem w górniczym bloku... i mimo to nie czuję się moralnie upoważniony do zadawania dręczących mnie pytań górnikom. W czasie dojazdów do pracy pilnie przyglądałem się współpasażerom, starałem się odgadnąć ich myśli, ale twarze górników też mi nic nie powiedziały. Zaobserwowałem tylko, że w drodze do pracy wyrażają skupienie, poważne myśli krążą już wokół tego, co za kilkadziesiąt minut stanie się celem działania. Inaczej jest w drodze powrotnej. Mówi się o sprawach codziennych, rozrywkach i wypoczynku, natomiast nie słychać rozprawiania o samej pracy.

Podzieliłem się swoimi rozterkami ze starszymi kolegami i oto narodził się pomysł wykorzystania naszych uczniów do szukania odpowiedzi na postawione wyżej pytania. Uznaliśmy, że ci młodzi ludzie mają prawo zwrócić się o to do swoich przyszłych towarzyszy pracy. Odpowiadali zarówno ludzie młodzi, pracujący po kilka lat na „Ziemowicie”, zaawansowani wiekiem i stażem, zahartowani w trudzie oraz ci, których już nie dojrzyysz w wielotysięcznym tłumie udającym się na szychtę. Właśnie najcenniejsze z wychowawczego punktu widzenia są wypowiedzi emerytowanych górników, którzy kolejny raz udowodnili swoją

postawą, że na nich zawsze można liczyć, że w każdej chwili swoją wiedzę życiową, doświadczenie i rozwagę mogą i potrafią przekazać młodemu. Dzięki kontaktom z weteranami górniczego trudu wielu naszych uczniów utwierdziło się w przekonaniu, że ich decyzja o wyborze miejsca nauki i pracy była słuszna.

Przytoczę fragmenty niektórych tylko wypowiedzi. Na pytanie, co skłoniło pana do podjęcia pracy w kopalni? — odpowiada emerytowany górnik, pan Grabowski: — Związałem się z tą kopalnią już czterdzieści lat temu. Pochodzę spod Gliwic i w czasie wojny, po aresztowaniu zostałem osadzony w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i tam dowiedziałem się o istnieniu w Łędzinach podobozu, którego więźniowie budowali nowoczesną kopalnię. Baraki stały mniej więcej tam, gdzie dziś znajduje się nasza piękna szkoła. Do pracy dowożono również więźniów z naszego obozu. Spałem na jednej pryczy z Józkiem Mamrą, który też tam musiał pracować i z nim to właśnie rozprawialiśmy jaką to piękną kopalnię będziemy mieć po wojnie: Był przekonany że będzie ona nasza jak tylko odzyskamy wolność. Niestety, Józek tego dnia nie dożył, zamordowano go w obozie. Po wyzwoleniu przyjechałem do Łędzin wraz z grupą byłych więźniów, zatrudnianych przy tej budowie. Zakład mi się spodobał i tak już zostałem...

Pokazuje jeszcze pan Grabowski swoje odznaczenia za długoletnią pracę i kończy słowami: — Trzymaj się, synku tej naszej kopalni i górnictwa, bo to piękny i zaszczytny zawód.

Inny rozmówca, pan Jan Latocha: — W roku 1957 kończyłem szkołę zawodową w specjalności ślusarz i nie miałem problemu z wyborem miejsca pracy. Od dziecka imponowały mi koparki, spycharki i inne wielkie maszyny, posłuszne ręce mądrego człowieka. W tym czasie przy kop. „Ziemowit” istniała kopalnia odkrywkowa, a węgiel urabiano przy użyciu wymarzonych kółców, stąd też nie zastanawiałem się długo. Wędrowałem po różnych działach, poznawałem stopniowo cały zakład, aż wreszcie po kursie trafiłem na swój sprzęt i zostałem operatorem koparki. Minęły lata, zmieniały się czasy i sama kopalnia. Nie ma już dziś „odkrywki”, na jej miejscu stoją obiekty szkoły górniczej, gdzie kształcą się nasi następcy. A ja? No cóż, pozostałem wierny młodzieńczej pasji, pracuję nadal jako operator i mechanik ciężkiego sprzętu, jako instruktor szkołę też nowo przyjętych pracowników. Choć nie pracuję na dole i nie jestem „czystym” górnikiem, pracę swoją po dziś dzień wykonuję z przyjemnością i satysfakcją, której nie zastąpią żadne pieniądze, chociaż zarobki pod ziemią są o wiele wyższe. Jestem pracownikiem kopalni „Ziemowit” i jak umiem przyczyniam się do jej rozwoju. Pamiętam

o tym, że pieniądze to jeszcze nie wszystko, przekonanie o własnej przydatności dla kolegów, zakładu i kraju to największe bogactwo.

W wielu jeszcze wypowiedziach powtarza się ta myśl, choć nie ukrywają, że pieniądze też były powodem związania się z górnictwem. Łatwość uzyskania mieszkania przyciągnęła do Łędzin wielu młodych ludzi, którzy jednak dodają, że ci wszyscy, którzy szukali w kopalni tylko łatwego zarobku, szybko i niemile się rozczarowali. Nie jest to praca łatwa i aby zostać, trzeba ją po prostu polubić, dać z siebie wszystko a zarobki i zaszczyty same przyjdą.

Kilku naszych rozmówców związek z „Ziemowitem” zawarło już we wczesnym dzieciństwie, pochodzą bowiem z rodzin górniczych. Pan Jan Saternus ze swym bratem tworzą już trzecie pokolenie. Ich dziadek w czasie okupacji budował zakład, w którym podjął pracę jego syn, aby z kolei przyprowadzić tu swoich synów, którzy dochowują wierności rodzinnej tradycji. Sześćoletni dziś syn pana Jana, Bartek w marzeniach ojca jest już kontynuatorem drogi obranej przez pradziada. Wielu członków rodzin górniczych wręcz mówi o tym, że wstyd byłoby im podjąć pracę gdzie indziej.

— Sporo młodych ludzi przyszło do kopalni po ukończeniu szkoły górniczej. Trafili na sprzyjające warunki i zostali. Sporo też związało się z naszym zakładem poprzez służbę wojskową. Wszyscy podkreślają, że o pozostaniu na „Ziemowicie” zdecydowały dobre stosunki międzyludzkie, wzajemne zaufanie do współtowarzyszy pracy. Sumiennosc i obowiązkowość w codziennej pracy powodują, że ludzie wzajemnie sobie wierzą, mogą na sobie polegać. Załoga jest jak rodzina. Użyli tego zwrotu wielokrotnie ci, którzy za rodzinę się uważają a kopalnię często nazywają drugim domem. Z tego emocjonalnego związku rodzi się też troska o dalsze losy kopalni, jej rozwój i duma. Pośród ponad stu wypowiedzi były i głosy krytyczne. Miały one na celu zasygnalizowanie młodzieży problemów, z jakimi mogą spotkać się absolwenci w niedalekiej przyszłości.

Przeprowadzone przez uczniów ZSG wywiady przekonały mnie, że górnictwo to nie zawód taki sam jak inne. Świadczy o tym przywiązanie górników do swojej kopalni i troska o jej dalsze losy.

Tadeusz B. Groszek

UCZYMY SIĘ LICZYĆ

Kopalnia wydobywa węgiel. Wiemy to. Ale czy wiemy jakim kosztem? Nie zawsze. Warto więc dowiedzieć się coś na ten temat. Najprościej posłużyć się w tym celu wskaźnikiem powszechnie znanym — kosztem jednostkowym, który mówi, ile złotych trzeba włożyć, aby wydobyć jedną tonę węgla.

Koszt wydobycia 1 tony węgla w naszej kopalni jest najniższy w polskim przemyśle węgla kamiennego. W roku 1984 wynosił on średnio 1660 złotych. Co składało się na tę wielkość?

Przede wszystkim wynagrodzenie za pracę. Płace łącznie z rekompensatami, trzynastą i czternastą pensją, wynagrodzeniem barbórkowym oraz nagrodami jubileuszowymi stanowiły 36 proc. całkowitego kosztu produkcji. Jeśli doliczyć do niego odprowadzony do budżetu państwa podatek od wynagrodzeń i przekazane do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych składki — wskaźnik ten osiągnął już poziom 57 proc. całkowitego kosztu własnego.

Ogólnie — nakłady związane z wynagrodzeniem pracowników zatrudnionych w kopalni, łącznie z narzutami z tytułu podatków i ubezpieczeń społecznych, a także odpisami na fundusz socjalny, mieszkaniowy, postępu techniczno-ekonomicznego stanowiąc tzw. koszty niematerialne produkcji wyniosły ponad 60 proc. całkowitego kosztu wydobycia.

Przenosząc tę wielkość na każdego pracownika zatrudnionego w kopalni, w koszcie wydobycia 1 tony tkwiło 9 groszy. Odnosząc zaś tę wielkość do wszystkich zatrudnionych (około 11 tysięcy) 1 tona obciążona była kwotą 970 złotych. Koszt ten, oczywiście można byłoby obniżyć. Otóż gdyby podnieść wydajność ogólną, wynoszącą obecnie 3.050 kg na pracownikodniówkę, tylko o 10 kg, umożliwiłoby to obniżenie zatrudnienia o 40 pracowników, a to z kolei spowodowałoby obniżenie kosztu wydobycia 1 tony o 3,60 zł. Zaś wzrost wydajności o 50 kg na pracownikodniówkę pociągnąłby za sobą obniżenie kosztu jednostkowego o 18 złotych, a więc o 1 proc. I ten 1 proc. mógłby stać się programem minimum ambitnej załogi „Ziemowita”.

Jak się rzekło: płace stanowiły trzy piąte kosztów wydobycia. Pozostałe dwie piąte — to koszty materialne, w skład których wchodziły: materiały, usługi wiertniczo-górniczne, amortyzacja środków trwałych, energia itp.

W roku 1984 na zakup materiałów przeznaczono kwotę 1930 mln złotych, tj. 15 proc. całkowitych nakładów. Z tego na zakup materiałów do obudowy chodnikowej — 226 mln złotych, taśmy przENOŚNIKOWEJ — 156 mln, kopalniaków — 59 mln, wyrobów

walcowanych — 55 mln. Jeśli zmniejszenie funduszu płac było raczej utrudnione, to za podstawową drogę zmniejszenia kosztów produkcji uznano właśnie tę — oszczędność materiałową.

Zmniejszenie zużycia materiałów, np. jednego przęsła przenośnika zgrzeblowego to oszczędność — 3000 złotych, jednej lutni z tworzyw sztucznych — to oszczędność — 6.200 złotych, 1 kompletu obudowy stalowej — 5.270 złotych, 1 m sześciennego drewna — 4.000 złotych, 1 mb. taśmy przenośnikowej — 3.300 złotych.

Było się o co bić! Oszczędne gospodarowanie materiałami, zwiększenie ilości odzyskiwanego materiału i jego powtórne stosowanie po odpowiedniej regeneracji — to bowiem podstawowy warunek obniżenia kosztów wydobycia węgla. Załoga kopalni coraz lepiej rozumiała to, coraz częściej też spotkać można było górników i sztygarów zdecydowanie przeciwstawiających się przypadkom marnotrawstwa.

Drugą pozycję kosztów materialnych stanowiły usługi wiertniczo-górniczne (7—8 proc. całkowitych kosztów). Były to nakłady związane z zapłatą za roboty zlecone przedsiębiorstwom obcym, głównie PRG w Mysłowicach. W roku 1984 zakres tych robót był szeroki i obejmował wydrążenie 900 mb wyrobisk korytarzowych, 16.000 m sześć. komór, 15.000 mb torów, 5.000 mb ścieków itp. I za te prace trzeba było zapłacić według obowiązującego cennika.



Istotny udział w kosztach produkcji miała amortyzacja, czyli równowartość stopnia zużycia środków trwałych, zaangażowanych w 1984 r. w procesie produkcji. Stanowiła ona 6 proc. całkowitego kosztu wydobycia 1 tony. Wartościowo zaś przekroczyła ona kwotę 21 mld złotych. Kwota ta przeraża swoją wysokością, lecz kto posiadał choć minimum wiedzy ekonomicznej — ten wie, że jest ona rozłożona na kilka a nawet kilkadziesiąt lat, np. obudowa zmechanizowana na 5 lat, kołowroty na 4 lata, wozy kopalniane na 8 lat, pompy — 10 lat. Po tych latach wysokości odpisów pozwalają na odtworzenie zużytych środków trwałych. Nie oznacza to, by poprzez racjonalniejszą eksploatację nie można było przedłużyć życia środków trwałych. Efekty gospodarowania mogłyby dać załodze kolejny powód do zadowolenia.

Wreszcie koszty energii, stanowiące w 1984 roku 2,6 proc. kosztu produkcji. Na tym polu było najwięcej do zrobienia. Moc zainstalowanych w kopalni maszyn i urządzeń wynosiła 134 tysiące kilowatów. Średniodobowe zużycie energii elektrycznej wahało się w granicach 600—660 tysięcy kilowatogodzin, co równało się nakładom 1 mln złotych dziennie. I znów gdyby udało się zmniejszyć zużycie o 10 proc., można by było zaoszczędzić ponad 30 mln złotych. A było to możliwe, bo sposobów na oszczędność energii elektrycznej jest w kopalni wiele: eliminowanie biegów jałowych maszyn, ograniczenie poboru mocy w godzinach szczytu itd.

Kiedy więc już znane są wszystkie składniki kosztu wydobycia 1 tony i kosztów całkowitych wydobycia prawie 8 mln ton węgla w 1984 — nie trudno zauważyć, iż w każdym z tych składników tkwiły i tkwią nadal spore możliwości ich obniżki. Czy te możliwości zostaną wykorzystane w nowym 1985 roku? Na to pytanie odpowiedzi poszukać muszą już sami górnicy.

Urszula Świtula-Jeruzol

OKIEM SOCJOLOGA

Obok innych specjalistów również socjolodzy interesują się kopalnią. Są wszakże fachowcami od spraw ludzkich, pracowniczych. W marcu 1974 roku, a więc 10 lat temu, zostały przeprowadzone badania nad strukturą społeczno-zawodową ówczesnej załogi kopalni „Ziemowit”. Po dziesięciu latach zastanówmy się nad tym jak zmieniliśmy się, w jakich kierunkach te przemiany podążają.

Kiedy porównujemy marzec 1974 r. z początkiem 1984 r., to przede wszystkim uderza liczebność zatrudnionych. Dziesięć lat temu, przy oczywiście mniejszym wydobywaniu, kopalnia liczyła 7.419 pracowników, zaś rok 1984 rozpoczęła w gronie 11.249, a więc jest nas o 3.830 więcej, co stanowi wzrost o ponad 50 proc.

Kopalnia głębinowa to zakład pracy przede wszystkim dla mężczyzn, zatrudnianych głównie pod ziemią. Stąd też kobiety stanowią w 1974 roku 11,4 proc. ogółu załogi, a obecnie już tylko 10,4 proc. Biorąc pod uwagę mechanizację niektórych prac fizycznych jak i obliczeniowych, jest to kierunek zmian prawidłowy.

Na przestrzeni minionych dziesięciu lat przemiany jakie nastąpiły w sposobach urabiania węgla znalazły swoje odzwierciedlenie również w strukturze zatrudnienia oddziałów dołowych. W 1974 roku pod ziemią było zatrudnionych 62,2 proc. całej załogi, obecnie zaś 68,2 proc. Dawniej najliczniejsze spośród załogi dołowej były oddziały wydobywcze (22,7 proc.), dzisiaj zaś najliczniejsze są oddziały energomaszynowe, które zatrudniają 21 proc. ogółu pracowników dołowych. Wzrost zatrudnienia w tych oddziałach jest najszybszy i wyniósł w tym okresie 8,2 proc. Wzrost zatrudnienia nastąpił również w oddziałach przygotowawczych (o 4,4 proc.) oraz pomocniczych (o 1,7 proc.), a zmalało zatrudnienie w oddziałach wydobywczych (o 2,9 proc.), mimo ogromnego wzrostu wydobywania. Świadczy to o pożądanym kierunku przemian, a równocześnie o wzroście zapotrzebowania kopalni na fachowe, wykwalifikowane kadry.

W okresie minionych dziesięciu lat jedni odeszli na emeryturę, inni zaś rozpoczęli pracę. Wiek załogi i jej staż pracy w kopalni uległy największym zmianom. W 1974 roku pracowników najmłodszych, liczących od 18—24 lat było ogółem 15,9 proc., dzisiaj zaś tych najmłodszych jest prawie dwukrotnie więcej, bo 28,4 proc. ogółu zatrudnionych. Oni właśnie nadają ton kopalni,

oni są tu najliczniejszą grupą wiekową. Drugą z kolei grupę stanowią również młodzi, bo liczący 25—30 lat pracownicy, których jest 23,6 proc. Kiedy porównamy średnią wieku załogi sprzed dziesięciu lat z dzisiejszą, to dojdziemy do wniosku, że uległa ona znacznemu obniżeniu. Dawniej wśród całej załogi pracownicy w wieku do lat 30 stanowili tylko 27,8 proc., dziś zaś w tej samej grupie jest 52,0 proc. Ten fakt jest najważniejszym wyrazem przemian jakie zaszły wśród załogi.

Z wiekiem łączy się staż pracy. O ile dziesięć lat temu ludzi ze stażem pracy w kopalni „Ziemowit” wynoszącym do 1 roku było 3,9 proc. to w 1984 roku takich samych było aż 28,6 proc. Drugą najliczniejszą grupę stanowią ludzie ze stażem pracy wynoszącym 2—5 lat. Jest ich 27,7 proc. Porównując to z danymi sprzed dziesięciu lat stwierdzamy, że wtedy najliczniejszą grupą byli pracownicy ze stażem ponad dziesięcioletnim (66 proc. ogółu ówczesnej załogi), a obecnie takich ludzi jest tylko 26,9 proc. Świadczy to o wielkiej roli jaką mają do spełnienia dozór oddziaływy i całe kierownictwo kopalni. Stoją bowiem przed nimi ogromne zadania wychowawcze odnoszące się do tej młodej, lecz stanowiącej ponad 56 proc. kopalnianej załogi.

Porównując poziom wykształcenia obecnego i tego sprzed 10 lat stwierdzamy, że dominującą grupą jest ta część załogi, która posiada wykształcenie zasadnicze zawodowe. Dzisiaj ta grupa to 50,2 proc. nas wszystkich, podczas gdy 10 lat temu stanowiła tylko 36,9 proc., a najliczniejszą była grupa pracowników z wykształceniem podstawowym.

Czas zmienił nas. Już nawet tak cząstkowa fotografia socjologiczna pokazuje, że na przestrzeni minionego dziesięciolecia nasza załoga powiększyła się i poważnie się odmłodziła. Wyraźnie podniósł się poziom wykształcenia, który mimo obniżenia średniej stażu miał wpływ na znaczny wzrost wydobywania i wydajności pracy.

Jerzy Janota



Жыроўніенія



ODDZIAŁY MŁODZIEŻY POWSTAŃCZEJ

pierwsza młodzieżowa organizacja
polityczna Ślązaków



ok 1932. W Katowicach odbywa się Zjazd byłych Powstańców Śląskich. Ci, którzy czynem zbrojnym wykuli drogę Śląska do Macierzy, postanawiają utworzyć organizację skupiającą ich synów i córki. Uchwałę wszyscy przyjmują z niebywałym aplauzem.

Już po trzech miesiącach działalności młodzi Ślązacy dają znać o sobie. Zostaje opracowany statut organizacji i powołany Zarząd z druham Władysławem Salą na czele. Rusza praca organizacyjna. Najpierw w Katowicach i Chorzowie, później w powiecie rybnic-

kim i pszczyńskim. W marcu 1933 roku odbywa się zjazd ompiaków w Pszczynie. Zawiazuje się siedmioosobowy Zarząd Powiatowy Oddziałów Młodzieży Powstańczej. Pierwszym prezesem powiatowym zostaje druh Teodor Jaromin z Brzezinki, sekretarzem druh Jan Czober z Łędzin. Za główny kierunek działalności nowo powstałej organizacji OMP przyjmuje się kultywowanie tradycji powstańczych ojców.

Początkowo pracą organizacyjną i wychowawczą w szeregach OMP kierują sami powstańcy. Później organizacja wylania z siebie własną kadre, aktywną, bojową. Przykładem tego może być OMP w Łędzinach. Zatrzymam się nieco dłużej przy rodzinnej miejscowości, gdzie w biedzie wychowała nas matka, od kołyski ucząc polskiej mowy.

Łędziny do 1939 roku liczyły około 3 tysiące mieszkańców. Mieszkańcy ci, to z dziada pradziada rolnicy lub robotnicy rolni zatrudnieni w folwarku niemieckiego magnata von Plessa, no i oczywiście górnicy pracujący w łędzińskiej kopalni „Piast”.



Druh Teodor Jaromin — prezes Zarządu Powiatowego OMP w Pszczynie (czwarty z lewej). Druh Jan Czober — sekretarz (czwarty z prawej). Autor wspomnień, druh Augustyn Kowalski — prezes OMP w Łędzinach (trzeci z prawej)

Z tych ludzi wywodzili się powstańcy śląscy: rolnicy — Karol Konieczny, Jan Musiał, wójt Paweł Spyra, górnicy — Józef Jurowicz, Józef Herla, Franciszek Kściuk, Paweł Janota, Augustyn Bromboszcz, Augustyn Sekuła, Paweł Urbanek, murarz — Michał Urbańczyk, kolejarz — Franciszek Chmielorz, sztygar — Alojzy Myszor.

W rodzinach tychże i w rodzinach wielu innych wyrosło wielu młodych Ślązaków, którzy w marcu 1933 złożyli deklarację wstąpienia do Oddziałów Młodzieży Powstańczej. Organizacja skupiła na początek 25 najbardziej oddanych sprawie druhów. Z upływem czasu szeregi jej rosły i umacniały się.

W zarządzie Oddziału należałem do grupy najbardziej doświadczonych politycznie. Jeszcze jako uczeń w 1921 roku byłem zaprzysiężonym łącznikiem przenoszącym meldunki do osady „Rotusz”, gdzie u mojej babki, u Regułów znajdował się powstańczy sztab. W latach dwudziestych i później mój ojciec pełnił społecznie funkcję przewodniczącego Rady Zakładowej Kopalni „Piaś”. Toteż na zebraniu wyborczym druhowie zgodnie orzekli: niech idzie śladami ojca! Zostałem więc wybrany prezesem łędzińskiej organizacji OMP. Moim zastępcą został druh Alojzy



Towarzystwo Młodych Polek współpracuje z OMP

Górnik, sekretarzem druh Teodor Hachuła, skarbnikiem listonosz druh Józef Musiał.

Na tymże zebraniu przyjęto ambitny program działania. Powstała sekcja kulturalna, w której aktywnie działało kółko teatralne. Wystawiono kilka sztuk: „Klimczok”, „Zemsta Cygana”, „Jak kapral Szczapa śmierć wykiwał”. Dochód z przedstawień przeznaczono na zakup mundurów organizacyjnych i pokrycie kosztów wielu organizowanych wycieczek. Opiekunem łęczyńskiej organizacji ompiackiej był sztygar Alojzy Myszor, który dawał z siebie wszystko, aby organizacja mogła krzepnąć i rozwijać się.

Niestety, po dojściu Hitlera do władzy, kiedy butny faszyzm niemiecki przestał już ukrywać swe prawdziwe zamiary, działalność ompiaków wprawdzie spotęgowała się, ale zmieniła profil. W Hołdunowie i okolicy niemieccy osadnicy popierani przez niemiecką administrację kopalni, coraz wyżej podnosili głowy. Niepokojąco rosły szeregi volksbundu. Cała więc uwaga ompiaków skoncentrować się musiała na walce z volksbundem. Powstają dwie grupy liczące po 10 członków, których zadaniem była ochrona ludności polskiej przed szykanami Niemców. Wtedy to niezwykle mocno zacieśnia się współdziałanie ompiaków łęczyńskich z oddziałami Młodzieży Powstańczej z Jaroszewic, Murcek i Goławca.

Augustyn Kowalski

OKRUCHY WSPOMNIENIĘ Z LAT 1945-1947



ychowani w państwach zaborczych w okresie międzywojennym zdobywali wiedzę i praktykę górniczą, którą mieliśmy dopiero spożytkować w Polsce Ludowej. Stara brać górnicza pracowała w zupełnie odmiennych warunkach niż w okresie międzywojennym, ofiarnie, bo miała wytyczony cel — odbudować Polskę z gruzów i zapewnić wszystkim Polakom dobre warunki życia. Czy ten cel spełniła, osądzi historia. W moich wspomnieniach nic nie napisałem o ochronie przyrody. Cieszyłbym się, gdyby w ka-

alendarzu poświęcono temu zagadnieniu choć drobną wzmiankę. Ja zapoczątkowałem zalesianie terenów zniszczonych robotami górniczymi. W planach inwestycyjnych przewidziałem budowę oczyszczalni ścieków dla osiedla w Hołdunowie, składając zlecenie opracowania projektu wstępnego oczyszczalni. Nie wiem też jakie środki zastosowało kierownictwo kopalni, aby nie zniszczyć terenów leśnych położonych na południe od kopalni.

. . .

Pracę na kopalni Piast-Ziemowit podjąłem dnia 2. 05. 1945 roku. Zostałem zatwierdzony przez OUG, wówczas z siedzibą w Katowicach, na kierownika ruchu zakładu, osobno dla kopalni „Piast” a osobno dla nowo powstającej kopalni „Ziemowit”. W latach międzywojennych kolejno pracowałem w kopalniach rudy żelaznej w Okręgu Częstochowskim, potem w kopalniach soli potaso-

wych w Stebniku i Kałuszu, w Rybniku w kop. „Emma” (Marcel) w Radlinie, w kop. „Anna” w Pszowie, wreszcie w kop. „Nowa” w Łazach. W czasie tej pracy zdobyłem duże doświadczenie niemal we wszystkich działach górnictwa.

Kopalnie w Okręgu Rybnickim miały trudne warunki geologiczne, cienkie pokłady węglowe, małe dopływy wody, były gazowe i pyłowe. Jakżeż odmiennie warunki spotkałem na kopalni „Piast-Ziemowit”. Tu były pokłady grube, upady małe 4°—5°, wyrobiska górnicze zawilgocone, mokre, temperatury niskie. Porównując warunki pracy na kopalniach rybnickich z warunkami na kop. „Piast” uważałem, że pracuję jakby w sanatorium.

W pierwszym okresie po wyzwoleniu pierwszym zawiadowcą kop. „Piast-Ziemowit” był mgr inż. Jan Lindner, drugim inż. Józef Wasilewski, a trzecim inż. Kazimierz Kokowski. Ja byłem z kolei czwartym. Nie wiem, dlaczego moi poprzednicy tak krótko pracowali na kop. „Piast”. Zastałem opłakany stan kopalni „Piast”. Budynek administracyjny wraz z magazynem był spalony. Spalone zostały również mapy pokładowe wyrobisk górniczych. Tymczasowo zarząd kopalni i administracja zostały ulokowane w czterorodzinnym budynku obok kopalni. Dostałem tu jeden pokój, gdyż mieszkanie dyrektora w Hołodunowie było zajęte przez inż. Wasilewskiego.

Wyrobiska górnicze w pokładzie 207 były częściowo zatopione. W pokładzie 209 wyrobiska podziemowe były zatopione. Upadowa IV była w trakcie odwadniania. Jednak nie można było szybko odwodnić kopalni, ze względu na małą przepustowość rurociągów w szybie wentylacyjnym. Przewietrzanie kopalni było niedostateczne. Szyb wentylacyjny służył nie tylko dla wentylacji, ale także do zjazdu załogi, opuszczania materiałów i wyciągania kamienia, więc służy na nadszybiu wciąż były otwierane. Braki w załodze były dotkliwe. Szczególnie brakowało rębaczy i średniego dozoru technicznego. Załoga liczyła 944 pracowników, nie wliczając w tę liczbę pracowników umysłowych. W tym mieściły się 53 osoby należące do kopalni „Ziemowit” a pełniące tam służbę wartowniczą. Nie było lekarza kopalnianego. Trudno było sprawdzić kto choruje, a kto bumeluje, dlatego frekwencja była opłakana. Również braki w zaopatrzeniu były ogromne. Brakowało drzewa, części zamiennych, butów gumowych, ubrań nieprzemakalnych.

Kierownictwo niemieckie kop. „Piast” forsowało wydobyć z pokładu 209 o grubości około 5 m. Dolnej ławy o grubości 2 m poprzerastanej łupkami nie wybierało się, bo kopalnia nie posiadała płuczki. Zachodni obszar pokładu 209 pod zabudowaniami wsi Łędziny Niemcy wybrali prawie w całości stosując tzw. sy-

stem szatkowania. Nie stosowali podsadzki płynnej, gdyż jej nie mieli. Straty węgla wynosiły do 50 procent. Nie otamowali także starych wyrobisk kopalnianych. Skutek był taki, że ze starych zrobów dwutlenek węgla podczas zniżek barometrycznych wydostawał się w dużych ilościach i groził zagazowaniem czynnych wyrobisk. Ponadto węgiel osypujący się z ociosów chodników po odtopieniu wyrobisk zagrzewał się chłonec tlen i powodował liczne pożary, które zagroziły kopalni już w roku 1947. Kopalnia nie posiadała stacji ratowniczej ani drużyny ratowniczej.

* * *

Na kopalni „Ziemowit” Niemcy zgłębili szyb główny do pokładu 209, osiągając głębokość 204 m, a wentylacyjny, również do pokładu 209, osiągając głębokość 178 m. Oprócz tego założyli upadową II z powierzchni do pokładu 207, której wykonano 120 m. Okupant przystępując do budowy kopalni „Ziemowit” w roku 1942 — na której wydobywie miało być uruchomione w roku 1944 — wybrał kop. „Piast” jako bazę do rozwinięcia robót przygotowawczych w pokładach 207 i 209, na południe od uskoku „Piast”. Uskok ten stanowił granicę między kopalnią „Piast” a kopalnią „Ziemowit”. Udało im się przebić ten niebezpieczny uskok i udostępnić pokład 207. Rozpoczęli także drażnienie chodnika celem zbiccia się z upadową II.

Z chodnika biegnącego równoległe do uskoku „Piast” w pokładzie 209 na poziomie +82 m, krótkim przekopem przebili Niemcy uskok „Piast” i pochylnią kamienną udostępnił pokład 209 na poziomie +103 m. Na tym poziomie przebili się chodnikiem do szybu wentylacyjnego kopalni „Ziemowit”. Z chwilą ucieczki Niemców w styczniu 1945 r. obydwie szyby i upadowa II oraz wyrobiska udostępniające pokładów 207 i 209 zostały zalane wodą. W roku 1945 teren kopalni „Ziemowit” nie był ogrodzony. Dużo materiałów, zwłaszcza lekkich, zostało wykradzonych. Niemcy budowali kopalnię jeńcami wojennymi, zakwaterowanymi w barakach, podporządkowanych komendzie obozu w Oświęcimiu-Brzezince. Oprócz tego zatrudnili dużo robotników przymusowych i Włochów. Kopalnia „Piast-Ziemowit” nie posiadała hotelu robotniczego ani kolonii robotniczej. Dlatego trudno było tuż po wojnie werbować nowych robotników. Dopiero pod koniec 1945 roku przydzielono kopalni ponad 1000 jeńców wojennych. W roku 1948 Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego przydzielił kopalni 540 domków fińskich, które postawiliśmy w Hołdunowie.

* * *

¹ W okresie międzywojennym kop. „Piast” wydobywała około 900 ton węgla dziennie. Niemcy doprowadzili wydobywie kopalni

do 2000 ton na dobę. W maju 1945 roku, kiedy obejmowałem tu kierownictwo, kopalnia wydobywała około 600 ton na dobę. Zobowiązałem się do sierpnia 1945 roku dać wydobyć dziennie 1000 ton. Zadanie było trudne do zrealizowania. Front robót górniczych był bardzo mały. W pokładzie 207 na poziomie około 60 metrów wybierało się resztki zasobów węgla z filarów okalających drogi przewozowe. W pokładzie 209 czynne były filary z pochylni XI, XII i XIII założonych z chodnika podstawowego (linowego) na poziomie +151 m we wschodniej partii pokładu. Partia pokładu 209 na zachód od szybów, powyżej poziomu +125 m była w całości wyeksploatowana, a poniżej poziomu — w trakcie odwadniania.

Oceniałem zasoby kopalni „Piast” na około 3 miliony ton i to głównie zawarte we wschodniej partii pokładu 209 pod Hołdunowem i przysiółkiem Nowa Gać. Przy tak małych zasobach skazana była na zamknięcie. Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego w planie 10-letnim przewidywał połączenie kop. „Piast” z kop. „Ziemowit”, co zresztą planowali i Niemcy. Kopalnia „Piast” mogła istnieć dalej, ale należało do niej przyłączyć pokład 207 w partii położonej na południe od uskoku „Piast”, o zasobach około 10 milionów ton. Dla mnie nie było problemu w przygotowaniu do eksploatacji pokładu 207 na południe od tego uskoku, gdyż pokład ten jak już wspominałem został udostępniony podczas okupacji.

* * *

Kop. „Piast” poza wieloma korzystnymi w stosunku do innych kopalń warunkami, miała trudny do pokonania problem hydrogeologiczny. W czasie moich pierwszych lat pracy nieraz pompowaliśmy prawie 30 m sześć. wody na minutę, co przy wydobywaniu 2000 t/d dawało przeszło 20 ton wody na jedną tonę wydobywania. Nic więc dziwnego, że niektórzy fachowcy w CZPW kwestionowali w planie 10-letnim celowość budowy kop. „Ziemowit”. Problemowi hydrogeologicznemu zaraz po objęciu kierownictwa poświęciłem bardzo dużo czasu i sił.

Kop. „Piast” w swoim istnieniu miała 5 groźnych zawałów wodnych. Pierwszy w zachodniej partii pokładu 209, powyżej poziomu 150 m w pobliżu uskoku „Przyrwy”. Zawał ten został opanowany. Otamowano duży obszar pokładu, z którego przez szereg lat czerpano wodę pitną pompowaną osobnym rurociągiem na powierzchnię, zaopatrującym Łędziny i pobliskie wioski.

Drugi zawał wodny wydarzył się w roku 1937 podczas drażnienia pochyłego przekopu z poziomu 150 m do chodnika linowego, w poziomie 120 m, na wschód od I uskoku „Smardzowice”. Z na-

potkanej szczeliny uskokowej wypłynęła taka masa piasku, że wypełniła przekop na długości 200 m oraz chodnik prowadzący do podszybia przy szybie wentylacyjnym. Na powierzchni powstał lej o głębokości około 10 m, który częściowo wykorzystano w czasie okupacji dla odstawy kamienia głębionego szybu wentylacyjnego. Kopalnia została zmuszona do przerwania wydobycia węgla na parę miesięcy i oczyszczania chodników z piasku.

Trzeci zawał wodny wydarzył się w okresie okupacji, w trakcie drażenia przecinki z chodnika wodnego w pokładzie 209 na poziomie około +82 m, w rejonie dzisiejszej szkoły w Łędzinach. W przodku przecinki natrafiono na szczelinę uskokową (uskok „Piaś”), w której pojawiła się kurzawka. Woda ze szczeliny przez szereg dni wynosiła piasek i materiał klastyczny. Na powierzchni lej nie powstał, ale powstała duża kawerna w pokładzie 207, którą napotkaliśmy w roku 1949 prowadząc tam roboty wybierkowe.

Czwarty zawał, którego tu nie będę opisywał, wydarzył się również w pokładzie 209, w roku 1947, po napotkaniu szczeliny w uskoku „Piaś” pod tzw. Glinogórą w Hołdunowie, a piąty w roku 1949 w tymże pokładzie w Nowej Gaci, ze szczeliny uskoku „Przemsza”. W obydwu zawałach powstały leje na powierzchni.

* * *

W roku 1945 miałem stosunkowo dużo wolnego czasu. Nie byłem obciążony pracą biurową, nie było jeszcze manii konferencji ani korespondencji. Dyrekcja Mikołowskiego Zjednoczenia w Katowicach miała do mnie zaufanie, zostawiła mi zupełnie wolną rękę do kierowania kopalnią. Główny Inżynier Zjednoczenia przyjeżdżał rzadko. Codziennie objeżdżałem wszystkie roboty górnicze. Było to możliwe, bo front tych robót był mały a wyrobiska leżały blisko szybów. Interesowała mnie przede wszystkim geologiczna struktura złoża węglowego w tak zwanej bryle łędzińskiej oraz stosunki wodne. W ciągu paru miesięcy zaznajomiłem się z morfologią powierzchni bryły, badając potoki i strumienie wody, lustra wody w studniach, w stawach nad wyrobiskami podziemnymi.

Pod ziemią zaś badałem strukturę piaskowców zalegających w stropie chodników prowadzonych we wschodniej partii pokładu 209 oraz w pokładzie 207 na południe od uskoku „Piaś”. Roboty we wszystkich przodkach chodnikowych w nowych partiach były bardzo uciążliwe, gdyż ze stropu lała się woda prawie strumieniem. W jednym przypadku w chodniku drażonym w partii

wschodniej pokładu 209 napotkaliśmy szczelinę w spagu, z której wypływało przez kilka tygodni około 3 m sześć. wody na minutę.

W stosunkowo niedługim czasie uzyskałem wytyczne do prowadzenia robót górniczych w nowych partiach kop. „Piast-Ziemowit”. Należało przewidywać, że napotka się tam duże ilości wody, że przebijanie uskoków będzie trudne i bardzo niebezpieczne, że w miarę drenowania pokładu chodnikami górotwór będzie się osuszał, a dopływy wody będą maleć.

* * *

W czasie okupacji kop. „Piast” wydobywała 2000 t/d węgla. Postawiłem sobie jako zadanie osiągnąć takie wydobycie na przełomie 1947/1948 roku. Jak już zaznaczyłem, własne zasoby kop. „Piast” były zbyt małe, aby utrzymać kopalnię przy życiu, nim „Ziemowit” zostanie przygotowany do ruchu. Należało więc przydzielić kopalni „Piast” cały pokład 207 na południe od uskoku „Piast”. Drugim moim zadaniem było jak najszybciej przygotować do wydobycia wschodnią partię pokładu 209 położoną na wschód od I uskoku „Smardzowice”, poniżej chodnika podstawowego na poziomie +151.

Po otrzymaniu w jesieni 1945 roku około 1000 jeńców wojennych skierowałem sztygara A. Potysza na kopalnię „Ziemowit”, celem odtopienia upadowej II i przebicia jej do pokładu 207. Równocześnie po odwodnieniu przekopu udostępniającego pokład 207 na południe od uskoku „Piast” rozpoczęliśmy drażnienie chodnika na upad w kierunku upadowej II. Upadową tę zapoczątkowali Niemcy w czasie okupacji. Zbicie tej z upadową II nastąpiło w październiku 1946 roku. Mogliśmy już rozwinąć intensywne roboty przygotowawcze, gdyż poprawiła się wentylacja w pokładzie 207. A pod koniec 1947 roku obłożyliśmy w nim pierwsze filary. Partia wschodnia pokładu 209, położona poniżej chodnika podstawowego na poziomie +151, była udostępniona przekopem poziomym o długości około 200 m w roku 1937. Przekop był podsadzony piaskiem i otamowany. Niemcy nie zaryzykowali wykorzystać tego przekopu do prowadzenia robót przygotowawczych we wschodniej partii, lecz rozpoczęli drażnienie upadowej VIII z chodnika podstawowego na poziomie +151. Zaryzykowałem, nie powiadamiając o tym dyrekcji Mikołowskiego Zjednoczenia. Wybiliśmy pod stropem przekopu okno w tamie murowej. Kierownik robót górniczych T. Króliczek wszedł przez okno i czołgając się po piasku pod stropem stwierdził, że przekop nie jest zawałony i że wybieranie piasku nie będzie trudne. Przyśtąpiliśmy więc do wybierania piasku w przekopie. W tamie wy-

biliśmy otwór na tyle wielki, aby zmieścił się w nim jeden wóz i zabudowaliśmy w otworze silne drzwi stalowe. Wybieranie piasku postępowało szybko. Piasek był czysty i służył nam do prowadzenia znacznych robót murarskich na powierzchni. Z przodka przekopu rozpoczęliśmy drażnienie chodnika podstawowego w pokładzie w kierunku wschodnim oraz dwóch upadowych w kierunku uskoku „Piaś”. Na jednej upadowej zaprojektowałem przewóz liną bez końca. Komorę dla maszyny linowej wypadało zabudować na pochylni, na której w roku 1937 napotkano szczelinę uskokową. W tym celu na długości około 10 metrów wybraliśmy piasek. Mogliśmy więc spokojnie przystąpić do dalszych robót przygotowawczych w pokładzie 209.

Z górniczym „Szczęść Boże”
Alojzy Stopa



Mieliśmy wytyczony cel — zbudować inną Polskę

ZOSTAWIŁEM TU POŁOWĘ ŻYCIA



opalnia „Ziemowit” — Budowla Socjalizmu” — taki napis do niedawna zdobił salę zborną kopalni. Napis ten, pamiętam, rzucił mi się w oczy, kiedy latem 1953 r. po raz pierwszy zawitałem do kopalni. Podobnie jak tysiące innych poszukiwałem zgodnej z rodzinną tradycją pracy i jakiegokolwiek mieszkania. Moje marzenia szybko się spełniły. Podjąłem pracę na stanowisku kierownika działu zaopatrzenia. Wkrótce stałem się wraz z rodziną lokatorem 2-pokojowego mieszkania na osiedlu „A” w Tychach, które zajmuję do dnia dzisiejszego.

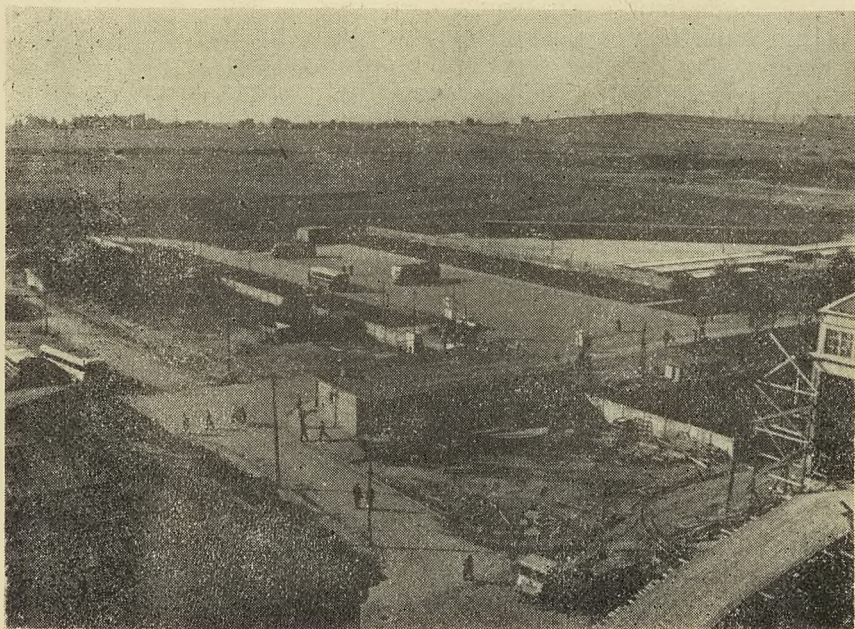
Dzisiaj często wracam myślami wstecz, do pierwszych lat działalności gospodarczej kopalni i poznania ciężkiej pracy górników. Poznałem tę pracę osobiście, gdyż w latach 50-tych raz w miesiącu z pracowników administracji tworzyliśmy brygady do społecznej pracy w niedzielę przy wybieraniu węgla ze ścian w pokładzie 209, lub rozładunku drewna z wagonów na placu drzewnym.

Podstawowym problemem w tych czasach, poza sferą zaopatrzenia materiałowo-technicznego, był dowóz załogi do pracy. Pamiętam, że prawie wszyscy pracownicy z okolicznych wsi i miasteczek dojeżdżali do pracy wyłącznie rowerami, stąd najważniejsza za bramą była rowerownia. Komunikacja autobusowa w dzisiejszym wydaniu w ogóle nie istniała, nie mówiąc o samochodach osobowych, których nie było. Dojazd z Tychów do Bierunia odbywał się PKS-em, a dalej do Łędzin albo rowerem przechowywanym u krewnych, albo otwartą ciężarówką w tumanach kurzu drogi szutrowej. Drog bitych, asfaltowych nie znaleźmy, stąd też plac autobusowy i drogi dojazdowe na terenie kopalni tonęły w błocie. Większość górników i urzędników do pracy chodziła w butach gumowych, gdyż inne niejednym zgubił w tym błocie.

Otrzymałem więc zadanie zorganizowania dostaw grysów bazaltowych i ich otaczania smołowego do wykonania systemem gospodarczym dróg asfaltowych. Moja wyprawa do Kulikowa nad samą granicą niemiecką zakończyła się pomyślnie. Zdobyłem materiał i wkrótce w Łędzinach pojawiły się pierwsze asfaltówki. Następnie założono jako nowość oświetlenie jarzeniowe i kopalnia wiele zyskała na wyglądzie zewnętrznym. Po asfalcie WPK i PKS zechciały już uruchomić kursy do kopalni.

A wydobyte i załoga rosła. Od 1.275 ton w 1953 r. do 3.605 ton na dobę w 1954 r., zaś załoga z 1.932 pracowników wzrosła do 3.856. Załoga wówczas mieszkała: w Łędzinach i okolicy (26,2 proc.), w domach górnik (14,3 proc.), w Tychach (21 proc.), i w innych miejscowościach (38,5 proc.).

O ile jako tako rozwiązano sprawę komunikacji autobusowej, o tyle komunikacja kolejowa tkwiła w martwym punkcie. Dopiero przy wydatnej pomocy kopalni, a szczególnie działu energomechanicznego i budowlanego, w 1957 r. uruchomiono linię kolejową z Tychów do Łędzin, przez Wesołą z przesiadką w Krasowach dla pracowników zamieszkałych w Mysłowicach i Brze-



Wkrótce w Łędzinach pojawiły się pierwsze asfaltówki

zince. Ciuchcia ta, wiadomo parowa, 35 km trasę pokonywała w półtorej godziny lub więcej. Złośliwi twierdzili, że maszynista w Mąkołowcu zabierał pod lasem kobiety z mlekiem, wysadzał po kilku kilometrach na trasie i dalej, tak aż do Łędzin. Zaś inni naśmiewali się że jadąc w pierwszym wagonie można było wyskoczyć, nabierać grzybów w lesie i zdążyć jeszcze do ostatniego wagonu. Ale to plotki. Ważne, że załoga miała względnie dobry dojazd do pracy. Przy okazji uruchomienia tej linii kopalnia wycofała zabytkowy wagon z żelazniakiem na środku, który jeździł z Hołdunowa.

Życie kulturalne też się rozwijało. Na wycieczki jeździliśmy otwartymi ciężarówkami, w drodze powrotnej przystrajane zielonymi gałęziami. Nikt nie narzekał na niewygody. Wyraźnej poprawy w tym względzie dokonaliśmy w 1958 r., kiedy za dewizy zakupiliśmy pierwsze dwa autobusy jugosłowiańskie, wyłącznie na wycieczki zakładowe. Zakup był możliwy dzięki przydziałowi dewiz przez nowo powstałą Radę Robotniczą, której przewodniczącym został mgr inż. Alfred Nowacki, zaś sekretarzem autor niniejszych wspomnień. Przeznaczono również znaczne środki na zakup kilkudziesięciu samochodów osobowych Renault i Skoda, motocykli Jawa i telewizorów „Pay”. Była to atrakcja nie lada. U posiadaczy telewizorów schodziły się gromady sąsiadów, aby oglądać pierwsze programy. Zanim powstał dom kultury kop. „Piast” w 1958 r. wszystkie imprezy, łącznie z zabawami, odbywały się w hołdunowskiej świetlicy, tam właśnie gdzie dzisiaj zakłady krawieckie Domu Mody „Elegancja”. Zabawy, a szczególnie barbórkowe, odbywały się również w restauracji „U Domżoła” w Łędzinach.

W Tychach działał już Dom Kultury „Górnik” na osiedlu „A” i dwa kina. W Łędzinach zaś brak kina dawał się mocno we znaki. Z tego względu z funduszków kopalnianych zakupiliśmy projektor filmowy, ekran itp., przystosowało się salę zborną i przez kilka lat (1955—58) wcale dobrze funkcjonowało tam kino. Jako jego kierownik, po pracy, sprowadzałem z CWF atrakcyjne filmy, które przyciągały liczną widownię. W trosce o zdrowie pracowników i ich rodzin dokonano adaptacji najstarszego Domu Górnika na ZLZ i już w 1960 r. pomoc lekarska jest na miejscu. Zatrudniono siedmiu lekarzy różnych specjalności. Urządzono gabinet dentystyczny, zainstalowano aparat EKG, a na II piętrze znalazła się izba chorych. W owym czasie było to wielkie osiągnięcie i wygoda dla załogi i mieszkańców. Niebawem otwarto też aptekę w hotelu szybu „Piast”.

Z myślą o wypoczynku po pracy, Rada Robotnicza inicjuje budowę domu wczasowego w Ustroniu. Oddany do użytku w 1965 r.

do dziś stanowi on podstawową bazę wypoczynkową dla załogi. Jeśli chodzi o mieszkańców Domu Górnika to w latach 60-tych jest ich już 1460. Po ich myśli urządzono salę gimnastyczną, boisko sportowe, świetlice, bary, stołówki i nowoczesną kawiarnię „Rzepicha”. Kopalnia była też fundatorem Szkoły Podstawowej im. K. Szewczyka, na budowę której przeznaczyła kwotę prawie siedmiu milionów złotych.

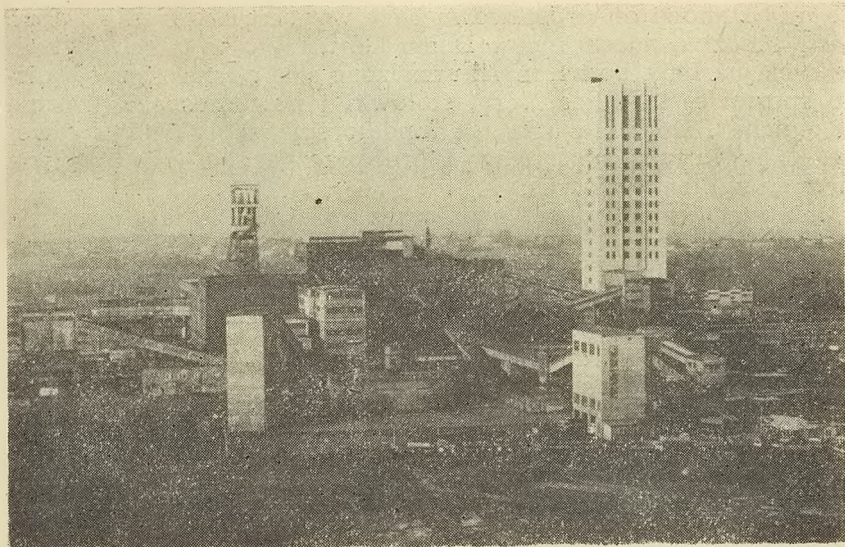
Jak więc widać, zakład nasz przez te wszystkie lata dążył do podniesienia rangi osady, czego wyrazem było nadanie praw miejskich Łędzinom w czerwcu 1964 r. Była to wielka uroczystość, która spłotła się z 800-leciem osady.

W latach 70-tych, poczynszy od połączenia „Ziemowita” z „Piastem”, pełniłem już funkcję zastępcy dyrektora do spraw pracowniczych. W tym okresie udało się usprawnić komunikację, z Tychów do Łędzin ruszył pociąg elektryczny, lepiej zorganizowano dowóz autobusami Transgóru, WPK i PKS-u, pojawiły się nowe drogi. Nowy Zakład Leczniczy w Domu Górnika nr 3, kąpielisko w parku przy szybie „Piast”, stadion sportowy, korty tenisowe, duża stołówka na szybie głównym — wszystko to powstało przy wydatnej pomocy całej załogi, która po pracy nie szczędziła społecznego wysiłku. Dzisiejsze Łędziny i kopalnie o rekordowym w kraju wydobywaniu węgla trudno porównać do pierwszych lat powojennych. Dzisiaj mamy nowoczesny plac autobusowy, a na starym i wokół kopalni parkują setki samochodów naszych pracowników. Najlepiej to świadczy o olbrzymich zmianach, jakie tu zaszły dzięki dobrej robocie górników.

I ja, mimo iż nie jestem już czynny zawodowo, zachodzę tu często, aby na co dzień dzielić troski i radości załogi mojej kopalni. Maluję tę kopalnię, utrwalam ją w swoich obrazach, w plastycznym zapisie staram się uchwycić jej dzień dzisiejszy. Nic w tym dziwnego, skoro tu zostawiłem ponad połowę życia.

Henryk Bartoń





W tym rejonie zbieraliśmy jagody i grzyby...

MOJA KOPALNIA



iekaw jestem — jak zareagowaliby mieszkańcy Łędzin Kopicowie i Okoniowie, którzy budowali swoje domy na obszarze dzisiejszej kopalni „Ziemowit”, jak również wszyscy inni mieszkańcy tuż za jej ogrodzeniem — gdyby we właściwym czasie powiedziano im, że właśnie tutaj powstanie największa na świecie kopalnia węgla? Zdziwiliby się bardzo i nie bardzo by w to uwierzyli.

Sam zresztą jako dziecko bardzo często wraz z matką chodziłem najkrótszą drogą, z Goławca do Łędzin, przecinającą obszar kopalni w rejonie szybu „Szewczyk” — nie myśląc o tym, że kiedykolwiek, a już na pewno nie w najbliższej przyszłości, mogą w krajobrazie rodzinnym zająć jakieś

zmiany. Często też z bratem i kolegami zbieraliśmy w tym rejonie jagody i grzyby nie przypuszczając, że już w niedługim czasie zbudowana zostanie kopalnia i osiedle „Rachowy”.

To dawne lata. Wszystko zmieniło się nagle. Zniknęła droga, zniknęły uprawne pola i niektóre zabudowania wraz z częścią lasu, o którą były oparte. Powstała wielka kopalnia, która w bardzo istotny sposób ukształtowała nowy krajobraz tej okolicy i wywarła znaczący wpływ na życie prawie wszystkich mieszkańców. Czyż mogłem przewidzieć wtedy, że i ja znajdę w niej swoje oparcie w życiu?

Po raz pierwszy znalazłem się na terenie budowanej kopalni, gdy w czasie wakacji, w latach 1949 i 1950, jako uczeń liceum pracowałem zarobkowo przy budowie osiedla „Rachowy” i po pracy bardzo często korzystałem z kopalnianej łaźni, mieszczącej się wtedy w drewnianym baraku. Po raz drugi, już jako maturzysta przyjęty zostałem w 1951 r. do „Referatu Współzawodnictwa Pracy”, którego kierownikiem i moim bezpośrednim przełożonym był górnik z krwi i kości, którego bardzo lubiłem i szanowałem za jego prawdziwie opiekuńczy i życzliwy stosunek do mnie, i z którym — mimo różnicy wieku — łączyła mnie szczerą przyjaźń. W tym właśnie czasie, po raz pierwszy w życiu poznałem prawdziwie górniczą atmosferę kopalni. Przebywając stale wśród starszych ode mnie wiekiem osób dozoru, uderzyła mnie wówczas ich dosadność wyrażania się, bardzo duża dyscyplina oraz ich podziwu godna koleżeńskość, współpraca i wysoka kultura osobista.

Pasowanie na górnika pozwoliło mi po raz pierwszy poznać smak „czystej” i jej skutków. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności — nie kazano mi skakać przez skórę. Po maturze, równocześnie z podjęciem pracy złożyłem podanie o przyjęcie mnie na studia chemiczne w Politechnice Wrocławskiej i mniej więcej w połowie lipca otrzymałem powiadomienie o mającym się odbyć egzaminie wstępnym. Egzamin zdałem z wynikiem pomyślnym i zostałem przyjęty na pierwszy rok. I w ten sposób — jak mi się wtedy wydawało — rozstałem się z górnictwem. Nie bez żalu — bo darzony byłbym życzliwym uznaniem starszych kolegów, a nawet wyjątkowo dla mnie przyjaźnie usposobionego, ówczesnego kierownictwa kopalni. Nie myślałem o powrocie, chociażby ze względu na obrany zawód.

Jednak wróciłem. W 1957 r. zaczynałem pracę w kopalni „Ziemowit” od nowa. W otoczeniu innych kolegów. Pełen zapału i chęci do pracy. Przyjęcie zadania, jakie mi wtedy powierzono dziś uważam za krok niezwykle ryzykowny. Otóż dokładnie w 6 dni po ukończeniu studiów, bez praktyki i jakiegokolwiek do-

świadczenia, zaferowałem swe usługi przy zorganizowaniu laboratorium kopalnianego.

Nie będę wspominał zabawnej nieco sytuacji ze wstępnej rozmowy z pewnym kierownikiem, który najprawdopodobniej ze względu na moją szczupłą postać i określony sposób bycia uznał mnie za kogoś o wiele młodszego. Jednak przedstawiony mu dyplom i inna okoliczność całkowicie rozwiały jego niedowierzanie.

Zostałem przyjęty. I tak zaczął się długi, bo trwający już 28 lat okres mojej pracy chemika w kopalni.

Wilhelm Szczepanek



Zastwieni

LUDZIE ● ●

GORNICTWA



WYBITNI GÓRNICY POLSCY



Henryk CZECHOTT — naukowiec i praktyk górniczy. Urodził się 18 czerwca 1875 roku w Petersburgu. Był synem dyrektora szpitala. Gimnazjum matematyczno-przyrodnicze ukończył w roku 1894, a następnie w roku 1900 Instytut Górniczy. Praktykę zawodową odbywał w Zagłębiu Dąbrowskim w kopalni „Mortimer” w Zagórzcu, jako kierownik robót górniczych i „Saturn” w Czeladzi, jako zawiadowca. W roku 1903 założył fachowy miesięcznik pt. „Przeгляд Górniczo-Hutniczy”, na łamach którego publikował wiele prac z zakresu teorii wentylacji

kopalni i mechanicznej przeróbki kopalnin.

W roku 1908 opuścił Zagłębie Dąbrowskie i udał się w podróż po wielu krajach świata m. in. USA, Niemczech, Francji, poświęcając czas na pracę naukowo-badawczą dotyczącą przeróbki mechanicznej. W roku 1909 powrócił do Petersburga, gdzie powierzono mu katedrę sortownictwa i wzbogacania. Wkrótce stał się autorytetem z zakresu teorii wzbogacania. Przyczynił się do rozwoju kopalnictwa złota w Rosji.

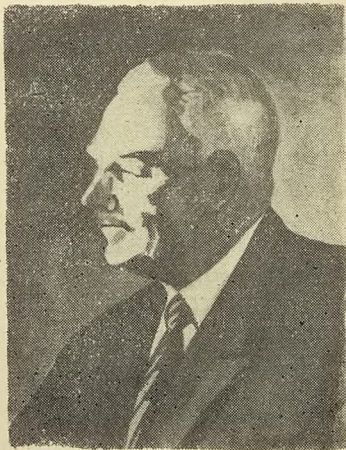
Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej zreorganizował kierowany przez siebie wydział, tworząc stację doświadczalną, laboratorium i biuro projektów. W tym czasie opublikował kilkadziesiąt prac naukowo-technicznych w większości dotyczących przeróbki mechanicznej kopalnin.

W roku 1922 na wezwanie władz Akademii Górniczo-Hutniczej wrócił do kraju i objął katedrę przeróbki mechanicznej. W tym samym czasie zorganizował Instytut Doświadczalny Przeróbki Mechanicznej, snując plany postawienia tej dziedziny naszego górnictwa na światowym poziomie. Utrzymywał też stałe i liczne kontakty z zagranicą. Opracował wiele oryginalnych i nowatorskich rozwiązań technicznych, przeprowadził wiele ekspertyz m. in. w kop. „Jaworzno”, „Brzeszcze”, „Wujek”.

Zapraszany był do wielu krajów Europy, gdzie prowadził wykłady w znanych uczelniach górniczych. Jego spuścizna nauko-

wa obejmuje ponad 100 pozycji. Dziełem jego życia jest czterotomowa praca pt. „Przeróbka mechaniczna ciał kopalnych”.

Zmarł 6 września 1928 roku we Freibergu (Saksonia). Budująca się w Woli pod Pszczyną kopalnia nosi imię Henryka Czeczotta.



Bolesław KRUPIŃSKI — profesor, Przewodniczący Państwowej Rady Górnictwa. Urodził się 15 marca 1893 na Wołyniu w wielodzietnej rodzinie dzierżawcy majątku. W roku 1909 ukończył gimnazjum klasyczne w Łucku, następnie rozpoczął studia na Politechnice Petersburskiej. Po dwóch latach nauki przeniósł się do Instytutu Górniczego w Petersburgu.

W roku 1914 został skierowany na praktykę zawodową do kopalni „Niwka”. Tam zastał go wybuch I wojny światowej. Nie mogąc wrócić na uczelnię, tu podjął pracę jako sztygar. W roku 1919 po

otwarcu Akademii Górniczej w Krakowie kontynuował studia. Ukończył je w roku 1923 uzyskując tytuł inżyniera górniczego. Pracy zawodowej nie przerywał piastując stanowiska kierownicze w kopalni „Niwka”, „Klimontów”, „Mortimer”. Wiedzę górnictwą uzupełniał we Francji, Szwecji, Niemczech, Holandii podczas kilkutygodniowych praktyk. W roku 1933 po zatopieniu kop. „Mortimer” przeniósł się do rybnickiej kopalni „Rymer”, w której został dyrektorem. 1 września 1939 został aresztowany przez wkraczające wojska niemieckie i osadzony w Buchenwaldzie. Dzięki usilnym staraniom rodziny w roku 1941 został zwolniony, rozpoczynając pracę w przedsiębiorstwie wydobywającym torf. Jednocześnie uczestniczył w działalności konspiracyjnej. W roku 1945 przybył do Katowic i został dyrektorem Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego. Dzięki jego inicjatywie powstał w lipcu 1945 Główny Instytut Górnictwa, w którym przez wiele lat był przewodniczącym Rady Naukowej. Był jednym z inicjatorów otwarcia Wydziału Górniczego Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Pełnił wiele funkcji w międzynarodowych organizacjach górniczych. Jego dorobek naukowy obejmuje ponad sto kilkadziesiąt pozycji, z których „Zasady projektowania kopalń” należą do książek najbardziej znanych. Zmarł 24.X.1972 r. w Warszawie. Jego imię nosi nowa kopalnia w Suszcu.



Witold BUDRYK — specjalista w dziedzinie górnictwa, profesor AGH. Urodził się 24 lutego 1891 r. w Białymstoku. Po zdaniu egzaminu dojrzałości wstąpił do Instytutu Górniczego w Petersburgu. W Instytucie tym pracowało wówczas wielu wybitnych uczonych, wśród nich A. Skoczyński, K. Bohdanowicz, H. Czeczott. Wybuch wojny w roku 1914 przerwał mu studia. W roku 1917 wstąpił na Wydział Inżynierii Politechniki Lwowskiej. Po zakończeniu wojny kontynuował studia na Wydziale Inżynierii Politechniki Warszawskiej, w roku 1924 uzyskał

dyplom na Wydziale Górniczym Akademii Górniczej w Krakowie. Po uzyskaniu dyplomu objął stanowisko kierownika robót górniczych w kop. „Modrzejów”. Umiejętność łączenia posiadanej wiedzy z obserwacją zjawisk praktyki górniczej nasunęła szereg problemów naukowych. Jednym z nich było zagadnienie ruchu podsadzki płynnej w rurociągach zamuleniowych. Przedstawiając rozwiązanie tego trudnego problemu, uzyskuje Budryk w 1928 r. stopień doktora nauk technicznych w Akademii Górniczej. W roku 1930 zostaje profesorem tejże Akademii. Prowadził liczne i owocne prace naukowe nad zastosowaniem podsadzki płynnej, nad przewietrzaniem kopalń, walką z pożarami podziemnymi, eksploatacją złóż, wzbogacaniem węgla i rud. Zajmował się również problemem mechaniki górotworu. Stworzył uznaną i powszechnie przyjętą w całym świecie teorię o ruchu skał nadlegających nad przestrzenią po wyeksploatowanej kopalinie. W sprawach techniki bezpieczeństwa górnictwa był autorytetem na skalę światową. Oprócz badań naukowych prowadził także pracę pedagogiczną — kierował większością prac dyplomowych słuchaczy na Wydziale Górniczym AGH (ponad 20 profesorów oraz docentów wyższych uczelni — to jego uczniowie). Jest autorem ponad 120 prac naukowych, podręczników i rozpraw. W 1951 r. został członkiem Państwowej Akademii Nauk. Zmarł 18 listopada 1958 roku w Krakowie. Nowo wznoszona kopalnia w Ornontowicach nosi jego imię.

DYREKTORZY BYŁEJ KOPALNI „PIAST”

Pierwszym dyrektorem łędzińskiej kopalni „Piast”, po powrocie Ziemi Pszczyńskiej do Polski — był inżynier **Jan Edelmann**. Ten ambitny i zdolny fachowiec zawiadywał kopalnią w okresie od 1919 do 1931 roku. Po nim w latach 1932—35 kopalnią kierował już wykształcony w polskiej uczelni, w krakowskiej AGH — inżynier **Mieczysław Kozarski**. Od 1936 roku aż do wybuchu drugiej wojny światowej zawiadowcą kopalni był inżynier **Mieczysław Zapalski**.

W styczniu 1945 roku, kiedy Niemcy pośpiesznie opuścili Łędziny, kopalnia została bez kierownictwa i stałej załogi. Grupa najbardziej świadomych górników wzięła sprawy kopalni w swe ręce. Kierownictwo objął dotychczasowy sztygar inżynier **Jan Lindner**. Zorganizował straż przemysłową, której zadaniem było zabezpieczenie mienia kopalni „Piast” i nowo budującej się w sąsiedztwie drugiej kopalni łędzińskiej.

W marcu 1945 roku po odejściu inż. Jana Lindnera do Gliwic, jego następcą został inżynier **Józef Wasilewski**. Na jego to wniosek budującej się kopalni nadano nazwę — „Ziemowit”.

W kwietniu 1945 roku Mikołowskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego wyznaczyło na zawiadowcę kopalni „Piast” i jednocześnie kopalni „Ziemowit” w budowie mgr. inż. **Kazimierza Kokowskiego**.

W czerwcu tego samego roku centrala Mikołowskiego Zjednoczenia PW ustanowiła inspektorat budowy nowych kopalń i powołała do niego na stanowisko inspektora mgr. inż. **K. Kokowskiego**, odwołując go tym samym z Łędzin.

Zawiadowcą kopalni „Piast” i kop. „Ziemowit” w budowie został mgr. inż. **Alojzy Stopa**, który pełnił tę funkcję do 1 września 1948 r. Po nim dyrektorem został mgr. inż. **Orest Spiralski**. (Sylwetki obu tych dyrektorów przedstawione zostały w „Kalendarzu Górniczym kop. „Ziemowit” na 1984 r.”).

Funkcje kolejnych dyrektorów kopalni Piast pełnili:



wisko naczelnego inżyniera Gliwickiego Zjednoczenia PW. W latach 1950—52 kieruje kop. „Knurów”. Od 1 października 1952 zostaje dyrektorem kop. „Piast” w Łędzinach. Funkcją tę pełnił do 1 czerwca 1954 roku, kiedy to przechodzi na takie samo stanowisko do kop. „Wesoła”.



mgr inż. Aleksander Piaskowiecki — syn warszawskiego doróżkarza. Urodził się 16 marca 1905 roku w Warszawie. Po ukończeniu kursów samokształceniowych zdaje egzamin na Akademię Górniczą w Loeben w Austrii. W roku 1929 rozpoczyna pracę na Wołyniu w kamieniołomach, jako kierownik robót górniczych. W latach 1933—39 wykładał przedmioty techniczne w Zakładach Naukowych w Borysławiu. Podczas okupacji hitlerowskiej aresztowany i osadzony w obozie pracy przymusowej najpierw w Dortmundzie, a od 1943 w Łędzinach przy budowie kopalni „Günthergrube”. Po wyzwoleniu Łędzin od pierwszych dni włącza się do odbudowy „Piasta” i dalszej budowy kopalni „Ziemowit”. Pracuje na stanowisku kierownika planowania, od 1 marca 1950 jako zawiadowca, później naczelnny inżynier kop. „Piast”. W roku 1954 pełni obowiązki dyrektora tej kopalni. Opublikował wiele cennych i ciekawych opracowań na łamach czasopism fachowych, a także w „Trybunie Robotniczej” i „Dzienniku Zachodnim”.



Konrad Spyra —urodził się 6 lutego 1909 roku w Łędzinach w rodzinie górniczej. Po ukończeniu szkoły powszechnej, mając lat piętnaście podejmuje pracę na dole kop. „Piast”. Tutaj aż do okupacji przechodzi wszystkie szczeble górniczego wtajemniczenia i robotniczych doświadczeń od ciskacza do rębacza. W okresie okupacji czynnie uczestniczył w ruchu oporu. Po wyzwoleniu 7 lutego 1945 utworzył w kop. „Piast” komórkę PPR, której zostaje sekretarzem, nie przerywając

pracy zawodowej. W roku 1946 awansuje na stanowisko nadgórnika, a rok później wicedyrektora kopalni. W roku 1949 powołany na stanowisko dyrektora. Funkcję tę pełnił do 30 września 1951 roku. Następnie zostaje służbowo przeniesiony do kierowania kop. „Dymitrow” (1951—53) i kop. „Wesoła” (1953—54). 1 sierpnia 1954 wraca do rodzinnych Łędzin, ponownie obejmując kierownictwo kop. „Piast”. Stanowisko to piastował z poświęceniem do 31 maja 1969 roku — to jest do chwili przejścia na emeryturę. Konrad Spyra był człowiekiem całym sercem oddany ludziom, kopalni i ziemi rodzinnej. Był za to ceniony i szanowany w środowisku Łędzin i Tychów.



Dr inż. **Józef Psota** — urodził się 23 grudnia 1928 roku w Strumieniu, w rodzinie urzędnika kolejowego. Gimnazjum ukończył w Mikołowie. W latach 1949—54 studiował na Wydziale Górniczym Politechniki Śląskiej w Gliwicach, uzyskując tytuł inżyniera górniczego. 1 lipca 1953 rozpoczął pracę w kopalni „Bolesław Śmiały” w Łaziskach. Na tej kopalni zdobywał doświadczenie zawodowe, piastując kolejno stanowiska od sztygara zmianowego do kierownika robót górniczych. 1 sierpnia

1959 roku został powołany do pełnienia odpowiedzialnej funkcji naczelnego inżyniera kop. „Piast”. W 1967 uzyskał stopień doktora. 16 marca 1969, po przejściu dyrektora K. Spyry na emeryturę, zostaje dyrektorem kopalni. Na tym stanowisku pracował do 23 stycznia 1970 roku.



mgr inż. Franciszek Wszolek — urodził się 6 kwietnia 1923 roku w Gorlicach w rodzinie chłopskiej. Średnią szkołę ukończył w w rodzinnym mieście. Studiował na AGH w Krakowie, którą ukończył 15.XI.1965 roku z tytułem magistra inżyniera górniczego. Pracę zawodową rozpoczął jako górnik 1 maja 1945 w kop. „Ludwik”, następnie pracował kolejno w kop. „Mikulczyce”, „Concordia” i „Wujek” przechodząc stanowiska od nadgórnika, sztygara i dyrektora kopalni. 15 listopada 1959 zostaje naczelnym dyrektorem Dąbrowskiego Zjednoczenia PW, a od 1 grudnia 1964

roku Wiceministrem Górnictwa i Energetyki. Na stanowisko dyrektora kopalni „Piast” powołany 1 lutego 1970 roku. Funkcję tę sprawował do 8 września 1972, kiedy to został przeniesiony do pracy w Centrali Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia PW. Był ostatnim dyrektorem łędzińskiej kopalni „Piast”.



STARTOWAŁEM OD ZERA



Patrząc na szczupłą, wysoką sylwetkę i młodą twarz z czającym się wciąż w kącikach warg uśmiechem, nikt nie dałby mu tych 47 lat, jakie nosi na grzbiecie. Stałoby jakby jawne zaprzeczenie niepodważalnej skądinąd tezy o wyniszczającym ludzki organizm zawodzie górnika. A może wyjątek potwierdzający tę regułę?

— Sam czułem się dość głupio — wspomina Karol Wygrabek — na ostatniej Barbórcie, kiedy wręczano mi odznakę „Zasłużonego Górnika PRL”. Zjechali się do Zabrza sami zasłużeni, wokół mnie srebrzyły się siwe czupryny, podnosiły się poorane zmarszczkami twarze... A ja, cóż, nawet łysiną nie mogłem zabłysnąć.

Czekałem tylko, kiedy generał Jaruzelski wskaże mnie palcem i zapyta: — A ten smarkacz co tu robi?

Może zachował młodość dzięki wrodzonemu spokojowi i wybitnie filozoficznemu stosunkowi do życia oraz tego, co się człowiekowi w nim przydarza?

Sięga pamięcią wstecz, do swoich pierwszych doświadczeń zawodowych, próbując odnaleźć podobieństwa i różnice dotyczące życiowego startu młodych górników w latach pięćdziesiątych i współcześnie.

— Tego jednak nie da się porównać. Podtrzymując rodzinną tradycję zaraz po skończeniu zawodówki, jako świeżo upieczony ślusarz poszedłem na kopalnię „Murcki”. Pracowałem na niskich ścianach, zwłaszcza przy moim wroście spędzałem całe szychty na kolanach na chodnikach o wysokości 1,30 m. W 1960 roku przenieśliśmy się na „Ziemowita”, ukończyłem kurs kombajnistów, no i do dziś robię na tym stanowisku.

Startowałem od zera. Hotele za moich czasów to były baraki drewniane bez wygod oczywiście, kto wtedy słyszał o pożyczkach dla młodych umarżanych po kilku latach, kredytach, zapomogach? Koledzy też nie pieścili się, jak teraz z młodzikami. — Jak chcesz pracować, to pracuj — mówili. Ale żeby zachęcać szczególnie, kokietować wizją astronomicznych zarobków, mieszkaniem, udogodnieniami — tego nie było. Czekałem na mieszkanie równych siedem lat i wszystko, co się w nim do dziś znajduje zawdzięczam tym dziesięciu palcom. Własnym.

Nie zazdrościsz młodszemu kolegom. Myślę, że to dobrze, jeśli stać nas na zapewnienie im lepszych warunków socjalnych. W końcu o to chodzi. Przykro mi tylko, gdy obserwuję częste przypadki wybitnie materialistycznego podejścia do życia i pracy. Przyjeżdżają z aspiracjami zarabiania od razu wielkich pieniędzy. Są niecierpliwi. Gdy zaferuje się im początkowo niższe stawki, wielu rezygnuje. Bo forsą najważniejsza. A gdzie ambicje zawodowe, przyjemność i satysfakcja z dobrej roboty? Niestety, jakby zanikło to zjawisko, choć z pewnością nie całkiem. Takie twierdzenie byłoby bardzo krzywdzące dla wielu młodych górników.

Weźmy choćby mój zespół, w którym przeważa młodzież. To ci, co przetrzymali pierwsze, najgorsze lata w kopalnianym piekle i zostali. Sprawdzeni

w robocie, wszyscy godni najwyższego zaufania. To właściwie ich zasługa, że otrzymałem to zaszczytne wyróżnienie. Bo dzięki nim osiągamy tak dobre rezultaty. Jak byli zaskoczeni i jak uradowani, gdyśmy się o nim dowiedzieli. Takie wyróżnienie dla brygady! Cieszyliśmy się jak dzieci. I to chyba najcenniejsze, że są jeszcze w naszym zawodzie tacy ludzie — pozbawieni pazerności, ambitni i naprawdę mocno związani ze swą kopalnią.

Ewa ŚWIZEWSKA

PRZYSŁOWIA O SZCZĘŚCIU

- Szczęścia się nie kupi.
- Każdy jest swego szczęścia kowalem.
- Kogo szczęście wyniesie, niech się upaść boi.
- Kto w szczęściu hardy — godzien pogardy.
- Lepsze szczęście niż pieniądze.
- Na swym szczęściu żaden nie przestaje.
- Nie ma szczęścia bez zgryzot, a róży bez kolców.
- Póki rozum, póty szczęście.
- Szczęście sprzyja śmiałym.
- Lepszy jest stopień z nieszczęścia do szczęścia niżli z szczęścia do nieszczęścia.
- Szczęście i nieszczęście na jednym wozie jeździ.



Nie sama!

PRACA



JÓZA

(OPOWIADANIE)

Józa... Hm, powiódźcie hajer — wto mi to tyż doł taki brzydki miano? Józa... Jakby niy szło pedzieć: Józek abo Zeflik... Jakoś to sie inaczyj słysz...

— Ta sie bydziesz staroł... Dyć to wszystko jedno, jak człowieka mianują. Byle by ino tyn człowiek był dobry... Mie sie tyż niy podoba moji miano: Konder. A co mom robić? Przekląć łojców... Boże świyc jim ta... Downij sie ta łojcowie niy ciećwiali z dzieciskami... Surowo, prosto, chłodno i głodno... I wiysz, niy było to taki złe. A Józa? Przeca to całkiym piykne miano.

— Tak padocie, hajer?

— Tak padom... I mosz sie ja niy przejmować...

— No, toż podejcie rynki... Bydymy se pszoli skiż tych naszych pierzyńskich imion. Józa i Konder — to bydzie zawsze jedno, prowda?

— Prowda synku, świynto prowda!

Toczyły się przed nimi świetliste smugi karbidowych lamp. Skręcając to w prawo, to w lewo, kroczyli w nieobeszłym kreto-wisku podziemnych wyrobisk pokładu dwieście sześć, na kolejną nocną szychtę.

Konder był starym górnikiem strzałowym. W tej kopalni mozolił się od chłopięcych lat. W ponurych, zimnych i cieknących wodą podziemiach robił już kilka dziesiątek lat. Robił już chyba wszystko, co może robić górnik. Był bajtlem, ciskaczem, śleprem, cieślą... Pompował wodę, budował tamy, fedrował na filarach, koniem przewoził urobek pod szyb — na górniczej robocie znał się jak mało kto. Życie też znał. I ludzi.

W jego rodzinnym domu, pod lędzińską hałdą nikt nie zajmował się czym innym, niż górniczą pracą. Kunszt górniczej sztuki przetaczano w jego rodzie z pokolenia na pokolenie z krwią ojca, z mlekiem matki. Tu się wszyscy rodzili górnikiem.

Konder był starym i mądrym górnikiem. Od kilkunastu ostatnich lat drażył samodzielnie dynamitem przodki.

A Józa? Józa był jego śleprem. Nie pochodził z Lędzin. Do kopalni dojeżdżał codziennie na rowerze skądś z tak zwanych „bo-żych stron”. Obaj poznali się przy robocie. Gdy w przodku rozlegał się szczeł narzędzi i gdy rozpalala się twarda, nieustępliwa praca, sprawdzały się ludzkie ręce i głowy. Każdy ruch, każda myśl i każde tchnienie serca splotać się musiały w jeden rytm, w jeden dech. Tylko tak zespoleni mogli wdrzeć się

w trzewia milczącego górotworu i wyrwać z niego kęs odpornej skały. Obaj czuli tę robotę jednakowo. I w tej zgodzie serc i myśli biło źródło ich męskiej przyjaźni. „Pszoli se” — jak się mówi w tych stronach.

Szli na tę szczytę i w drodze rozprawiali tak o byle czym. Jak się już tak ugodali, ugodali — Józka idący z tyłu nagle zamilkł. Dało o sobie dać zmęczenie. Przez ostatnie dni żniwował w domu. Rozsłoneczniony sierpień sprzyjał pracom żniwnym w polu. więc wspólnie ze starą matką śpieszyli się, aby zboże czym prędzej zebrać i upchnąć jakoś do stodoły. O spaniu w dzień nie mogło być mowy.

Zmęczony był. Wlókł się ciężko za Kondrem i co chwilę przecierał klejące się od sennaści oczy. Nie mógł wyjść z podziwu dla tego małego, niepozornego człowieczka. Było w nim tyle niedźwiedziej siły, tyle hartu i nadludzkiej wytrzymałości, że trudno było wprost w to uwierzyć. I teraz i tak zawsze, jak Józka Kondra znał, nosił on prawie pół cetnara dynamitu, z którym skakał po dusznych i ciasnych chodnikach, jak koza po kamienistej hałdzie. Zazdrościł mu tej siły...

Dreptał za nim a w myślach błagał go, by choć na króciutką chwilkę zatrzymał się i pozwolił spocząć. Ach, położyłby wtedy znużoną głowę — choćby na tym błotnistym śpągu i zdrzemnął by się... Ale gdzie tam!... Kondor szedł niezmordowanie naprzód, nie zważając na kamrata.

Krok za krokiem jakoś doszli.

Miejsce pracy wyglądało jak po trzęsieniu ziemi. Kondra zastanowiło to: — Czemu tu, do pierona taki bajzel? Przeca Karol takiego przodka z popołudniowej nigdy mi jeszcze nie zostawił Łon niey babroł roboty... Po czymu tak jest?... medytował mrużąc coś pod nosem, kiwał zdziwiony głową, ale robił swoje.

Odwodnili przodek, uzupełnili połamaną ciśnieniem obudowę, przekuli zwichrowany tor i po dwóch godzinach zwawej krzątaniny doszli wreszcie do swojej roboty: wiercenia otworów strzałowych. Józka pochłonięty pracą zapomniał o spaniu. Zresztą Kondor stale coś do niego mówił, polecał coś wykonać — nie było więc żadnej możliwości, aby myśleć o czymkolwiek poza robotą.

Włączyli wiertarkę. Przodek wypełnił się ogłuszającym wyciem maszyny. Przycisnęli stalową żerdź wiertła do skalnej calizny... Napięli mięśnie. I... i w tej samej chwili strop eksplodował potężnym grzmotem. Huk pękających skał usłyszeli nawet poprzez przeraźliwie głośny jazgot maszyny. Odskokczyli zatrwożeni od czoła przodka, z niepokojem unieśli oczy w zdradliwy

strop. Ale spadło z niego tylko parę niewielkich okruchów, posypał się drobny miął i wnet wszystko uspokoiło się.

— Hajer, niy bydymy musieli stąd wioć?...

— O niy, niy obowiej sie, Józa. Dojyżdżomy do uskoku, przy uskokach zawsze tak popierduje... Ino sie niy bój... Wiertej!...

Wiercili. A gdy po jakimś czasie ta uciążliwa czynność dobiegła końca, Konder krzyknął coś Józie do ucha i zniknął w przepastnych ciemnościach chodnika, udając się jak zwykle do drewnianej skrzyni po dynamit. Ledwo odszedł, gdy nagle stało się coś strasznego. Z głębokich skalnych wnętrzości wyrwał się wielki huk. Jakaś potworna, wprost piekielna siła uniosła Józę w górę i z niebywałą mocą rzuciła nim o twardy spąg. Drewniane elementy obudowy trzasły niczym zeschnięte patyki. Zgasła karbidka. Józie wydawało się, iż chodnik odwrócił się do góry nogami, a on całkowicie bezradny wobec tego niszczycielskiego żywiołu, leci gdzieś daleko, jakby w niekończącą się przepaść. Gdy upadł, dostrzegł jeszcze niknący blask Kondrowej karbidki. I tyle spamiętał.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy na czoło jedna po drugiej spadały mu krople zimnej wody. Wokół panowała nieprzenikniona, prawie dotykalna ciemność, zalegała głucha, czarna cisza. Zrazu nie wiedział gdzie jest i co się z nim dzieje. Lecz gdy odtworzył sobie po kolei wszystko, co zaszło — zrozumiał swoje położenie.

Chciał podnieść rękę, by obmacać znajdującą się nad nim przeszeń. Mimo wielokrotnie czynionych wysiłków, nie mógł tego dokonać. Ręce miał dziwnie zgięte, jakby skute razem i przytwierdzone do prawego boku. Uświadamiając sobie ich istnienie, stwierdził, że tkwią tam, przywalone masą pokruszonej skały. Nóg nie czuł wcale. Jakby ich nie miał. Wstrzymał oddech, aby przeniknąć gęstą ciszę. Poza dudnieniem własnego serca i odgłosem spadających kropel wody, nie słyszał jednak niczego.

— No, to sy mnom już koniec — pomyślał — jeśli i Kondra przywaliło, to wto sie tam na wyrchu dowiy, co się stało?

— Konder! Konder! — zawołał głośno — Konderku, już po nas. A potem chwilę zastanowił się i zapytał sam siebie: — Chyba, że sztajgier Zaremba! Zaremba czasym zaglondoł do naszego przodka...

Zamknięty w mokrym i ciemnym zawalisku, Józa rozmyślał nad tym jak to się stało, że przeżył to straszne tąpnięcie. Dlaczego żył? Dlaczego nie zginął na miejscu, pod lawiną skalnych brył? Nie potrafił znaleźć na te pytania żadnej sensownej odpowiedzi. Przyciśnięty tonami kamiennego rumowiska, tkwił nieruchomo w puszystej ciemności i czekał. Na śmierć czekał, czy na wybawienie?

Pod kamienną budą uratował głowę, korpus i ręce. Tylko nogi? Poczul je nagle poprzez dotkliwy ból, który promieniując po całym ciele odbierał mu panowanie nad sobą. Począł krzyczeć jeszcze mocniej niż poprzednio, gdy wołał na Kondra. A potem, wyć, jęczeć, przeklinać, modlić się. Gdy i to nie pomogło, z bezsilności tracił przytomność. Jak długo ogarniał go stan takiej nieświadomości, nie potrafił ocenić. Jak już całkiem pomieszała mu się rachuba czasu, po kolejnej utracie czucia znów doszedł do siebie. Cały drżał z zimna. Zbierająca się pod nim zimna woda odbierała resztki sił i wiary w przeżycie. Zewsząd wyłaziła oblesna cisza, w której — tak mu się zdawało — czaiła się podstępna, chytra śmierć.

Nagle w niemym bezmiarze podziemnej głuszy wyłonił strzępy ludzkiego głosu. Wyostrzył słuch... Skądś z niedaleka dolatywały czyjeś słowa... Tak, to był ledwo dosłyszalny głos Kondra.

— Józa... żyjesz?...

— Żyja, żyja! Hajer, jo żyja!... Kaście som? — krzyczał.

— Tu... sam... — jakby z zaświatów, dopływał z martwej kamienniej pustyni jego cichy głos.

Konder, przywalony górą ciężkich głązów, faktycznie dogorywał. Cały pogruchotany, nie miał w sobie zdrowej kosteczki. Jeszcze tylko niezwykła woła życia, twardy i silny organizm a przede wszystkim pogarda dla śmierci, która coraz głębiej wpijała w niego swoje zimne pazury — powodowały, że do końca był przytomny.

— Józa... Żyjesz?... Józa, trzymej sie... niy umiyrej Józa... Ty musisz żyć — wołał z daleka tak długo, dopóki starczyło mu tchu.

Lecz potem — umilkł. Józa nie wiedział, kiedy to się stało. Ostre ataki bólu w nogach i lodowaty chłód podnoszącej się wciąż wody, znów odebrały mu przytomność. Głowa opadła bezwładnie w bok, prawie dotykając czarnego lustra. To już koniec?...

Nie, jeszcze nie! Woda przestała zbierać znajdując gdzieś tam, w poplątanym gąszczu skalnych szczelin odpływ.

A tam, od strony czynnych wyrobisk rozpoczęła się zażarta walka o ich życie. Gdy ponownie oprzytomniał, usłyszał odległe stukanie czegoś twardego o skałę. Odgłos narzędzi był coraz wyraźniejszy. W pewnym momencie, z ciszy wyłowił nawet ludzkie głosy. Lecz — nie miał już rozeznania, czy to, co dzieje się w jego pobliżu jest jeszcze jawą, czy już śmiertelnym snem.

— Jóóóza!... Jóóóza!... — zdawało mu się, że po rozprutych załamach skalnych słyszy wołanie sztygara Zaremby. To przeciągłe „jóóó...” jakby wyrwało go z agonii. Jeszcze raz obejrzał się w stronę swojego młodego życia. Słyszac to odległe „jóóó”

zebrał resztki sił i chciał krzyknąć. Ale jego krzyk okazał się niemym oddechem. Zesztywniałe z zimna wargi nie mogły sklecić prostego słowa. Więc po raz wtóry zgarnął w sobie ledwo tlejące iskierki życia i jeszcze raz spróbował odpowiedzieć na ciągłe ponawiane wołania Zaremby. I wylał wtedy z niego dźwięk przerażająco dziki, zwierzęcy:... — Aaaa!

Usłyszeli. Po dalszych godzinach morderczej, bez wytchnienia pracy, ratujący dotarli do niego.

Żył. Życia miał jednak tak mało, że dźwigającym go zdawało się, że niosą już ciało umrzyka. Leżał na noszach bezwładnie niczym kupa podartych szmat. Był trupio blady. Nie odczuwał już ani zimna, ani bólu... Wszystko dla niego było już bez sensu. Nawet ten wysiłek kamratów przy noszach. Zrezygnowany oddawał powoli ducha śmierćce krążącej nad nim jak krwiożerca strzyga... Chciał już umrzeć...

Lecz umierać nie pozwolił mu sztygar Zarembo. Prawie na czworakach, cały utyłłany w błocie biegł obok jego noszy. Wzdając, że tli się jeszcze w nim trochę życia, podbiegał do ratowników błagając ich o pośpiech, krzyczał na nich, wymachiwał sztygarskim kilofkiem, łapał za uchwyty noszy, starając się niosącym jakoś pomóc. A gdy na koniec tego szalonego tańca stwierdził, że jego wysiłki nie przyśpieszają ratunku, począł śpiewać. Wszyscy znali tę jego pieśń. Rozpoczął ją zawsze wtedy, gdy tam na dole walił się cały porządek górniczego świata, gdy z okrutnej bezsilności stawał górniczy rozum, gdy z niewysłowionej rozpaczki pękały ludzkie serca:

*„Z tej biednej ziemi,
Z tej też doliny...”*

Józka dosłyszał jeszcze to pełne skargi ale i nadziei śpiewanie Zaremby. Płakał. Ciepłe łzy spływały mu po policzkach, przetaczały się po mokrej szyi i spadały gdzieś w błotnisty spąg. Zrobiło mu się słodko i radośnie. Radośniej niż wtedy, gdy jako dziecko tulił się do łona matki. Umierając zapamiętał jeszcze tylko oddechy. Kłócące się wzajemnie. Świszczące. Głębokie. Oddechy kamratów pędzących z nim pod szyb...

...

Parę dni później, w murckowskim szpitalu Józka wydarł się jednak z objęć śmierci. Odzyskał przytomność. Jak przez mgłę, jakby w obłokach dostrzegł nad sobą postać anioła. Przez krótką chwilę był pewny, że jest w niebie, że nie przeżył katastrofy. Ale, gdy szerzej otworzył oczy i trzeźwiej spojrzął na świat, stwierdził, że wcale tak nie jest. Leżał bowiem na szpitalnym

łóżku, a nad nim w skupieniu pochylała się śliczna i jeszcze piękniejsza niż anioł postać siostry.

— Kaj... Konder? — szepnęła cichutko, prawie niedosłyszalnie.
— Śpij... — odpowiedziała siostra, kładąc na jego rozpalone czoło delikatną dłoń, — śpij...

Więc znów zapadł w głęboki sen, lecz gdy się nazajutrz przebudził, powtórnie zapytał:

— Kaj jest Konder?

Wtedy siostra pochyliła się, jak dobra matka położyła swoje dłonie na jego twarzy i przez oczy mokre od łez wykrztusiła:

— Odszedł... Wczoraj odszedł. A jak odchodził przykazał: — „Siostro, powiódźcie Józie, że matka dali mu bardzo piykne miano. Najpiyknijsze jaki mogli mu dać... Powiódźcie mu to...

Alojzy Lysko



STARZYKI

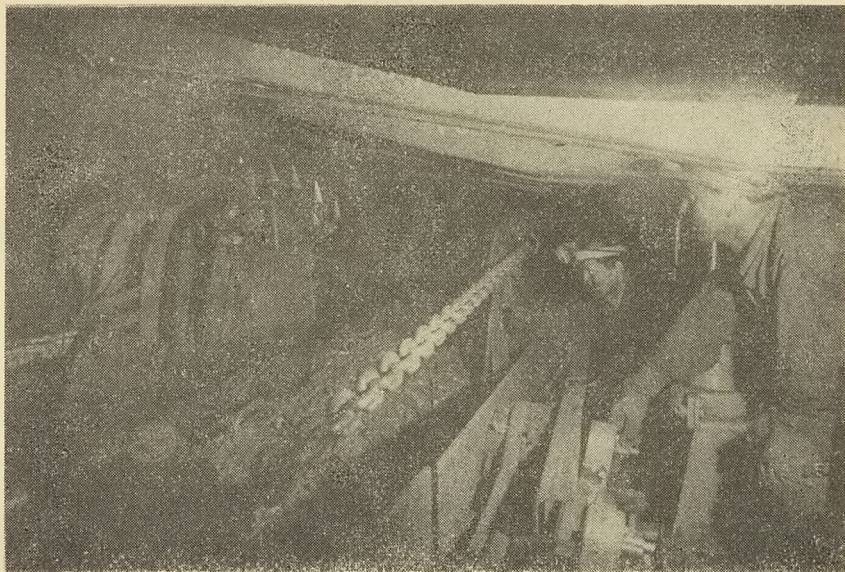
*tam gdzie szyb stoi
na swych starczych nogach
wessany mocno
w węglową ziemię
wiatr niesie szepty
pogwarki o dawnych latach
tam gdzie sztolnie wzdychają
i przodki
do ludzi, którzy rozplynęli się
w trzewiach czarnych
bez nadziei
gdzie skarbnik — dobry świętek
nie obaczy już
łśniących pleców, kropli potu
i zębów jak kość słoniowa*

jest kopalnia

*odeszli
zeszła z nich czerń
oczy zmącone mrokiem
sycą się zielonym krajobrazem
idą na piwo
dmuchają w pianę
śmieją się
ale myśli błędzą po sztolniach
ale ręce ich drżą
na widok pociągów z węglem
starzyki, którym kres wyznaczyło życie
Wiatr gdzie stary szyb
starzyki, gdzie kopalnia.*

Tadeusz Hoczek





NA ŚCIANIE

Przed drugim kalendarzem, druga moja robocza wizyta w „Ziemowicie”. Przewodnikiem po podziemiach ma być ten sam inżynier Rybski, który zresztą doskonale pamięta „Wyprawę po czarne runo” sprzed roku.

— Tamtej ściany już nie ma — mówi.

— A co jest w tym miejscu? — wrywa mi się pytanie niezbyt przystojne osobie zamierzającej pisać o kopalni.

— Nic. Zrobiy.

— Aha! Zrobiy, to znaczy masy kamieni, które pospadały ze stropu z tym niezbyt przyjemnym dla ucha łoskotem, miejsce, gdzie chyba już nikt nigdy nie dojdzie. Po tej refleksji wysuwam propozycję, abyśmy tym razem odwiedzili jakąś brygadę drążącą chodnik, żeby miejsce rozmów z ludźmi mogło dotrzeć do wydania kalendarza. Myśl ta została poddana pod rozwagę najwyższego kopalnianego gremium, które ją jednogłośnie odrzuciło.

— Teraz też trzeba pokazać ścianę, bo ze ścian jest węgiel — brzmiało uzasadnienie.

Zjeżdżamy więc na dół, na poziom 650 i kierujemy się w stro-

nę oddziału G-9, na ścianę 909. Gdzieś w połowie drogi uświadomiłem sobie, że tym razem zadaję inżynierowi znacznie mniej pytań i w ogóle w szatni, w windzie i pod ziemią czuję się jakoś bardziej pewnie. A więc nauka sprzed roku nie poszła w las. A może to tylko dlatego, że idziemy jedynie samowtór z „cicerone” i nie ma nikogo, kto mógłby mnie obsmarować tak jak w zeszłorocznym kalendarzu. Mimo to nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, abym na dole czuł się jak ryba w wodzie. Nieprzyjemnych wrażeń doznaję zwłaszcza w miejscach, gdzie strop się obniża, czy też — jak kto woli — spąg unosi się ku górze, albo gdy trzeba przeciskać się przez wąskie szczeliny pomiędzy stemplami. Oddech mam krótki i nie lubię tłoku — jak mawiał pan Zagłoba, tłumacząc swą nieszczególną chęć do rzucania się w wir bitwy.

Wreszcie, po sforsowaniu wielu takich wąskich gardeł docieramy do celu. Tuż przy ścianie spotykamy kierownika oddziału, Władysława Rzakosza. Po zwyczajowym „Szczęść Boże” siadamy w pobliżu zawału, które to miejsce choć wygląda groźnie, jest ponoć najbezpieczniejsze w kopalni, gdyż nastąpiło tu już znaczne rozprężenie górotworu i prawdopodobnie nic nie spadnie z góry. Tak przynajmniej twierdzi sztygar i wypada mu wierzyć. Gospodarz charakteryzuje swoje podwórko: Oddział składa się z dwu ścian, gdzie pracuje 90 ludzi. Teraz wybiera się górną, przystropową warstwę pokładu. Na ścianie stosowana jest obudowa „Fazos” 12/28, kombajn KWB — 3 RDU i przenośnik „Rybnik” — 80.

— Co jeszcze pana interesuje, redaktorze?

— Porozmawiajmy o załodze, no i o panu. Skąd się pan tu wziął...?

— Załoga jest dobra, zdyscyplinowana. Wystarczy powiedzieć, że od kiedy tu jestem, nie było ciężkiego wypadku, nie mówiąc już o śmiertelnym. To cieszy. Są górnicy z długim stażem, ale nie brakuje też mniej doświadczonych. Gdzieś tak pół na pół. Starzy uczą młodych, chociaż i ci drudzy wiele już umieją. Każdy, kto przychodzi do takiej roboty musi mieć minimum 3 lata stażu na przodku i zaliczone 2 kursy. Ci po szkole zawodowej mają już stopień młodszego górnika, muszą tylko awansować na górnika, a do tego trzeba złożyć egzamin przed komisją. Ale — jak powiedziałem — takiego też trzeba jeszcze szkolić. Wszelkie roboty nietypowe przy przebudowie skrzyżowań, obrywkach ociosów itd. powierza się ludziom najbardziej znającym fach, dodając najwyżej po jednym dwóch młodszych, żeby się uczyli. Tak samo przy rabowaniu wyrobisk, gdzie wymagane są szczególnie wyso-

kie kwalifikacje. Tam każdy musi mieć stopień górnika i dodatkowo jeszcze rabunkarza.

— No a ja to przyszedłem do górnictwa z gór. Urodziłem się koło Bukowiny Tatrzańskiej. Po szkole podstawowej poszedłem do technikum górniczego w Krakowie. Stamtąd przyjeżdżaliśmy na stary „Piast” na praktyki, no i zaklepałem sobie tutaj miejsce. Przez 3 lata pracowałem fizycznie jako górnik, a później brygadzysta. Od 63 roku jestem w dozorze, najpierw jako nadgórnik, sztygar zmianowy, potem kierownik oddziału, czyli sztygar oddziałowy. Na tym stanowisku jestem już jakieś 13—15 lat. Nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że objąłem je za czasów dyrektora Spiry.



Temat rozmowy zaczął się powoli wyczerpywać, więc wchodzimy w czarną czeluść ściany, gdzie błyskają tylko lampy górników i głucho huczy kombajn. Przeciskając się pomiędzy sekcjami obudowy, słucham dalszych objaśnień Władysława Rzakosza. Ponieważ widzę długi łańcuch, a słyszałem już coś o bicowaniu, z ulgą przyjmuję wiadomość, iż są tu specjalne zabezpieczenia przed uderzeniami zerwanego łańcucha. Spotykamy kombajnistę Zenona Plutę.

— To pan jeździ tą machiną? — zagadnąłem.

— Właściwie to ona sama jeździ, a ja sobie tylko spaceruję.

przy niej — żartuje górnik. Uzbierało się już tych spacerków. Można obliczyć: robi się tu przeciętnie dwa i pół skrawa przez całą ścianę w ciągu zmiany. To razy 14 lat...

Nie słyszę co mówi dalej, bo dokładnie naprzeciwko nas z calizny oderwała się z hukiem bryła węgla wielkości sporej szafy, którą natychmiast porwał przenośnik.

— Jakies dwie i pół tony — szacują górnicy. To właśnie dzięki ciśnieniu górotworu urobek sam spada ze ściany.

Kolejnym moim rozmówcą jest Mieczysław Miękina. Przepracował w kopalni już 28 lat i wnet wybiera się na emeryturę... Tę rozmowę przerywa znów donośny krzyk z drugiego końca ściany „Pali się!”

— Pali się — powtarzają dość obojętnie moi współtowarzy-
sze — ale może jeszcze przejdziemy.

Ja tymczasem doznaję uczuć mieszanych. Wiem przecież, że z ogniem w kopalni nie ma żartów, ale z drugiej strony daje też o sobie znać żyłka reporterska. Przecież to wielka frajda, być raz na rok pod ziemią i od razu oglądać takie niecodzienne wydarzenie. Po chwili jednak okazuje się, że to bynajmniej nie pożar, tylko po prostu będą detonowane ładunki w ścianie. To „pali się” oznacza, iż wszystko jest już gotowe do strzelania, a pochodzi jeszcze z czasów, kiedy zamiast zapalników elektrycznych stosowano lonty prochowe.

Przechodzimy ku końcowi ściany, bo przepisy nie zezwalają, aby ktokolwiek przebywał w pobliżu miejsca eksplozji. Tu inżynier Rybski, sztygar Bolesław Lempart i brygadzysta dają mi dłuższy wykład na temat strzelania. Ostatni z górników jest tu właśnie odpowiedzialny za ludzi, sprzęt i ładunki. A więc strzela się po to, aby rozluźnić nieco węglową caliznę. Kombajn ma wtedy łatwiejsze zadanie, mniej zużywają się noże, no i przede wszystkim w urobku zwiększa się udział węgla grubego, a ten jest najbardziej poszukiwany (i najdroższy) zarówno na rynku krajowym, jak i zagranicznych. Główne strzelanie odbywa się podczas IV zmiany, tzw. konserwacyjno-remontowej, ale 3 pozostałe również zużywają sporo ładunków.

Przytłumiony huk i podmuch, jakie dały się odczuć, świadczą, że jest już po detonacji. Niekiedy — słucham dalej — strzela się też w stropie. Wtedy stosowane są jeszcze dalej posunięte środki ostrożności. Zanim upowszechniły się obudowy zmechanizowane, zdarzało się, że drewniane stemple nie wytrzymały wtedy obciążenia i następował zawał na całej długości ściany. Wszystko, co tam było, diabli brali. Po 75 roku, kiedy ostatnia ściana w „Ziemowicie” otrzymała mechaniczną obudowę, nic takiego się nie zdarzyło.

Wracamy jeszcze w pobliże kombajnu, gdzie sztygar przedstawia mi młodego górnika, Stanisława Turczyzna.

— Redaktorze. On tu jest dopiero 4 lata, a robi tak jak by był 10. Trzeba szybko, to robi szybko, trzeba wolno i dokładnie, to Stasio też potrafi.

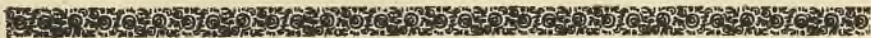
„Stasio” nic nie odpowiada na pochwały szefa, uśmiecha się tylko z zadowoleniem. A sztygar ciągnie dalej.

— Jak Bolek pójdzie na emeryturę, to będzie miał go kto zastąpić. Musi tylko poduczyć się trochę postępowania z ludźmi, no i paru twardych słów, bo górnictwo to twardy zawód.

J. Bednarowski

O ROBOCIE

- Co robisz, rób dobrze — więcej nie trzeba.
- Dużo robi, kto dobrze robi.
- Jak kto robi, tak ma.
- Każdy na sie pilniej robi niż na drugiego.
- Kto sam nic nie robi, cudze sprawy rad szacuje.
- Nie żal robić, gdy jest dla czego.
- Wszyscy ludzie wszystko zrobią.
- Kto się do roboty stroi — roboty się boi.





SKUPNIKOWE PTOKI

Najpiękniej jest tu wiosną, kiedy cały ogród bieli się, różowi i czerwieni. Górą jabłonie, czereśnie, wiśnie, gdzieś w połowie delikatne płatki świeżo przeszczepionych młodych drzewek, dołem, w parterze całe łany róż — ukochanych kwiatów gospodarza. Pyszną się zresztą i panoszą soczystymi barwami wszędzie wokół domu, dziesiątkiem odmian, których nie powstydziliby się żaden wytrawny hodowca.

Najciekawiej jest latem. Obsypane owocami gałęzie wzbudzają zdumienie każdego przechodnia. Oto czereśnia. Niby zwyczajna, a przecież z jednego pnia w cztery strony świata wyrastają owoce czterech jej odmian. Dalej jabłoń-rekordzistka. 12 odmian jabłek na jednym drzewie. I ciągną się szpalery tych imponujących krzyżówek, bo — jak mawia Gotard Skupnik: — po co mi pięć metrów koszteli, nie sztuka je zasadzić, jak mogę zbierać z tej samej powierzchni kilkanaście rozmaitych odmian? Wtajemniczeni twierdzą, że gdyby nawet miotłę wsadził w ziemię, to też zakwitnie. Ba, jak się przyłoży, to i owocem sypnie!

Czysty łądziniak z niego, na grubie rodzony. Górnikiem był dziad jego i żony (z Łędzin na Murcki pieszo w pantoflach chodził), górnikiem ojciec, śląski powstaniec, ściągnięty tu za młodu z Zabrzeża, gdy na „Piaście” szyby bili. Gwizdek na grubie budził go o świcie i dźwigał ostro w uszach, gdy zasypiał.

Urodził się wątlą, słabowity. — Ani chybi zemrze na suchoty, jeśli się z niego w czas choróbka nie wyciągnie — zawyrokowała babka-zamawiaczka. Wzięli więc niemowlę, przed wschodem słońca przywiązali do wielkiej drewnianej łopaty i jak kazała znachorska mądrość, trzy razy przez rozpalony piekarski piec przeciągnęli. I co powiecie? Zniknęły suchoty, jak ręką odjął, czego najoczywistszy dowód stoi dziś przed oczami w postaci rostełgo, w pełni sił pięćdziesięciolatka.

— Do dziś mam pięty przypalone — śmieje się żywy sukces ludowej „medycyny”.

Pierwszą mysz przyniósł do domu mając trzy lata i tego dnia, zdaje się, zaczął swoją wielką życiową pasję hodowania wszystkiego, co żyje i rośnie.

— Jedni lubią kryształ, inni w karczmie posiedzieć przy piwie, a ja lubię przyrodę — komentuje swego „ptoka”.

Przepracował na „Ziemowicie” większą część życia. I pewnie do dziś zjeżdżałby codziennie na dół sztajger Skupnik, gdyby nie wypadek, jakiemu uległ przed 5 laty. W efekcie — nieodwołalna renta, a od 1983 roku emerytura. Jakże myliłby się jednak ten, kto utożsamiałby stan emerycki z biernym odpoczynkiem w fotelu i ciepłych bamboszach. Rodzina Skupników nie zna słowa leniuchować. Po prostu nigdy z czymś takim nie mieli do czynienia.

Dzień zaczyna się dla pana Gotarda o czwartej nad ranem. Wstaje i jedzie rowerem po ciepły chleb dla siebie i sąsiadów, co to lubią pospać dłużej. I zdąży jeszcze najmłodszemu zięciowi śpieszącemu na pierwszą zmianę podrzucić świeżutkie kołaczki, ulubione, z serem. Później rozpoczyna się kołowrót codziennych prac wokół gospodarstwa i swoich pupilów. Jest tego sporo.

— Trudno byłoby się utrzymać z renty — mówi G. Skupnik. — Ale myśmy nigdy nie narzekali. Trzeba tylko ruszać głową i nie skąpić pracy, a wszystko, za co się człowiek weźmie, będzie opłacalne. Takie kury na przykład. Paskudzą, to prawda, ale jajka się przydadzą. A karma? Zbieram wszystkie resztki. Starsza córka, nauczycielka w Jastrzębiu gromadzi stary chleb z całego bloku i przywozi do nas.

Hoduję gołębie i króliki — te użytkowe, na stół, i szlachetnych odmian, dla dumy i przyjemności. Mam ich ogółem 48 —

nie licząc młodych. W ubiegłym roku z braku paszy zlikwidowałem fermę nutrii. Trochę mi żal, bo zbierały medale na wystawach, no i przyjemnie było popatrzeć. A w domu śpiewają kanarki.

Oglądam ich królestwo, chwilowo w łazience, lecz wkrótce przeniosą się do własnego „gabinetu”, który im właściciel właśnie kończy budować. Wiszą klatki rzędami, w środku rojno, gwaro, kolorowo. Ulubionym zajęciem pana Gotarda jest zasiąść w kącie, by nie peszyć ptaków swoją obecnością i patrząc w lustro umieszczone na sąsiedniej ścianie, obserwować te ptasie familie, pobudzać umiejętnym gwizdem do śpiewu, zalotów, zabawy. Krzyżuje kanarki z odmianami dzikimi, ze szczygłami i czyżkami.

— Dzikiego zachęcać trzeba do krycia. Niełatwo mu zdobyć nową samiczkę. Ale jak już raz się podda, to takie małżeństwo jest bardzo trwałe. Niechby jej wymienić partnera, to krzyk zaraz w klatce i walka, że tylko piórka furgają. Wierna taka jest. A i wymagająca jako żona. Co godzinę chciałaby figlować. Samce osłabiają się, chcąc sprostać wymaganiom. Dlatego dietę trzeba im serwować specjalną, z witaminami.

Z króliczarni dobiegają tony muzyki. Dobrze się przy niej chowają — twierdzi hodowca. Na ścianach i pomiędzy boksami — ozdobna zieleń. Rezydencja, jak dla króla, a nie dla królika. Dołem biegnie kanał, którym odpływają wszelkie nieczystości. Wielkie, puszyste króle obserwują nas ciekawie przez pręty klatek.

— Uważam, że jak coś chować, to w masie i w piękności — mówi pan Gotard. — Co rasa, to rasa. Przyjemnie poświęcić zwierzakom czas i wysiłek, jeśli się widzi efekty. Tu są olbrzymy belgijskie, tu niemieckie. Właśnie zamówiłem z Anglii dwa samce i samiczkę. Trochę kosztowało, ale musiałem mieć. Do krycia. Będzie spokój na pięć, sześć lat. A zainwestowane pieniądze wrócą się za pół roku. Przecież ciągle odsprzedają pojedyncze okazy innym hodowcom.

Ściany korytarza gęsto wypełniają dyplomy z wystaw. Same czołowe lokaty w konkursach okręgowych, wojewódzkich, ogólnopolskich. Nic dziwnego. Wystawowe okazy Skupnika osiągają parametry znacznie przekraczające średnią krajową. Śledzi na bieżąco wszystkie hodowlane nowinki i ciekawostki. Adaptuje do własnych warunków najlepsze z metod, nie chcąc być gorszym niż zagraniczni koledzy. Prowadzi systematyczną wymianę zwierząt z hodowcami w Czechosłowacji i NRD, a także w kraju. Nikomu też nie odmawia rady, jeśli się po nią zwróci, czy

sprzedaży egzemplarza oryginalnej rasy. Lubi się dzielić tym, co ma najlepszego.

Dzień wypełniony jest zajęciami do późnego wieczora. Tylko znakomita organizacja poparta wieloletnim doświadczeniem, a także wyjątkowo pracowita żona pana Gotarda, rozumiejąca pasję mężowską, pozwalają bez zakłóceń funkcjonować całemu temu gospodarstwu.

— Od pierwszych dni małżeństwa — wspomina Maria Skupnikowa — wzięliśmy się ostro do roboty, i tak właściwie aż do dziś płynie nasze życie. Ten dom zbudowaliśmy sami. Od projektu, po robotę i wykończenie. Każdy pustak przeszedł przez nasze ręce. Materiał ściągaliśmy skąd się dało: z rozbiórek, kopalni (z tego, co na zwały), ze starej kuźni. Pięć lat trwała harówka, ale dom stanął. Obszerny, wygodny, dwurodzinny. Dzieci zawsze pomagały. Mieliśmy duże szczęście, że porodziły się takie spokojne, pracowite, tak do nas przywiązane. Jeszcze dziś nie wyobrażam sobie niedzieli bez rodzinnego obiadu. 18 osób zasiada za stołem! Cały tłum. Wtedy też przydają się te kury i króliki. Z kartkowych przydziałów nie wykarmiłbym takiej czelodki.

— Dobrobyt dzisiaj, mimo kryzysu, nie do porównania z dawnymi latami — dodaje G. Skupnik. — Pamiętam, gdy matka kupiła piklinga, wszyscyśmy wyczekiwali na taką świąteczną kolację. Połowa była dla ojca, z reszty po kawałeczku dla dzieciaków. Dla matki już nie starczało, ale my, jak to dzieci, nie zauważaliśmy tego. Każdy wyczekiwiał, by złapać głowę, albo skórę z ryby i spałaszować z chlebem. Tak, ziemniakami postnymi i kapustą się żywili. Niechby kto spróbował dziś dać to swoim dzieciom.

I nieraz się dziwię, że ludziom się nie chce robić, że — jak mówią — nie warto. To są głuptoki. A zakasz rękawy, chłopie, ino rób, a też będziesz miał wszystko. A oni ino narzekają.

Od Skupników nie usłyszysz słowa skargi. Wiedzą, że sami sobie ułożyli własne żywobycie i jak pracowali, tak mają. A że panu Gotardowi starcza czasu na wszystko, to widać talent ma taki, i już. Przez całe życie był społecznikiem. Ławnik w sądzie, działacz w organizacjach, wiceprezes Związku Hodowców Drobrego Inwentarza, uzbierałoby się i więcej funkcji pełnionych nie dla pieniędzy, ani profitów. Po co to robił i robi nadal?

— Żebym mógł ojczyźnie spojrzeć prosto w oczy. — odpowiada. — I mogę.

Ewa Świzewska

PIŁKA JEGO MIŁOŚĆ



Złota jedenastka „Górnika” Łędziny z lat 1962—64

Pierwszy mecz rozegrał Zygfryd Świergolik w roku 1951 jako trampkarz Polonii Tychy. Miał wtedy zaledwie 11 lat. Ale to nie była jego pierwsza przygoda z piłką. Jej urok poznał na łędzińskiej piaskowni, tuż obok budującej się kopalni „Ziemowit”, gdzie wspólnie z kolegami uganiali się za szmacianką i kolekcjonowali gazetowe zdjęcia słynnych piłkarzy świata.

Kiedy ojciec za wzorową pracę w kopalni otrzymał w nagrodę mieszkanie na pierwszym, tyskim osiedlu — w piłkę mógł już Zygfryd grać na prawdziwym boisku. Z meczu na mecz grał coraz lepiej, więc szybko awansował do pierwszej B-klasowej jedenastki. Grał w ataku. Nie był rosty, ale natura obdarzyła go kocią zwinnością i nieprzeciętnym refleksem. Te walory decydowały o bramkach, zdobył ich dużo. W roku 1955 strzelił bramkę przypieczętowującą awans Polonii do A klasy. Wyróżniającego się pracowitością na treningach, zdyscyplinowanego na boisku, sprawnego i chytrego w grze młodego zawodnika szybko dostrzegli działacze. Zygfryd Świergolik szczególnie ciepło wspomina p. Bąka z Katowic, który obserwując rozwój jego talentu wciągnął go do kadry śląskich juniorów.

W tym samym czasie ukończył szkołę górniczą i za namową wiernego swojego kolegi klubowego Alfreda Ferdusa podjął pracę w kopalni „Ziemowit”, co wiązało się automatycznie ze zmianą

barw klubowych. Znalazł się w A-klasowym Górniku Łęczyny. Zebrało się tam kilkunastu pełnych fantazji chłopców, którzy oprócz talentu do gry, nabytych już umiejętności, mieli jeszcze coś, co w sporcie jest najpiękniejsze: miłość do piłki. Warto wymienić nazwiska tych zawodników: Władysław Kluska, Henryk Jagoda, Paweł Chrostek, Henryk Kulawik, Roch Piegrzyk, Waldemar Malcharek, Józef Jałowy, Henryk Korzeniec, Alfred Ferdus, Stanisław Kubina, Zygmunt Soblik, Stefan Czarnynoga, Paweł Cieplik no i on, Świergolik.



Ci wspaniali chłopcy chcieli grać w piłkę, mieli sportowy animusz i młodzieńczy zapał. Umiejętnie potrafił wykorzystać to ich trener, człowiek-mag, Maksymilian Barański. Był to trener o surowych zasadach, niezwykle wymagający, znakomity wychowawca. On z tej grupy zrobił w krótkim czasie drużynę, która szła od sukcesu do sukcesu. Całe Łęczyny upiły się radością, jaką co niedzielę przynosili im piłkarze. Na starym boisku, tuż obok łęczyńskiej szkoły podstawowej na mecze przychodziło po 3—5 tysięcy kibiców.

W roku 1962 po serii efektownych zwycięstw Górnik Łęczyny wchodzi do III ligi. Radość sięga zenitu. „Zyga” jest królem strzelców i kapitanem zwycięskiej drużyny. Sukces przeżywa szczególnie mocno. W następnym sezonie co mecz to sensacja. Piłkarze Łęczyn mają poważne szanse zakwalifikować się do II ligi. Niestety, coś się w drużynie załamuje. Decydujący mecz u siebie, z 09 Mysłowice, zaledwie kończy się remisem. Awansuje Dąb Katowice. Szkoda. W Łęczynach grał wtedy najlepszy chyba atak, którego nie powstydziliby się nawet drużyna I-ligowa. Świergolik — Chrostek — Ferdus — Korzeniec — Czarnynoga. Kto ze starszego pokolenia zna tych zawodników, ten wie do czego byli zdolni ci zwinni, szybcy, nieustępliwi w grze chłopcy.

Na jeden z meczów przyjeżdżają obserwatorzy z Górnika Zabrze w celu dokonania transferu. Złe się stało, że Zygfryd akurat doznaje poważnej kontuzji. Łękotka, szpital w Piekarach, długotrwałe leczenie. Na osłode zostaje mu wiadomość, że do „Wielkiego Górnika” poszedł Latocha i młodziutki Ogaza. Jeśli nie on — to przynajmniej oni, co wyrosli przy jego boku.

15 lat grał Świergolik w Górniku. Potem były jakieś reformy rozgrywek piłkarskich i w roku 1971 przyszło się pożegnać z drużyną. Miał już wtedy 30 lat i choć sportowiec podobno się nie starzeje, poczuł się nagle wśród młodszych nieswojo. Ostatni mecz zagrał ze Śląskiem Świętochłowice wygranym przez górników z Łęczyn 6 : 1. „Zyga” na pożegnanie strzelił wtedy 4 bramki. Było to najpiękniejsze, jakie mógł sobie tylko wymarzyć ukoronowanie jego długiej kariery piłkarskiej, no i dobry przykład dla młodszych. Tych młodszych też dobrze wspomina: Henryk Kula, Kazimierz Piekorz, Ryszard Siwek, Tadeusz Ochman, Aleksander Janota, Henryk Śpiołek, Paweł Pluta, Antoni Piekorz, Jerzy Sekuła. — Z tymi chłopakami też można było pograć, trenowali ich przecież znakomici dawni piłkarze: Cieślik, Suszczyk, Bartyła — mówi Świergolik — ale wtedy nie było już w Łęczynach takiego klimatu do piłki jak przed laty. Coś się w nas i działaczach wypaliło.

Więc pożegnał się z piłką. Lecz nie został trenerem lub jego pomocnikiem, jak to zwykle bywało z zasłużonymi sportowcami. Świergolik zawsze traktował życie poważnie. Podjął pracę górniczą, zgodnie z wyuczonym zawodem i rodzinnymi tradycjami. I co się okazało?... Świergolik tak jak na boisku — tak i w robocie zaczął przodować. Upór, ambicja, spryt — cechy, które dały mu sport potrafił szybko przeschepić na swoją trudną i odpowiedzialną funkcję brygadzysty ścianowego.

Jak dzisiaj spogląda na piłkę pan Zygfryd? W sobotnie i niedzielne popołudnia ciągnie go coś na boisko, nieraz chciałby

wskoczyć na płytę i pokazać młodszym jak się gra w piłkę. Pokazuje to zresztą w corocznej edycji rozgrywek międzyoddziałowych w ramach Spartakiady Zakładowej, strzelając gole wzbudzające zachwyt i podziw. Ogląda z pasją mecze w telewizji — bo piłka to jego miłość.

Alojzy Lysko



Na rękach kibiców

U DYREKTORA

(humoreska)

Wacek zawalił. Zarwał szychtę. Był na weselu swego chrześniaka, potem poprawiny i w poniedziałek siłą rzeczy nie był w pracy.

— Psiakrew! Trzynastki nie dadzą i „barbórkowego”... — pomyślał.

— Co tu robić?

Wiadomo, w takim przypadku trzeba napisać prośbę. Prośbę do samego dyrektora...

Napisał ją, nadmieniając, że na kopalni pracuje już 18 lat bez wypadku, a jakże, i że to jest jego pierwsza bumelka...

Wstąpił do sekretariatu.

— Dzień dobry pani, czy jest towarzysz dyrektor?

— Pan w jakiej sprawie? — zapytała sekretarka.

— Osobistej.

— Widzę, że ma pan pismo. Niech pan je zostawi, dyrektor da odpowiedź.

— Nie, ja muszę z nim osobiście... proszę pani...

Wtem drzwi się otworzyły i z gabinetu dyrektora wyszedł jakiś sztygar. Dyrektor dojrzał go i zawołał:

— Proszę wejść! Wacek wszedł. Skłonił się.

— Dzień dobry! — powiedział głośno.

— Dzień dobry — dyrektor uśmiechając się wskazał na fotel.

— Proszę usiąść.

Wacek usiadł i spojrzał prosząco na dyrektora. Dyrektora widział parę razy, ale gdzieś w terenie, na dole albo w cechowni, a tu nagle sam na sam... Był speszony. Nawet bał się czegoś. Tymczasem tęgawa twarz dyrektora zapromieniała szerokim uśmiechem.

— Ładnie sobie pan wygląda, panie dyrektorze... — wyrwało się Wackowi.

Dyrektora poruszyło to pochlebstwo. Jego twarz w oka mgnieniu stała się poważna, a nawet jakby groźna.

— Pan w jakiej sprawie? — zapytał gasząc spojrzeniem Wacka.

— Chciałem usprawiedliwić nieobecność w pracy.

— Bumelkę?

— Tak, panie dyrektorze... bumelkę.
Wziął jego prośbę do ręki. Przeczytał i spojrzał podejrzliwie na Wacka.

— Dlaczego nie zostawił pan tego u sekretarki?

— Ależ panie dyrektorze, z hołotą nikt nie lubi rozmawiać.

— Z jaką hołotą? Pan jest tupeciarzem...

— No, bo ja nazywam się Wacław Hołota.

— Nie rozumiem... — Cha, cha, cha — roześmiał się wreszcie dyrektor — dowcipne to. Popatrzył jeszcze raz na jego prośbę. Z otwartego biurka wyciągnął butelkę Coca-Coli. Wstał, i nalał do szklaneczki.

— Napij się pan, panie Hołota, skoro nikt nie chce z panem rozmawiać. A chrześniakowi też Hołota?

— Nie Bombelok, panie dyrektorze! — pokręcił głową Wacek — Adam Bombelok.

— No tak, różne mają ludzie nazwiska — przytaknął dyrektor jakby tłumiąc uśmiech, — a pańska żona nie namawiała nigdy pana na zmianę tego nazwiska?

— Nie, mojej to wszystko jedno — rzekł dobrodusznie Wacek, po czym dodał — Bombelokowa kiedyś, zaraz po wojnie namawiała swego starego, aby zmienili na jakieś inne, ale jej chłop



oświadczył: „Kobietę wara od mego nazwiska. Mój dziadek był Bombelok, ojciec Bombelok, to i ja chcę być Bombelokiem”. Uważam, że miał rację. No to jak będzie z tą bumelką panie dyrektorze?... Dyrektor rzucił okiem jeszcze raz na kartkę leżącą na biurku.

— Ale w nadchodzącą niedzielę zgłosi się pan do pracy.

— Przyjdę panie dyrektorze. Muszę przyjść... Na weselu się wykosztowałem, to teraz muszę to nadgonić.

— Podpisuję Hołocie. Bombelokowi nie podpisałybym — rzekł. Wziął długopis do ręki i na całej szerokości kartki napisał: „Dzień nieobecności w pracy usprawiedliwiony”.

Tadeusz Hoczek

PODSŁUCHANE U GÓRNIKÓW

- Z ciebie śleper, jak z mojej starej królowa.
- Stoisz jak bergmon po gęltaku.
- Jak górnik późnie, to i baba czuje.
- Hajer bez ślepra, to jak baba bez chłopca.
- Do łózka jak hajer, a z wypłatą jak śleper.
- Kto w gęltak chłopie, cały miesiąc byda klepie.



SPEŁNIŁY SIĘ MOJE MARZENIA



Mając 41 lat, stosunkowo niewielki staż zawodowy, dużą nadwagę, szanse na awans, trudno się pogodzić z opinią lekarza stwierdzającą poważne schorzenia serca i kręgosłupa uniemożliwiające dalszą pracę. Jedyne w tym wypadku wyjście to renta inwalidzka.

Było to dziesięć lat temu, kiedy młody inżynier Bolesław Gajda usłyszawszy decyzję lekarza zawziął się w sobie i postanowił ratować się sam. Jego receptą na zdrowie miał być sport. W tym czasie w telewizji i prasie propagowano ścieżki zdrowia, więc postawił na bieganie. Mie-

szkając w Lędzinach nie miał kłopotów ze znalezieniem sobie odpowiednich terenów rekreacyjnych. Wytyczył własną trasę i przebiegał ją kilka razy dziennie, rano lub wieczorem w zależności od tego czy szedł na pierwszą, czy drugą zmianę. Początkowo sąsiedzi i przypadkowi przechodnie nie ukrywali swego zdziwienia na widok sportowego dresu. On nie zważał jednak na sąsiedzkie docinki, wiedział, że tylko wytrwałość może doprowadzić go do wytyczonego celu jakim było ratowanie podupadłego zdrowia.

Po trzech latach ćwiczeń bieganie dla zdrowia przerodziło się w pasję uprawiania tej dyscypliny sportu. Pan Bolesław poczuł się na tyle silny, że postanowił zmierzyć się z innymi. Na kopalni wiadano, że biega więc zaproponowano mu by wystartował w spartakiadzie zakładowej, później na szczyblu zjednoczenia, resortu i wreszcie w Pucharze Górniczym. Pierwszy sukces to drugie miejsce w biegu narciarskim na 5 km podczas spartakiady zjednoczenia w 1976 roku. W tym samym roku był 8 w biegu finałowym Pucharu Górniczego. Początkowo biegał na stosunkowo krótkich dystansach 3—7 kilometrów. Na rywalizowanie na dłuższych odległościach na razie nie miał sił. Jednak jego marzeniem był start w biegu maratońskim. Upłynęło kilka kolejnych lat i marzenie to spełniło się.

Bolesław Gajda wystartował w warszawskim Maratonie Pokoju. Uczestniczył także w międzynarodowym maratonie w Otwocku. Od 1980 roku bierze udział w prawie każdym większym biegu długodystansowym, jakie organizowane są w kraju dla prawdziwych amatorów. Uczestniczy także w zimowych imprezach. Widzimy go na listach startowych kolejnych biegów

Pucharu Śląska, organizowanych przez miasta GOP-u. Startował we wszystkich dotychczasowych edycjach Mistrzostw Mieszkańców Miast — największej ogólnopolskiej imprezy zimowej dla niezrzeszonych, zajmując miejsca szóste (1981), drugie (1982) i trzecie (1983). Nieobce są mu także biegi Piastów, Gwarków Gąsieniców.

Największym jego sportowym przeżyciem był start w wielkiej zimowej imprezie narciarskiej — biegu na 75 km jaki odbył się w Finlandii w lutym 1983. Finlandia-Hiihto — tak nazywały się zawody — zgromadziły na starcie 12.765 biegaczy z 21 krajów.

Podniecony startową gorączką wstałem o czwartej rano — wspomina Bolesław Gajda. — Po piątej zjadłem śniadanie i szybko do autokaru, który zawiózł nas do oddalonego od Lahti o 76 km Haemaenlinne. Tam na lodowej tafli wielkiego jeziora ustawiono kolumnę startową liczącą ni mniej ni więcej a 3 kilometry długości. Jej szpicę stanowili najlepsi europejscy biegacze oraz zawodnicy, którzy w ubiegłym roku znaleźli się na pierwszych 400 miejscach. Ustawiono nas w sektorach po 500 w każdym, na 60 torach. Ja, jako że miałem numer 8.369 znalazłem się w dalekim szesnastym sektorze. Zaraz za jeziorem przez 10 kilometrów było 20 równoległych torów, później 10, a ostatnie 40 kilometrów — 3 tory.

Po strzale z armaty rywale ruszyli, ale tylko ci z przodu. Pozostali, a zwłaszcza ci z numerami powyżej tysiąca musieli przez pierwszych kilka kilometrów człapać jeden za drugim, odczekiwać całymi minutami, aż będzie przed nimi trochę wolnej przestrzeni. Najlepiej było na dwóch górkach, jakie napotkaliśmy na dość płaskiej trasie. Na wzniesieniu wytyczono 10 torów, ale u jego podnóża było rozwidlenie. Górkę można było obieć i później dołączyć do trasy. Nadkładało się 500—700 metrów, ale wielu startujących wybierało ten wariant. Ja na obu wzniesieniach minąłem najwięcej rywali. I pod górę, a przede wszystkim przy zjazdach. Finowie bali się szybkiej jazdy, pluzyli, a ja zjeżdżałem w dół jak „torpeda”. Sporo rywali wyprzedzałem na punktach odżywczych. Oni jedli, pili, rozmawiali, umawiali się na następne starty, ja nie traciłem czasu i mknąłem do przodu.

W sumie wyprzedziłem może z dwa tysiące biegaczy, ale wyprzedzono także i mnie, głównie młodzi Finowie, którzy byli w wieku mojego syna.

Trasa była bardzo piękna — zresztą jak i cała Finlandia. Biegliśmy przez 4 zamrożone jeziora, przez lasy. Kiedy mijaliśmy kolejne miejscowości mieszkańcy dopingowali nas. Widząc biało-czerwony znaczek nad numerem startowym wołali „O, Puola”.

Najpiękniejszy był moment, gdy nad drzewami wyłonił się maszt radiostacji w Lahti. Tu trenowałem poprzedniego dnia, więc wiedziałem, że do mety na pewno dobiegnę. Jeszcze bardziej zwiększyłem tempo, na zjeździe na stadion (ten sam na którym Józef Łuszczek zdobywał mistrzostwo świata) wyprzedziłem jeszcze z 20 konkurentów. Przywitał mnie głos spikerki, która najpierw przedstawiła mnie kilkunastotysięcznej widowni po fińsku, a następnie powiedziała to samo po polsku zapraszając mnie przy okazji do startu za rok. Na mecie byłem 7401 w czasie 7 godzin, 3 minut i 35 sekund. Zwycięzca przybiegł w niespełna 4 godziny a ostatni uczestnik zameldował się na stadionie po 11 godzinach i 56 minutach. Bieg ukończyło 12.133 zawodników.

Podobnie jak Łuszczek otrzymałem medal tyle, że nie złoty a pamiątkowy. Dla mnie jednak jest on co najmniej tyle samo wart. Stanowi pamiątkę imprezy będącej spełnieniem moich dotychczasowych marzeń...

Minęły kolejne miesiące. Biegając latem w lesie wspominałem sobie zimowe przeżycia. Przed oczami stały mi tysiące biegaczy ubranych w różnokolorowe stroje. Wtedy kiedy byłem blisko nich przysłuchiwałem się rozmowom — jak umawiali się na następne starty gdzieś w Austrii, Włoszech czy nawet za Oceanem. Dla mnie wyjazdy te były niemożliwe, pozostało mi jedynie pozazdrościć. Zauważyłem, że w tej ogromnej grupie amatorów wytworzyła się pewnego swoistego rodzaju elita. Tworzyli ją posiadacze tzw. paszportu pucharu świata. Warunkiem otrzymania tego dokumentu było uczestnictwo w serii biegów narciarskich organizowanych w krajach Zachodniej Europy, Skandynawii oraz w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Tak właśnie przemierzając leśne dukty zacząłem marzyć o zdobyciu choćby tego mniej ważnego dokumentu. Start w biegu na terenie Skandynawii — co jest koniecznym do spełnienia warunkiem — miałem zaliczony. Pozostało więc jedynie przebiec dwa długie dystanse podczas imprez organizowanych na Zachodzie. Poprzez prywatne kontakty załatwiłem sobie kalendarz startów. Nie licząc dwóch biegów organizowanych w USA i Kanadzie, miałem do wyboru: Dolomitenlauf w Austrii — 65 km, Marcialonga we Włoszech — 70 km, König Ludwig Lauf w RFN — 65 km, Transjurasienne we Francji — 76 km, Finlandia Hiihto w Finlandii — 75 km, Vasaloppet w Szwecji — 89 km, Engadin Skimarathon w Szwajcarii — 42 km oraz Birkebeiner — Rennet w Norwegii — 55 km. Miałem w czym wybierać. Imprezy te organizowane są prawie co tydzień w okresie od 22 stycznia do 18 marca. Mój wybór padł na biegi jakie miały odbyć się w Austrii i RFN — w terminach 22 stycznia 5 lutego.

Rozpocząłem przygotowania. Poza normalnym treningiem musiałem przecież uzyskać paszport no i pieniądze — jako że udział w tych zawodach odbywa się na własny koszt. Trwało to dość długo, ale poczynania moje zakończyły się powodzeniem. W połowie stycznia mogłem więc wsiąść w samochód i udać się do Austrii.

Bieg Dolomitenlauf organizowany jest w małym miasteczku Lienz w Tyrolu. Piękna sceneria. Ośnieżone góry, spokój... i ponad 4500 biegaczy. Podobnie jak w Finlandii ustawiono nas w wielkiej kolumnie. Znow te wspaniałe stroje, sprzęt najprzedniejszych marek — od samego patrzenia oczy bolały. Wreszcie ruszyliśmy. Czując się prawie jak weteran tego rodzaju imprez biegłem do przodu. Byłem przygotowany na dłuższy dystans więc mogłem trochę „poszarżować”. Na mecie byłem 742. Z rąk organizatorów za mój wyczyn otrzymałem srebrny medal (złote przyznawano do setnego miejsca, srebrne do 1000). Radość moja była więc ogromna.

Kilka dni odpoczynku. Część startujących wyjeżdża do Włoch, by wziąć udział w kolejnej imprezie. Ja jadę do Oberammergau w RFN, gdzie 5 lutego odbędzie się bieg König Ludwig Lauf. Dystans dość długi, bo liczący 65 km, startujących ponad 4600. Na mecie melduję się jako 917. Myślę — nie jest najgorzej.

Jednak nie zajęta lokata jest moją największą radością. Zaliczyłem trzy starty w biegach długodystansowych mam więc prawo do otrzymania paszportu Pucharu Świata. Spełniło się moje kolejne marzenie...

Jan Pasierbek

Alteration, addition or mutilation of entries is prohibited. Any unofficial change will render this passport invalid.

NAME GAJDA BOLESŁAW			
SEX MALE	BIRTHPLACE	CITY	COUNTRY
BIRTHDATE 20.04.1934	STATE		ISSUE DATE OF PASSPORT
PASSPORT NUMBER 300015		<i>Heinrich</i> König Ludwig Lauf West Germany <i>Jan Pasierbek</i> SIGNATURE OF BEARER	

RYTMY I KONTRASTY ZDK

Zakładowy Dom Kultury „Ziemowita” odwiedziłam w czasie ferii zimowych. Na dworze akurat mżył drobny deszczyk, wcale nie zachęcający do spacerów i zabaw na świeżym powietrzu. Nic więc dziwnego, że wewnątrz, mimo przedpołudniowej pory, panował wielki gwar i hałas. W hallu pełno dzieciarni. Ustawiony w kącie flipper dzwoni i błyska kolorowymi światełkami, oblegany przez chłopaków. Reszta młodego towarzystwa zabawia się po swojemu. Wszyscy oczekują na wpuszczenie do sali kinowej, gdzie za chwilę rozpocznie się poranek filmowy.

— Tak tu jest teraz codziennie — objaśnia pan Arkadiusz Banaś, kierownik placówki. Jedyne kino w okolicy, a dzieciakom nigdy tego dosyć, zwłaszcza jeśli mają wolne od nauki, a pogoda nie dopisuje.

Z przestronnego hallu, który łączy się oszkloną ścianą z nieco mniejszą salą przechodzimy na piętro, gdzie mieszczą się pokoje klubowe, sale prób zespołów i malarskie atelier. Wszędzie panuje tak wzorowy porządek i czystość, że zaczynam podejrzewać, niestety, iż pomieszczenia te są z rzadka używane. I okazuje się to po części prawdą. Ziemowicki dom kultury przeżywa w pewnym sensie taki sam kryzys, jak wszystko w kraju. Kiedy w 1968 roku otworzył swoje podwoje wydawało się, że lędziniacy będą tu walić drzwiami i oknami. I rzeczywiście, przez ładnych parę lat nie można było narzekać na brak zainteresowania placówką. — Jeśli zaoferujemy pewne dobra, których ludzie nie mogą sobie zapewnić sami — mówi zastępca szefa ZDK Krzysztof Bednarczyk — będą przychodzić do nas. Tak się dzieje, kiedy urządzamy imprezy tzw. zawodowe. Kiedy przyjeżdżają znane zespoły czy soliści, a gościmy ich u siebie dwa razy w miesiącu — frekwencja jest pewna. Wtedy i sama placówka zarabia.

Ale też nie wymaga to specjalnych zabiegów organizacyjnych. Natomiast kłopoty zaczynają się w momencie, kiedy trzeba zapewnić materiały, sprzęt itp. rzeczy dla działalności sekcyjnej, ba, nawet instruktora. Do roku 1980 działały tu 3 zespoły muzyczne, zespół recytatorski, modelarnia, Amatorski Klub Filmowy, była szkółka muzyczna, uczyło się języków obcych, robót ręcznych itd. Po AKF, który prezentował dobry poziom, pozostała ciemnia i sprzęt. Ludzie się rozeszli, bo nie mieli na czym robić tych swoich zdjęć i filmów. Z instruktora trzeba było zrezygnować. Ciemnię można by było uruchomić na powrót, np. jako swego rodzaju zakład usługowy dla mieszkańców, ale na przeszczodzie — jak twierdzi pan Bednarczyk — stoją przepisy. Co-

kolwiek dzieje się w domu kultury, musi mieć ramy organizacyjne przystające do wymogów kopalnianej księgowości, boć to przecież dom zakładowy. Podobnie ma się rzecz z tą salką przylegającą do hallu. Kiedyś była to kawiarenka, jedyna zresztą w Łędzinach. Zaplecze kuchenne pozostało do dziś. Wielu się marzy, aby znowu można tu było wpaść na kawę, czy umówić się ze znajomymi na sobotni dancing. Póki co pomieszczenie to służy li tylko jako sala narad i spotkań załogi, które w końcu odbywają się raz na jakiś czas.

Ale nie wszystko przecież w obecnej działalności ZDK wygląda smutno i bezbarwnie. Wystarczy zajrzeć za drzwi opatrzone wizytówką „Klub Plastyków Amatorów „Kontrast”. Zajęcia prowadzi tu pan Eryk Pudeńko, zapoznany artysta śląski. Pod jego fachowym okiem rozwijają swoje poczucie piękna i umiejętności plastyczne graficy, malarze i rzeźbiarze „niedzielnicy”. Ich prace, prezentowane na wielu wystawach i przeglądach zdobywają nagrody i wyróżnienia. Urzekają profesjonalistów, o czym świadczy chociażby fakt zakupienia przez muzeum w Zabrze dwóch obrazów Jerzego Smiłowskiego, w „cywilu” sztygara na „Ziemowicie”. W „Kontraście” maluje także pan Roman Polewka, jeden z ciekawszych śląskich „prymitywistów”.

Wypróbowaną specjalnością ziemowickiego domu kultury są też zespoły muzyczne, wokalne i estradowe. W latach 1969—82 przewinęło się przez nie ponad 2500 członków, w przeważającej części młodzież i dzieci. Mówiąc o tym, kierownik Banaś nie bez dumy wylicza poważniejsze imprezy, w których brali udział, i zdobyte przez nich laury. Bo czyż nie jest to sukces, że występowali w telewizji, kwalifikowali się na wojewódzkie eliminacje festiwalu piosenki polskiej, radzieckiej i żołnierskiej, zaprezentowali się w galowym koncercie ZZG, objechali trasę koncertową w ramach Przeglądu Aktywności kulturalnej Ludzi Pracy, a w 1982 r. zdobyli II miejsce na Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w Ustroniu. To ostatnie wyróżnienie wygrał i wyśpiewał zespół „Rytm”, prowadzony przez mgra Stefana Sajdoka. I tu ciekawostka — jego członkowie w większości wywodzą się z poprzednich zespołów ZDK, z czego można wnosić, że ma ta placówka szczęście do dobrych instruktorów muzycznych, a także uzdolnionej młodzieży.

Wizytę moją kończę w bibliotece. W niewielkim pomieszczeniu regały uginają się pod ciężarem przeszło 22 tysięcznego księgozbioru. Przeważa beletrystyka, ale są i wydawnictwa słownikowo-encyklopedyczne, o które teraz dość trudno na rynku księgarskim, a także prasa. Ponieważ nie ma już gdzie pomieścić nowych zakupów, te mocniej wyczytane pozycje ofiaruje biblioteka pacjentom tyskiego szpitala.

Sylwia Plucińska

W GÓRY I NAD WODĘ

Koło PTTK w kop. „Ziemowit” założone zostało w 1956 roku. Do inicjatorów ruchu turystycznego wśród załogi należeli: Henryk Zasada, Bolesław Staniewicz, Józef Rybski, Antoni Czauder-na, Michał Szandrowski, Willi Lysko. Po licznych reorganizacjach koło nasze liczy obecnie 260 członków — pracowników kopalni oraz ich rodziny.

Działając w obecnych warunkach staramy się wspomagać a nawet wyręczać służby pracownicze. Jesteśmy organizatorami imprez wycieczkowych i turystycznych oraz wypoczynku urlopowego o standardzie turystycznym, opartym o własną zaradność, samoobsługę i samowystarczalność.

Nasze imprezy dają uczestnikom dużo zadowolenia dzięki ich romantyzmowi i temu, że zbliżają człowieka do przyrody. Wypoczynek i rekreacja na łonie natury zapewniają przecież najpełniejszą regenerację organizmu po pracy, a także stanowią element profilaktyki przeciwko schorzeniom zawodowym.

Imprezy nasze uczą kultury wypoczynku, poszanowania dóbr przyrody i cywilizacji oraz pietyzmu dla zabytków.

Członkowie koła, w zależności od zainteresowań i wieku mogą sobie wybrać jedną z 5 sekcji: górską, narciarską, żeglarską, krajoznawczą, speleologiczną. Największym powodzeniem cieszą się pierwsze trzy.

Sekcja górską stanowi główny trzon turystyki kwalifikowanej. Corocznie kilkadziesiąt osób zdobywa odznakę GOT-u wszystkich stopni i rodzajów. Drużyny naszego koła biorą udział w rajdach, zlotach i zjazdach. Jesteśmy stałymi uczestnikami imprez ogólnopolskich górników, chemików, kolejarzy, jak również dorocznego Międzynarodowego Rajdu Przyjaźni im. W. Lenina w Tatrach. Największym sukcesem w naszej działalności było zorganizowanie w dniu 12. VI. 1983 r. I Górniczego Rajdu KWK „Ziemowit”, w Beskidzie Śląskim. Wzięło w nim udział 550 uczestników, w tym także z zaprzyjaźnionych kół PTTK. Kolejną tego typu imprezę zorganizowaliśmy w ubiegłym roku. Sekcja górską corocznie urządza także obozy wędrownicze, które odbyły się już w Pieninach, Beskidzie Sądeckim, Karkonoszach i Bieszczadach. Czynimy starania, by wędrować nowoottwartym szlakiem międzynarodowym Eisenach — Budapeszt. Sekcja górską posiada kwalifikowaną kadrę: 6 przewodników beskidzkich i 3 przewodników GOT.

Sekcja żeglarska, reaktywowana w 1980 r., rozwija swoją działalność na bazie ośrodków wodnych w Imielinie, Paprocanach i nad Jeziorem Nidzkim na Mazurach. Posiadamy własny sprzęt i jachty: Nash, Omega-Ostróda, Ikar, Figiel, Bez, Bratek i deski do windsurfingu. Organizujemy regaty z okazji rozpoczęcia i zakończenia sezonu, 22 lipca, O puchar komandora, O Błękitną Wstęgę Imielina oraz rejsy po jeziorach mazurskich. Sekcja żeglarska współpracuje z Klubem Żeglarskim Huty „Katowice” i Jacht-Klubem kop. „Bolesław Śmiały”. Corocznie dla pracowników naszej kopalni i członków ich rodzin organizowane są kursy na żeglarza i sternika. Kadre sekcji stanowią: 1 kapitan żeglugi bałtyckiej, 17 sterników jachtowych i 4 sterników z rozszerzonymi uprawnieniami.

Sekcja narciarska opiera swoją działalność głównie na wyjazdach sobotnio-niedzielnym na narty do takich miejscowości jak Szczyrk, Zwardoń, Rycerka, Korbielów. Dla początkujących i mniej zaawansowanych systematycznie organizujemy obozy narciarskie. Odbywają się one przeważnie w Zwardoniu, gdzie zawarliśmy współpracę z PTTK-owcami Huty „Ferrum” i Studenckim Schroniskiem Turystycznym „Skalanka”. W latach 1982—83 byliśmy inspiratorami i organizatorami Zimowej Spartakiady Zakładowej w slalomie narciarskim.

Nieco mniejszym powodzeniem cieszy się sekcja krajoznawcza, a to dlatego, że służby kopalniane organizują więcej tego typu imprez. My natomiast stanowimy jedynie ich uzupełnienie. W sekcji pracuje więc społecznie 30 organizatorów turystyki, którzy w miarę możliwości obsługują wycieczki z poszczególnych oddziałów kopalni. Staramy się zapoznać ich z tradycją i historią zwiedzanych regionów, ze szczególnym nawiązaniem do tradycji górniczych. Byliśmy organizatorami wycieczek do zabytkowych kopalń kruszców w Głuchołazach, Tarnowskich Górach, w Górach Świętozyskich i Wieliczce.

Najmłodszą sekcją, działającą od 1983 r. w naszym kole są speleologowie, kilkunastu zapaleńców poznawania naturalnych tworów geologicznych jak jaskinie, grotty, skałki itp.

Józef Loska

nasze

tradycje



RODOWODY SŁÓW

Historia górnictwa to także historia języka ojczystego. W Polsce, kraju o wiekowych tradycjach górniczych, kraju sławnych górników zachowały się bardzo stare terminy z fachowego języka. „Kopacz”, „chodnik”, „kruszec” — to słowa pomniki, które oparły się wszelkim historycznym burzom. Szkoda, że jest ich tak niewiele. Brak rodzimej literatury zawodowej, wpływy obcych, zwłaszcza niemieckich kolonistów i wędrownych fachowców sprzyjały zachwaszczaniu fachowego języka górniczego. Dopiero w XVIII wieku K. Kluk, J. Osiński, St. Staszic i inni dali początek oficjalnej polskiej terminologii górniczej. Sięgając do słownictwa profesjonalnego, zapożyczając z języków obcych, tworząc nowe wyrazy lub nadając już istniejącym słowom nowych znaczeń — budowali oni zręby nowoczesnego języka górniczego. Ich działalność w tym czasie nie była odosobniona. W okresie Oświecenia podobnie czyniło wielu światłych Polaków, choćby podać dla przykładu braci Śniadeckich, którzy stworzyli naukowy język fizyki, chemii i matematyki.

Zebraniem istniejącego słownictwa górniczego zajął się Hieronim Łąbęcki (1809—1862). Swą działalność na tym polu zapoczątkował wydaniem własnego podręcznika górnictwa, a zakończył przygotowaniem pierwszego słownika górniczego, który ukazał się w Warszawie w 1868 roku. Słownik ten był i jest jeszcze nadal nieocenionym zbiorem polskich wyrażen górniczych i świadectwem wysokiej kultury fachowego języka górników.

W roku 1871 wydany został we Lwowie drugi górniczy słownik H. Lichtensteina i S. Olszewskiego, a 13 lat później obszerny słowniczek załączony do pracy o prawie górniczym I. Dębickiego. Istotnym wydarzeniem było ukazanie się w 1913 roku nowego słownika górniczego opracowanego przez Feliksa Piestraka zawierającego w drugim wydaniu prawie 30 tysięcy wyrazów.

Prawie równocześnie, bo w 1912 roku z krakowskiej oficyny wydawniczej wychodzi polsko-niemiecki słownik techniczny braci Stadtmüllerów, zestawiający terminy z poszczególnych gałęzi techniki, także górniczej. Przy współpracy z Akademią Umiejętności w roku 1916 słownik ten wzbogacono do ponad 100 tysięcy wyrazów.

W Polsce Ludowej już w kwietniu 1945 powstała w Katowicach placówka technicznych wydawnictw górniczych, która roz-

poczęła pracę nad porządkowaniem słownictwa górniczego. Owocem tych starań było wydanie w 1949 Słownika Górniczego Stanisława Gismana. W roku 1955 tego samego autora ukazał się Ilustrowany Słownik Górniczy zawierający 9 tysięcy haseł i tyśiąc ilustracji.

Dziś u schyłku XX wieku nowoczesna technika, nowe technologie, nowe formy organizacji pracy, wszechstronny rozwój szkolnictwa górniczego sprawiły, że narodziło się wiele nowych terminów. Istnieje więc pilna potrzeba podjęcia wysiłków nad wydaniem nowego słownika górniczego.

Spśród wielu terminów zawartych w słownikach górniczych wybieramy dwa: *górnik* i *kopalnia*, aby na ich przykładzie prześledzić rozwój terminologii górniczej.

Nietrudno w tych przykładach nie dostrzec faktu, iż historię słów pisze przede wszystkim upływ czasu, wojny i związane z nimi układy polityczne oraz zmieniające się wraz z postępowaniem technicznym metody i warunki pracy górniczej.

GÓRNIK — nie jest najstarszym określeniem człowieka pracującego przy urabianiu. Najstarszym był — *kopacz*. W XIII wieku wraz z przybyciem fachowców niemieckich pojawia się nazwa *gwarek* (z niem. — członek związku zrzeszającego drobnych przedsiębiorców górniczych). W XVI wieku termin ten powoli zanika, a sto lat później jest już martwy. Na jego miejsce pojawia się i nabiera coraz większego znaczenia słowo — *górnik*. Słowo to urobiono od terminu „*góra*” czyli *kopalnia*, ale są również poglądy, iż jest to kalka niemieckiego wyrazu „*bergmann*”.

Oprócz tych określeń spotyka się w różnym czasie i w zależności od położenia kopalni i wpływów politycznych i inne określenia terminu *górnik*. Są to: **BUDARZ** (zapożyczenie z j. węgierskiego), **HAWIERZ** (zap. z j. czeskiego), **MINER** (zap. z j. francuskiego), **HAJER** (zap. z j. niemieckiego) **MONTANISTA**, **RĘBACZ** a także bardzo nieudane: *kopalnik*, *dołownik*.

Osobną grupę leksykalną stanowią określenia związane z wydobywaniem konkretnej kopaliny użytecznej. **Salnik** (solnik), **rudnik**, **skalnik** — to tylko niektóre przykłady z wielu.

KOPALNIA — pierwszym określeniem kopalni była „*góra*”, będąca zapożyczeniem z niemieckiego „*berg*”. W XVII wieku nazwa „*góra*” staje się już archaizmem. Pojawienie się w XVIII wieku terminu „*kopalnia*” staje się jak gdyby symbolem zapoczątkowania nowożytnych dziejów górnictwa i jego terminologii. Poza tymi nazwami posługiwano się jeszcze w różnych okresach

i miejscach innymi terminami, np. ŻUPA — oznaczenie kopalni soli w Wieliczce. Jest to pożyczka z języka niemieckiego od (Schoppe) — szopa, buda.

GRUBA — pojawiła się w XIX wieku, FODYNA — zapożyczenie z języka łacińskiego, SZYBA — dawne kopalnie były jednoszybowe; tam gdzie szyb — tam kopalnia, BANYA — pochodz. węgierskiego, MINA — pochodz. francuskiego, SZACHTA — pochodz. rosyjskiego.

I analogicznie wieloma terminami posługiwano się przy określaniu kopalń wydobywających daną kopalinę użyteczną: piaskownia, wapiennik, kamieniołom itd.

Słowa, którymi co dzień posługujemy się w naszej pracy mają więc swój rodowód. Pojawiły się na pewnym etapie historii górnictwa i z pewnością na jakimś etapie przyszłości zanikną zastąpione innymi, bardziej adekwatnymi.

Wśród wielu słów, których używamy sporo jest takich, które wyrosły z rodni ojczystego języka. I tym słowom winniśmy szacunek.

opr. *Alojzy Lysko*



MĄDROŚĆ DAWNEGO PRAWA

To prawda, iż wszelkie regulaminy najlepiej pisze samo życie. Nic więc dziwnego, że od czasów najdawniejszych a może już od chwili, kiedy narodził się zawód górniczy — pojawiły się pierwsze przepisy regulujące prawidłowy przebieg roboty górniczej: czas jej trwania, bezpieczeństwo, porządek, zapłatę za nią, przerwy w pracy, urlopy itp. Spośród wielu dawnych i znanych regulacji prawnych, szczególną uwagę zwraca „Ordunek Górny” wydany w 1528 roku przez księcia Jana Opolskiego dla gwarków bytomskich i tarnogórskich. Napisany w pięknej staropolszczyźnie, podsuwa w czasie czytania ciekawy materiał do refleksji. Refleksje są tym głębsze i tym mocniej poruszające, im bliżej jest się spraw górniczych dziś. Najcenniejszym owocem zadumy nad mądrością dawnego prawa górniczego jest wręcz kapitalna konkluzja, do której każdy czytający musi dojść: dzisiejsze regulaminy pracy w kopalniach winne być pisane nie tylko przez współczesne życie, ale i historię!

Jeśli obecnie poszukujemy skutecznych i sprawnie funkcjonujących instrumentów z zakresu prawa pracy, to nie wolno nam w tych poszukiwaniach ominąć obszarów przebogatego, wielowiekowego doświadczenia pokoleń z zakresu prawotwórstwa i prawodawstwa górniczego. Nieuwzględnianie tego niezmiernie istotnego postulatu prowadzi do przerywania ogniwa w łańcuchu tradycji i w poważnym stopniu utrudnia drogę prawa do świadomości załóg górniczych.

Z nieprzebranych zbiorów archiwum pszczyńskiego wybraliśmy „Porządek roboczy dla kopalni węgla kamiennego „Heinrichsfreude” w Łędzinach ważny od 15 listopada 1905 roku”, podpisany przez Szultego, zastępcę Generalnego Pełnomocnika Jego K.M. Księcia Pszczyńskiego.

Pragniemy, posługując się tylko niektórymi uregulowaniami przybliżyć ramy prawne, w jakich pracowali nasi pradziadowie. Warto zwrócić uwagę na jednoznaczność tego prawa, jego surowość, klasowość, wreszcie i to, że Niemcy — właściciele kopalń pszczyńskich — musieli pisać go w języku polskim. Jest to wprawdzie polszczyzna zanieczyszczona, lecz sam fakt posłużenia się nią jest przyznaniem się zaborcy do własnej bezradności w walce z polskością ludu górnośląskiego.

Ponadto warto zastanowić się — pomijając to, że pewne przepisy chronią kapitalistę — czy pomimo upływu 80 lat przepisy te zestarzały się już, czy też zachowały przynajmniej częściową aktualność. Jeśli to uczynimy, okaże się, że wiele z tych uregu-

lowań nie zestarzało się wcale. Są nadal żywe, jakby dzisiejsze. Gdyby jeszcze posłużyć się i niektórymi artykułami z „Ordunku Gornego”, też okazałyby się, że bez żadnej modyfikacji mogłyby być zastosowane i dziś. I nie może być inaczej. Bo górnictwo podziemne ma swoje prawa, które są niezależne od epoki, od układów politycznych, od techniki.

Dobrze jest znać te prawa i przestrzegać je.

„Porządek” zawiera następujące rozdziały:

- Rozporządzenie wstępne;
- Przyjmowanie robotników, wypowiedzianie, odbywanie i występowanie z robót;
- O tworzeniu szycht;
- O urlopach, chorobach i przygodach;
- O rachowaniu zarobków;
- Porządek robót;
- Wydział robotniczy i kasa pomocy dla robotników;
- O karach;
- Postanowienia ostateczne.

Ogółem 55 paragrafów ujmujących całościowo ówczesną problematykę górniczą. Nie można przytoczyć wszystkich, aczkolwiek są one niezwykle interesujące. Wybieramy tylko „Porządek robót” zachowując oryginalną pisownię dokumentu.



Pierwsza drużyna ratownicza w Łędzinach

„Paragraf 36. Żaden robotnik nie śmie przychodzić na grubę ani jej opuszczać innymi drogami jak przeznaczonemi do tego. Tak samo powinni przy wjeżdżaniu i wyjeżdżaniu poddawać się kontroli przez marki, albo przez wywołanie i zapis.

Paragraf 37. Wszyscy robotnicy dęgowi (akordowi) i płaceni od szychty powinni do roboty stawić się na minutę na początku czasu roboczego i bez pozwolenia nie śmieją przed upływem tego czasu opuścić roboty. Spanie na grubie, czy to pod ziemią, czy na wierzchu, jak najostrzej jest zakazane.

Paragraf 38. Kto do roboty przyjdzie za późno albo ją bez pozwolenia opuści za wcześnie, nie ma prawa żądać zatrudnienia w tej samej szychcie i powinien wynagrodzić koszta powstałe przez jego zastąpienie.

Paragraf 39. Żaden robotnik nie śmie bez pozwolenia przełożonego udawać się na inne miejsca jak te, które mu do pracy wyznaczone; tak samo nie wolno robotnikowi bez prawa na grubę, czy to na dole czy na wierzchu — wprowadzać ludzi cudzych albo ich tam cierpieć.

Paragraf 40. Zakazano jest na grubie pić gorzałkę przynosić ją tamże sam albo przez innych, pić gorzałkę podczas trwania szychty zewnątrz zakładów należących do kopalni.

Kto do pracy przyjdzie opity, albo go zastaną opitym przy robocie, traci prawo do zatrudnienia podczas tej szychty i powinien wynagrodzić koszta powstałe przez jego zastępstwo. Gorzałka znaleźiona u robotnika podczas szychty zostanie mu odebrana zniszczona.

Paragraf 41. Innych prac jak nadanych przez przełożonych nie śmieją robotnicy wykonywać; bez pozwolenia przełożonych nie wolno im przy robocie dać się zastępować przez innych albo innego zastępować.

Paragraf 42. Każdy robotnik stoi za naczynia mu oddane: gdyby je stracił, może być pociągnięty do wynagrodzenia.

Po skończeniu szychty każdy robotnik powinien naczynia używane wózki itd. dać na miejsce przeznaczone do ich przechowywania.

Paragraf 43. Wszyscy robotnicy powinni jak staranniej uważać na to, aby używane przez nich naczynia, maszyny, aparaty, narzędzia służące do transportu, do bezpieczeństwa drogi itd. były w dobrym stanie. O każdym uszkodzeniu, jeżeli go sami nie mogą albo nie śmieją naprawić powinni zaraz donieść najbliższemu przełożonemu.

Osobliwie robotnicy mają obowiązek obchodzić się jak najostrożniej z ogniem i światłem, przedewszystkim z urządzeniami służącymi do oświetlenia.

Oprócz osób do tego przeznaczonych nie wolno nikomu zatrudniać się przy maszynach, aparatach, osobiście przy lampach i drutach elektrycznych.

Paragraf 44. Place do roboty, izby cechowe i wychodki powinny być utrzymywane w czystości. Do odbywania potrzeb tylko wychodków używać wolno.

Paragraf 45. Wszystkim robotnikom nakazuje się jak najostrożniej żeby donosili natychmiast o każdym uszkodzeniu, przeniewierzeniu i złodziejstwie, czy chodzi o własność grubą czy też o wspólnego pracownika.

Paragraf 47. Przystąpienie tego porządku roboczego podpada ją pod karę. Jako kary będą używane: kary pieniężne, przesądzenie do innej klasy robotników, oddalenie na czas odbycia. (bez wypowiedzenia usunięcie natychmiastowe z pracy — dopisek R.B.).

Rafał Buk

O PRAWACH

- Gdy zbyt wiele praw, tam nie ma prawa.
- Kto bez prawa żyje, bez prawa ginie.
- Najgorsze prawo jest lepsze niż brak prawa.
- Próżne są prawa, gdy nie masz dobrych obyczajów.
- Tam prawo, gdzie siła.
- Podczas wojen milczą prawa.

MATKI

*Moja matka dowodziła
Że skarbem jest praca
Kto się leni, ten sam sobie
Własne szczęście skraca*
(Kazimiera Wiśniewska — poetka ludowa)

Jedną z piękniejszych górniczych tradycji, zapoczątkowanych już w Polsce Ludowej jest nadawanie odznaczeń państwowych matkom, które wychowały na górników swoich synów. Złotymi Krzyżami Zasługi dekoruje się te matki, których przynajmniej trzech synów pracuje pod ziemią. W kopalni „Ziemowit” wyróżnienie to spotkało już ponad 160 osób. O każdej z tych, które „wystrojały” swoich synków na szychtë, z niepokojem oczekiwały ich powrotu, bywały dumne, gdy wyróżniali się w robocie — można by napisać wiele ciepłych słów. Wszystkie zasłużyły sobie na szacunek i uznanie, chociaż nigdy o nie nie zabiegały. Ich bio-



Rodzina Łucji Żołneczko

grafie prawie się od siebie nie różnią. Poza domową krzątanią, karmieniem, opieraniem i wpajaniem dzieciom tego, co dobre, a często jeszcze i własną pracą zarobkową świata nie widziały...

Maria Chowaniec — matka dwóch córek i sześciu synów, z których wszyscy obrali sobie zawód górnik. Bogdan i Krzysztof pracują w kop. „Lenin”, Jan na „Piaście”, a Tadeusz, Grzegorz i Andrzej na „Ziemowicie”.

Dla utrzymania licznej rodziny oboje z mężem pracowali zawodowo. On w „Transgórze” w Mysłowicach-Brzezince, ona najpierw jako sprzątaczką w imielińskiej szkole, a obecnie w gastronomii. Jak mogli, tak oszczędzali, aby postawić własny dom. Potem, dzieci rozbudowały go już za zarobione przez siebie pieniądze. Teraz, kiedy „przy mamie” pozostali tylko Bogdan i Krzysztof, pani Marii jest łatwiej i w zasadzie niczego więcej nie pragnie, byle w zdrowiu dożyć spokojnej starości.

Janina Stolecka. Ma dziś już 72 lata. Wszystkie dzieci, a żyje ich dziewięcioro, są na swoim. Córki powydawały się za mąż, synowie się poženili. Mówiąc o nich, nie bez dumy zaznacza, że Paweł, Roman, Emanuel, Sylwester i Franciszek dobrze się sprawują jako górnicy dołowi na „Ziemowicie” i „Piaście”. Józef — imiennik ojca, hutnika — skończył Akademię Górniczo-Hutniczą i jako geolog pracuje w tejże uczelni.

Jej samej życie nie słało się po różach. Przed wojną mąż przez sześć lat był na bezrobociu. Sama wtedy chodziła na zarobek do lasu, aby jakoś koniec z końcem związać. Wieczorami siadywała jeszcze przy maszynie do szycia, żeby swoją czelodkę obsprawić. Dorobili się skromnego domku i niewielkiego przychówku, kozy, kilku kur i gęsi. Nigdy nie opuszcza jej pogoda ducha i uśmiech, bo jakże matka ma się nie cieszyć, kiedy tyle dzieci wychowała na dobrych i uczciwych ludzi.

Łucja Żołneczko też miała ciężkie życie. Kiedy się pobrali z mężem nie mieli nic swojego, jak to komornicy. Ale najgorsze czasy przyszły, gdy mąż poszedł na wojnę i została sama z gromadą dzieci. Starsze musiała porozysłać na służbę, aby jakoś żywić najmłodsze. Wynajmowała się do roboty w polu za koszyk ziemniaków, za trochę mąki. Gdy i tego brakowało, po żniwach zbierała kłosa po ścierniskach. Dzieci urodziła dwanaścioro. Z siedmiu synów górnikami zostało 4: Jan, Czesław, Roman i Grzegorz. Wszyscy pracują na „Ziemowicie”. Dziś pani Łucja piastuje wnuki, uprawia ogródek przy fińskim domku w Hołdunowie, który w 1948 roku kopalnia „Piaś” przydzieliła mężowi. O trudnej przeszłości mówi niechętnie.

Marta Latocha jest matką trzech córek i pięciu synów. Henryk był słynnym piłkarzem w Górniku Zabrze. Pozostali — Jan, Jó-

zef, Roman i Alojzy poszli w ślady ojca, który długie lata pracował na kopalni „Ziemowit”.

Jak wiele jej podobnych śląskich kobiet przez życie szła z uporem i konsekwencją. Kiedy trzeba było zbudować dom, zakasywała rękawy i brała się do kruszenia kamieni, wypalania cegieł itp. Pracowała u bogatych gospodarzy, a każdy zarobiony grosz odkładała. Jej wysiłek nie poszedł na marne, a nadzieje pokładane w latoroślach spełniły się. To jest dla niej najlepsza zapłata i powód do radości.

Zebrał: *Rafał Bula*

WSZĘDZIE DOBRZE, ALE...

- ... najlepiej w domu.
- Błogo temu, kto dom swój ma.
- W doma jak chcesz, u ludzi jak przystoi.
- Komu w domu dobrze, niech się po świecie nie włóczy
- Gdy się dom pięknie świeci, tam każdy ptak nad nim leci.
- Kto się z domu ruszy, temu się z kieszeni kruszy.
- W swoim domu i kąty pomagają



ODWIEDZINY, WIZYTY...

Od momentu rozruchu w 1952 r. kopalnia „Ziemowit” budzi żywe zainteresowanie zagranicznych gości: polityków, menagerów i dziennikarzy. Najpierw w latach 50-tych, jako jedna z dwóch pierwszych kopalń węgla kamiennego wybudowanych po wojnie wyłącznie siłami polskiego górnika i inżyniera, a teraz jako unikalny w górnictwie europejskim przykład realizacji modelu zakładu wydobywczego o wysokiej koncentracji i ogromnym wydobywaniu dobowym.

Jeszcze przed uruchomieniem, w grudniu 1949 r. budowę wizytował prezydent Bolesław Bierut i krótko, lapidarnie wpisał do księgi pamiątkowej: „Pozdrawiamy serdecznie załogę budującej się kopalni, życząc pomyślnego wykonania planów pracy”. Był to okres trzyletniego planu odbudowy kraju, wyścigu pracy i ambitnych zamierzeń. Świat to przyjmował z niedowierzaniem, ale praca górników budziła podziw, a uznanie dla załogi i jej dokonań w trudnych powojennych latach przewija się przez karty księgi. Delegacja chińskich literatów w 1958 r. pisze „...zobaczyliśmy tutaj taką aktywność i tempo pracy, jakie mają tylko górnicy...” Jeszcze raz w 1960 r. odwiedzają „Ziemowit” dziennikarze chińscy z „Zeminżipao” i agencji „Sing-Hua”, w 1964 r. ponownie literaci, po czym następuje przerwa w kontaktach do 1982 roku.

Tę fascynację pracą dla odbudowy i rozwoju kraju podzielali także Polacy na obczyźnie. Uczestniczący w delegacji przemysłowej Syndykatu Węglowego Brazylii Morstafa Aleksandrowicz, Dyrektor MESBLA, wpisał w maju 1961 r. do księgi: „po 22 latach nieobecności w Polsce pragnę wyrazić prawdziwy podziw dla wysiłku górnictwa polskiego i osiągniętych rezultatów”. A przecież „Ziemowit” wydobywał wtedy 6.500 ton na dobę, co równało się pierwotnie projektowanej zdolności produkcyjnej i dopiero sposobił się do startu w wyścigu o światowy prymat wielkości wydobywania.

Kartę brazylijską wypełniają jeszcze dwie wizyty: w marcu 1962 r. — Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Brazylii, Gioconda Diaz i w kwietniu 1980 r. — Ministra Górnictwa, Cesara Calas, który otrzymał sztygarskie insygnia i honorowy tytuł górnika kopalni „Ziemowit”, kopalni o najwyższym już wydobywaniu wśród znanych światowych producentów węgla.

Te pierwsze wizyty były zapewne kurtuazyjne, ta — ostatnia — miała już konkretne cele gospodarcze dla Brazylijczyków. I tak podziw dla pracowitości i determinacji górników polskich, którzy



Delegacja Indii w kopalni „Ziemowit”

sami zabrali się do budowy kopalń ustąpił po wielu latach profesjonalnemu zainteresowaniu ich technicznym dorobkiem i poszukiwaniom możliwości współpracy.

Specjalne miejsce zajmują wizyty delegacji rządowych. Kopalnia „Ziemowit” gościła delegacje: Bangladeszu w 1960 r. pod ... przewodnictwem premiera A.B. Güha, Zachodniego Bengal... z premierem dr B.C. Roy w 1961 r., Ghany w 1962 roku i Republiki Federalnej Niemiec z kanclerzem Helmutem Schmidt w 1977 r. Wizyty takie mają swoją oprawę i dokładnie, drobiazgowo wręcz opracowany program. Panom prezentuje się kopalnię i na jej tle możliwości polskiego górnictwa oraz przemysłu maszyn górniczych, a panie w tym czasie zapoznają się z warunkami socjalnymi, a więc leczeniem, rehabilitacją zawodową, szkolnictwem, bazą wypoczynkową.

Byli na „Ziemowicie” również ambasadorzy i ministrowie górnictwa m.in. ze Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kolumbii, Jugosławii, a także delegacje handlowe i przemysłowe z różnych stron świata: Australii i Kanady, Bułgarii, Rumunii i Włoch, Japonii, Chin i Korei, Turcji, Holandii, Czechosłowacji, NRD, Francji, Indonezji, Austrii, Belgii i innych. Te wizyty miały określony cel gospodarczy. Handlowców interesował import węgla, jego jakość oraz nasze możliwości eks-

portowe. Przemysłowców natomiast nasze doświadczenia w technice wybierania, mechanizacja, polskie maszyny górnicze oraz możliwości współpracy produkcyjnej, metody kierowania i zarządzania ogromną kopalnią nie mającą nigdzie odpowiednika.

Liczną grupę wśród zagranicznych gości kopalni stanowią dziennikarze. Dla większości z nich górnictwo jest krainą nieznaną, nie śledzą więc stereotypów lecz poddają się wrażeniom i szukają egzotyki kierując się często względami komercyjnymi. Oto jeden z reporterów amerykańskich, przebywający w naszym kraju na własny koszt spędził wiele czasu w łaźni fotografując, pod baldachimem roboczych ubrań całą galerię górników, utrudzonych brudnych i tych umytych z ręcznikiem na biodrach i wreszcie tych już ubranych rozluźnionych i uśmiechniętych, kończących toaletę w kawałku lusterka. Liczył, że ciekawe zdjęcie kupione przez jego agencję zwróci mu koszty wyjazdu do Polski, no i podtrzyma a może i umocni pozycję na rynku.

Jedni śledzą i notują wszystko, kształt ich reportażu powstanie z sumy wrażeń, inni mają przygotowaną koncepcję i szukają materiału do jej wypełnienia. Jeden z takich, tuż po przywitaniu i otwarciu notesu zaczął rozmowę z naczelnym inżynierem od pytania: „ile już w tym roku mieliście wypadków śmiertelnych?” Dopiero potem była długa rozmowa o zagrożeniach, o technice i o ludziach. Czy dał się przekonać, że o życiu górnika decyduje przede wszystkim on sam, a coraż mniej natura?

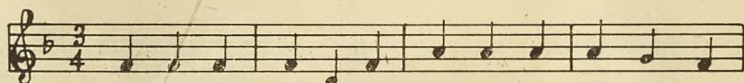
Ciekawe jest porównanie odbioru kopalni przez polskich i zagranicznych dziennikarzy. Nasi eksponują przede wszystkim technikę, maszyny, wyniki i liczby, a na ich tle górnika. Tamtych technika nie fascynuje, pokazują zmaganie człowieka z naturą i techniką.

Japoński operator z ekipy telewizyjnej filmując w 1977 roku na kopalni „Ziemowit”, wchodził nieomal na kombajn, aby pokazać pot i wysiłek na twarzy kombajnisty, jemu maszyna nie imponowała. A dalej były zdjęcia tej samej twarzy w łaźni i po pracy w domu wśród rodziny i sąsiadów, przy królikach w ogródku, na niedzielnej wycieczce z dziećmi i na próbie orkiestry górniczej. Zwykle codzienne życie.

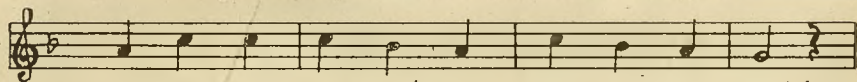
W ciągu 32 lat było na kopalni „Ziemowit” wiele delegacji, wizyt i odwiedzin ludzi z całego świata. Jednych interesowała nowoczesność, innych wielkość i rozmach, jeszcze innych organizacja i zarządzanie, ale wszyscy pozostawiali tu szacunek i uznanie dla codziennego górniczego trudu załogi.

Tadeusz Niechciał

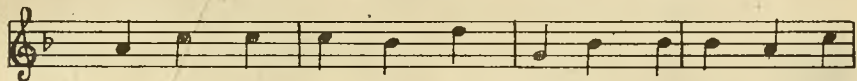
Jakech był młodzieńcem



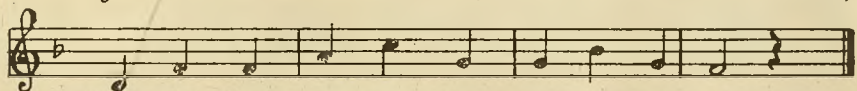
Ja - kech był mło-dzien-cem, Cho-dzi - tech pod wień-cem,



Cho-dzi - tech pod wień-cem Pod zie - lo - nym!



Ja - kech sie o - że - nił, Wio-nek mi sie zmie-nił,



Cho - dzi - tech w cop-cys-ku o - kla - pio - nym.

Jakech był młodzieńcem,
Chodził pod wieńcem,
Chodził pod wieńcem,
Pod zielonym!

Jakech się ożenił
Wionek mi się zmienił —
Chodził w copcysku oklapionym!

Jakech szoł bez rynek
Siołech maryjonek
Jakech szoł bez pole
Siołech owies!

Owies się zieleni,
Kochanka się mieni —
Powiedz mi, kochanko, co tobie jest?

Nie trza mi się żenić,
Nie trza mi się mienić,
Lepiej mi młodzieńcem
Będzie ostać!

Dziółchy mie kochają,
Gębulki mi dają,
Kierom ino zechce, mogę dostać!



Wele drogi oset

We-le dro-gi o - set, we-le dro-gi o - set
to ko - lą - ce zie - le, Są tu z na - mi
szwarni chłopczy, A - le ich nie wie - le.

Wele drogi oset
To kolące ziele
Są tu z nami szwarni chłopcy
Ale ich nie wiele.

Nie są tacy szwarni,
Jak się wydowają —
Są niezguły i gramuły,
Krzywe nogi mają.

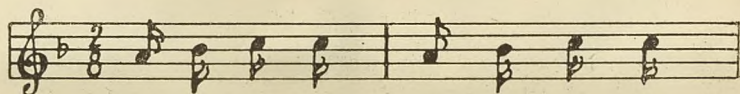
Krzywe nogi mają,
Szeroko stąpają —
A jeszcze się po szykownych
Dziotkach oglądają!

Zawdy na muzyce
To się przechwolają,
A jak przyjdzie do roboty —
To żadnej nie znają!

Wele drogi oset
To kolące ziele,
Są tu z nami szwarni chłopcy,
Ale ich nie wiele!



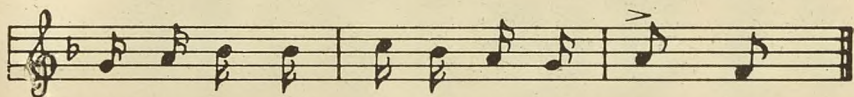
W Mikołowie na jarmarku



W Mi-ko-to-wie na jar-mar-ku



Ku-pi-li-my ko-za, Co me-cza-ła



i sko-ka-ła A mle-ka nie da-ła.

W Mikołowie na jarmarku
Kupili my koza,
Co meczała i skokała
A mleka nie dała!

Powiedzieli mi mamulka:
Synku dej jej siana,
Bo ta koza niezdarzona
Meczy już od rana!

Powiedzieli mamulicze,
Żeby ją zabili,
Bo to diobół jest z rogami —
Dość my się gorszyli!

A mamulka powiedzieli:
Synku, czekej roczek —
Bo to może taki podciep
Kozioł nieboroczek!



Wy Bojszowski dziyweczki

Wy Boj-szo-wski dziy-wecz-ki, Wy Boj-szo-wski dziy-wecz-ki,
dziy-wecz-ki, Kaj Wy mo-cie wio-ne-czki, kaj Wy mo-cie wio-ne-czki.

The image shows a musical score for the song 'Wy Bojszowski dziyweczki'. It consists of two staves of music in G major (one sharp) and 4/4 time. The melody is simple and folk-like, with a mix of quarter and eighth notes. The lyrics are written below the notes, with hyphens indicating syllable placement. The first line of music corresponds to the first line of lyrics, and the second line of music corresponds to the second line of lyrics.

Wy Bojszowski dziyweczki,
Wy Bojszowski dziyweczki,
Kaj wy mocie wioneczki,
Kaj wy mocie wioneczki?

My ich mamy schowane,
My ich mamy schowane, schowane,
U mamusi w komorze,
U mamusi w komorze.

Co by jeden kosztował,
Co by jeden kosztował, kosztował?
Jak by jo go kupić chcioł,
Jak by jo go kupić chcioł!

Trzy tysiące mój drogi,
Trzy tysiące mój drogi, mój drogi,
Jak jest rynek ubogi,
Jak jest rynek ubogi.

A jak rynek bogaty,
A jak rynek bogaty, bogaty,
Musi płać dukaty,
Musi płać dukaty.



2 KART

historii



POCZĄTKI GÓRNICICTWA W ŁĘDZINACH



roku 1984 minęło 140 lat od chwili uruchomienia kopalni na terenie Łędzin. Wiosną 1842 roku, w wyniku robót poszukiwawczych prowadzonych na terenach pomiędzy Łędzinami i Hołdunowem, książe pszczyński został powiadomiony, że „na polach wykopano węgiel”. Książe polecił przeprowadzić na tym obszarze dalsze badania, aby określić dokładnie wa-

runki zalegania złoża: grubości i nachylenia pokładu oraz podać propozycje ewentualnych możliwości eksploatacji kopaliny.

Komisja powołana w tym celu pismem z dnia 31 maja 1843 r., po zapoznaniu się z sytuacją na miejscu stwierdziła, iż z powodu dużych kosztów, roboty należy zatrzymać. Wydobyty węgiel użyto na opał oraz do wypalania wapna. Mimo kosztów oraz trudności związanych z udostępnieniem pokładu, robót jednak nie zaniechano. Kontynuowano je w rejonie wzniesienia łędzińskiego (rejon dzisiejszych szybów „Piast”) — gdzie spodziewano się mniejszych dopływów wody. W dniu 15 stycznia 1844 roku zgłębiono tam szyb badawczy (rejon szybu „Piast I”) o przekroju $1 \times \frac{4}{8}$ sążnia (sążeń — staropolska miara długości określona zasięgiem ramion człowieka. 1 sążeń = 1,718 m). Dopływ wody był jednak tak duży, że jednym kołowrotem nie można jej było wyciągnąć na powierzchnię. Wstrzymano więc prace i przystąpiono do wykonania dalszych otworów badawczych, których w sumie wykonano 15. Na podstawie informacji uzyskanych z tych otworów ustalono najpłytsze zalegania pokładu 207, oraz dopływ wody. Okazało się też, że najodpowiedniejszym miejscem do wykonania szybu wydobywczego będzie otwór nr 8 (szyb „Matylda”). Głębokość zalegania pokładu w tym miejscu wynosi $6\frac{1}{2}$ sążnia, czyli około 12 m a grubość $1\frac{7}{8}$ sążnia (3,2 m).

Po rozeznaniu złoża postanowiono uruchomić kopalnię, zakładając że:

— będzie to kopalnia położona najbliżej szlaku wodnego Przem-szy.

— będzie wysunięta najbardziej na południe ze wszystkich kopalń pszczyńskich.

— będzie możliwy zbyt węgla za granicę do Austrii.

— ze względu na tak dogodne położenie, zysk z 1 tony węgla może tu być większy niż w pozostałych kopalniach pszczyńskich.

W dniu 11 kwietnia ostatecznie zgłębiono szyb i rozpoczęto roboty udostępniające. Przeprowadzono też szereg wyrobisk przygotowawczych: chodniki po rozciągłości i pochylnie po wzniosie pokładu. W 1844 roku uzyskano 32 tony kęsów, 80 ton kostki i 60 ton mialu. 3 lipca tego roku, a więc 140 lat temu, powiadomiono Urząd Górniczy w Tarnowskich Górach o uruchomieniu nowej kopalni, która położona jest przy szosie Mysłowice—Pszczyna, bliżej osiedla Hołdunów—Łędziny. Kopalni nadano imię „Radość Henryka”, ale początkowo nazywano ją „kopalnią łędzińską”.

29 września 1845 roku kopalnię postanowiono unieruchomić ze względu na brak zbytu na węgiel i zły stan dróg dojazdowych do Łędzin. Ponowne jej uruchomienie nastąpiło dopiero w 1893 r.

Na podstawie materiałów archiwalnych opracował:

Rafał Bula



XIX w. chata chłopska w Łędzinach-Gaci

Jak mierzono sto lat temu

ŁATRY I CENTARY



wjemy dziś w kręgu przeróżnych miar: metrów, ton, godzin itp. Mierzeniu podlega nasza górnicza robota, gdy rozlicza się nas z wydobytych ton, z wydrążonych chodników, mierzeniu podlega kupowany przez nas towar. Mierzy się nasze zarobki, nasze wydatki, nasze oszczędności — wszystko poddane jest często skomplikowanym operacjom mierzenia.

Byłoby rzeczą nader ciekawą poznać, w kręgu jakich miar żyli i pracowali górnicy na Górnym Śląsku np. w połowie XIX wieku. Otóż na pewno nie mierzono przy pomocy znanych nam dziś jednostek. Ówczesne miary były zupełnie inne. Nazwy ich brzmią dziś niemal egzotycznie. Sto lat temu nasi pradziadowie egzotyki tej jednak wcale nie odczuwali.

A więc jak mierzono?

- Długość przekopów, szerokość chodników, głębokość szybów, szerokość pól górniczych itp. podawano w łatrach:

$$1 \text{ łatr} = 80 \text{ cali} = 2.0924 \text{ m}$$

$$1 \text{ cal} = 0.0261 \text{ m}$$

$$1 \text{ stopa} = 12 \text{ cali} = 0.3138 \text{ m}$$

Dla przykładu szyb „Henryk” w istniejącej od 1790 roku kopalni „Karol” w Brzezince miał głębokość 35 i $\frac{3}{4}$ łatra, czyli około 75 m.

- Powierzchnię pól górniczych, powierzchnię nadań podawano w łatrach kwadratowych lub w morgach pruskich. I tak:

$$1 \text{ łatr kwadratowy} = 4.368 \text{ m kw.}$$

$$1 \text{ morga pruska} = 2553.234 \text{ m kw.}$$

$$1 \text{ hektar} = 10\,000 \text{ m kw.} = 3.9166 \text{ morgi} = 228 \text{ łatrów kwadratowych.}$$

- Miarami masy wydobywanej kopaliny był:

$$1 \text{ cetnar} = 100 \text{ funtów} = 50 \text{ kg}$$

$$1 \text{ funt} = 32 \text{ łuty} = 500 \text{ gramów}$$

$$1 \text{ łut} = 15,63 \text{ grama}$$

$$1 \text{ tona} = 1000 \text{ kg} = 20 \text{ cetnarów.}$$

Węgiel do 1860 roku jednak mierzono według miary objętości, jaką była beczka o pojemności $7\frac{1}{2}$ stopy sześcienniej = 0,2322 m sześc. = 232,2 litrów.

Do beczki ładowano jedynie węgiel gruby. Miał uważany być za bezużyteczny i nie był wydobywany spod ziemi. W 1859 roku w kopalni „Kraków” istniejącej także w Brzezince norma górnikowska wynosiła 7 beczek, tj. około 1,4 tony na dniówkę.

● Przy wszelkiego rodzaju rozliczeniach posługiwano się następującą walutą:

1 talar = 30 srebrnych groszy

1 grosz srebrny = 12 fenigów

1 talar = 360 fenigów

1 talar uważano wtedy na równowartość około 0,7 dolara lub 3 marek w złocie.

Koszt robocizny we wspomnianej kopalni „Kraków” przy urabianiu wynosił 1,67 srebrnych groszy od beczki węgla grubego (kostka, a drobny „za darmo), przy transporcie zaś 2,08 srebrnych groszy od beczki. Znając wydajność przy urabianiu, można obliczyć jednodniowy zarobek górnika. Wynosił on 11,69 srebrnych groszy. Warto dodać, że hr. Larisch właściciel kopalni „Kraków” za sprzedaż jednej beczki węgla grubego uzyskiwał 8,5—10 groszy, czyli średni zysk z jednej beczki wynosił około 6,5 groszy. Porównując zarobek ówczesnego górnika z zyskiem właściciela nie trudno nie dostrzec niesprawiedliwych stosunków. Łatwo też zrozumieć, skąd nagle wzięły się te olbrzymie fortuny dorobkiewiczów zjeżdżających się na Górny Śląsk z pół świata. Łatwo zrozumieć też, że kiesę tych pasibrzuchów napełniał wyzyskiwany robotnik śląski.

Jak więc mierzono? Przede wszystkim mierzono niesprawiedliwie.

Alojzy Lysko



głębiu Węglowym, zbytu węgla z kopalń był ograniczony do obszaru znajdującego się w zasięgu przewozu konnego.

Spław węgla wodą na galarach miał niewielkie znaczenie i tylko dla kopalń położonych bezpośrednio w pobliżu Przemszy, Wisły i Kłodnicy. Rzeki te były nieuregulowane, więc węgiel płynął najdalej do Krakowa, rzadziej do Warszawy, sporadycznie do Gdańska.

Dopiero budowa kolei żelaznych wywołała poważne zmiany na rynkach zbytu górnośląskiego węgla.

Koleje żelazne — jak przedstawia to mapka — budowano dla Górnośląskiego Zagłębia Węglowego z 4 kierunków:

— z Berlina przez Wrocław	— od 1845 roku
— z Warszawy przez Ząbkowice	— 1840 r.
— z Krakowa przez Szczakowę	— 1844 r.
— z Wiednia przez Bogumin	— 1847 r.

Z upływem lat wraz z budową nowych kopalń sieć żelaznych dróg stopniowo zagęszczała się. Dziś stanowi swoistą pajęczynę — pozornie nieuporządkowaną, bez ładu. Ale kolejarze dobrze wiedzą jak się po niej poruszać, aby wywieźć z GOP codziennie ponad pół miliona ton węgla.

CZY WIESZ, ŻE

- Człowiek przechodzi w ciągu godziny tyle kilometrów, ile kroków robi w ciągu 3 sekund (przy długości kroku 0.8 m)
- Długość kroku zwykle równa się połowie wzrostu człowieka, mierząc od poziomu oczu.
- Odległość między końcami palców rozłożonych poziomo rąk człowieka zwykle równa się jego wzrostowi.

KRÓTKA HISTORIA GÓRNICZYCH WYNAŁAZKÓW

Od „żelaznego człowieka” do kombajnu

1741 — Szkot, Michał Menzies skonstruował pierwszą maszynę do urabiania węgla wyposażoną w kilof, który uderzając wahadłowo w caliznę imitował pracę górnika.

1768 — wynalezienie „żelaznego człowieka Williama Browna” — wrębiarki poruszanej ręcznie za pomocą dźwigni.

1843 — opatentowano wrębiarkę do węgla, działającą na zasadzie piły tarczowej poziomej.

1849 — pojawiła się poruszana ręcznie piła do wycinania pionowych wrębów, wynaleziona przez K. Eickkoffa z Westfalii.

1849 — Amerykanin Coach skonstruował pierwszą wiertarkę do skał o napędzie parowym.

1857 — francuski konstruktor Sommeiller zbudował wiertarkę o napędzie pneumatycznym.

1867 — Francuz De la Roche wynalazł wiertarkę obrotową.

1877 — Amerykanin Lechner zbudował nowy typ wrębiarki — wrębiarkę żerdziową.

1879 — fabrykant niemiecki Siemens skonstruował wiertarkę elektryczną.

1880 — W Anglii zbudowano pierwszy kombajn węglowy o napędzie powietrznym (podcięty węgiel ładowany był za pomocą głowicy).

1893 — w Stanach Zjednoczonych skonstruowano ulepszony typ wrębiarki łańcuchowej. W 1919 pracowało ich w kopalniach amerykańskich już 13 tysięcy.

1897 — w Stanach Zjednoczonych Leyner zbudował pierwszy młotek pneumatyczny.

1903 — w kopalni „Rozbark” po raz pierwszy do urabiania węgla zastosowano strumień wody pod ciśnieniem.

1912—29 — USA. Opatentowano kilka typów kombajnów węglowych: „pług węglowy” Brachetta, kombajn wierząco-wycinający Mac Kilneya, kombajn wycinający Morgana.

1930 — firma niemiecka Krupp wyprodukowała pierwsze ostrza z wkładką z węglików spiekanych — „widia” („wie Diamant” — „jak diament”).

1930 — pierwsze próby zgazowania węgla w ZSRR.

1931 — w Wielkiej Brytanii wyprodukowano wręboładowarki.

1948 — w Związku Radzieckim został skonstruowany kombajn wycinający typu „Donbass”.

1952 — wynalezienie i zastosowanie w Anglii płytkozabiorowego kombajnu frezującego typu „Anderton”.

1954 — w górnictwie brytyjskim przeprowadzono pierwsze udane próby z hydrauliczną obudową zmechanizowaną. Narodziły się zmechanizowanych kompleksów ścianowych.

Od szyny do przenośnika pancernego

XVI wiek — w kopalniach rud w górach Harzu stosowano drewniane szyny, po których poruszały się dwukołowe wozy, zwane „psami niemieckimi”.

XVIII wiek — wprowadzając ulepszenia zaczęto stosować drewniane szyny okute żelaznym płaskownikiem, a później szyny z żelaza lanego.

1711 — w angielskich kopalniach użyto szyn płaskich i kół zaopatrzonych w obrzeża.

1765 — w Clausthal zastosowano po raz pierwszy szyny żelazne wypukłe.

1766 — w kopalni „Vorsley” koło Manchesteru do podziemnego transportu urobku użyto łożdzie. Chyba jednak wcześniej robili to gwarkowie olkucy i tarnogórcy.

1802 — po raz pierwszy w kopalniach polskich posłużono się końmi, w 1891 roku pracowało ich w podziemiach ponad 2 tysiące.

1850 — próby stosowania pod ziemią kołowrotów o napędzie parowym.

1861 — rosyjski inż. A. Łopatin otrzymał patent na przenośnik taśmowy z mechanicznym napędem.

1862 — w jednej z niemieckich kopalń uruchomiono przewóz liną bez końca.

1866 — amerykańska firma „Porter Company” zaczęła budować lokomotywy parowe dla kopalń węgla.

1875 — we Francji wyprodukowane zostały pierwsze lokomotywy pneumatyczne, zastosowane przy budowie tunelu św. Gotarda pod Alpami.

1882 — w jednej z saksońskich kopalń węgla zastosowano pierwszą przewodową lokomotywę elektryczną, rok później w kop. „Szombierki”.

1893 — w Belgii skonstruowano podziemną lokomotywę akumulatorową.

1902 — Anglik Blackett zbudował przenośnik zgrzeblowy.

1906 — w kopalni „Radzionków” podziemną koleją zaczęto dowozić górników do przodków.

1906 — Anglik Sutcliff wynalazł gumowy przenośnik taśmowy, prototyp współczesnego.

1907 — polski inżynier Roman Rieger zastosował w kopalni „Ludwik” (Zagłębie Karwińskie) własnej konstrukcji przenośnik wstrząsany.

1909 — w podziemiach kop. „Brzeszcze” zaczęła kursować lokomotywa spalinowa.

1940 — pojawiły się przenośniki zgrzeblowe pancerne, stanowiące jednocześnie trasę dla maszyn urabiających.

Od kieratu do skipu

1505 — w kopalniach do wydobywania urobku zastosowano po raz pierwszy kierat konny. Liny aloesowe i konopne są w powszechnym użyciu.

1780 — w szybach pojawiają się drewniane prowadniki, zapobiegające huśtaniu się naczyń z urobkiem.

1784 — w kopalni węgla w Newcastle po raz pierwszy do napędu urządzeń wyciągowych zastosowano maszynę parową Jamesa Watta.

1820 — pierwsze próby użycia silników parowych do maszyn wyciągowych w szybach.

1827 — w kopalni „Franz-August” koło Clausthal w szybie o głębokości 140 m po raz pierwszy pod dnem naczynia wyciągowego zawieszono linę wyrównawczą.

1830 — w Anglii zaczęto stosować klatki piętrowe.

1834 — radca górniczy Albert z Clausthal wynalazł stalową linę splecioną z drutów nawiniętych na konopną „duszę”.

1865 — w kopalni „Sars-Longchamps” w Belgii uruchomiono pierwszą maszynę wyciągową napędzaną powietrzem sprężonym.

1870 — głębokość szybów przekroczyła 100 m, w związku z tym zezwolono na zjazd i wyjazd górników w klatkach (dotychczas posługiwano się przeważnie drabinami).

1877 — w Polsce konstruuje się pierwsze wieże wyciągowe ze stali.

1879 — dyrektor kopalni „Hannover” Koepe opatentował urządzenie zastępujące bęben linowy tarczą kilkumetrowej średnicy.

1891 — pierwsze próby zastosowania prądu do poruszania maszyn wyciągowych zakończone niepowodzeniem.

1900 — w kopalniach górnośląskich pracują już klatki cztero- i piętrowe.

1901 — kopalnia „Concordia” w Zabrze uruchamia pierwszą elektryczną maszynę wyciągową z przetwornicą Leonarda służącą do przetwarzania prądu zmiennego na stały.

1910 — w Stanach Zjednoczonych pojawiły się skipy, które znacznie zwiększyły zdolność wyciągową szybu.

1947 — w związku z przekroczeniem głębokości 1000 m pojawiły się wyciągi wielolinowe (RFN).

1956 — zmiana konstrukcji wież szybowych ze stalowych na wysokie żelbetonowe z maszyną wyciągową na szczycie.

opr. *Alojzy Lysko*

CIEKAWOSTKI TYSKIE

● Regencja opolska zatwierdziła wniosek zarządu gminnego, że poczynszy od 30 września 1875 roku w każdą środę, przed domem Krauta i na placu przed kościołem odbywał się będzie targ według ustalonego porządku. I tak jest do dziś...

● Pierwszy lekarz pojawił się w Tychach w 1893 roku. Był nim dr Karol Kornke. Niedługo po nim pojawił się pierwszy aptekarz niejaki Petroll.

● Pierwszy kominiarz zjawia się w Tychach w 1738 roku. Był nim Franek Kaszyca.

● W roku 1908 zajarzyły się w Tychach pierwsze uliczne latarnie gazowe, a w roku 1914 — elektryczne.

● Pierwszy listonosz tu zwany poczciorzem roznosił listy już w 1853 roku.

HERBY ZNANE I NIEZNANE

Heraldyka to stara i niezwykle zajmująca dziedzina historii, w ostatnich latach przeżywająca prawdziwy renesans. Herbarze i wszelkie inne opracowania tego typu cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem i ogromnym wzięciem. Wypełniając przynajmniej częściowo lukę w tym zakresie, pragniemy zaprezentować Wam znane i nieznane herby miejscowości, w których żyjemy.

Na Górnym Śląsku nie tylko miasta ale i wsie od bardzo dawna pieczętowały się własnymi, często bardzo oryginalnymi w formie godłami czyli herbami. Herby były wyrazem samorządności. W miastach pojawiały się po otrzymaniu praw miejskich, we wsiach po nadaniu sołectw i wyborze rad gminnych. Z chwilą wybrania własnego samorządu miasta i wsie nabywały zdolności do działań prawnych. Dokumenty sporządzane w miejskich magistratach i wiejskich kancelariach musiały być pieczętowane stemplami, na których wyrte były charakterystyczne dla danej miejscowości znaki. Z tych znaków właśnie wywodzi się najwięcej herbów, zwłaszcza wiejskich.

Miejscowości, w których mieszkają pracownicy naszej kopalni jest prawie sto i nie sposób przedstawić wszystkie herby i pieczęcie. Wypada jednak pokazać herb Łędzin, gdzie pracujemy i znaki kilku sąsiednich miejscowości.



ŁĘDZINY uważane są za najstarszą miejscowość w okolicy. W XII wieku należały już do rycerza Jaksy z Miechowa. Prawa miejskie posiadały w latach 1965—1975. Herb łędziński wyobraża kościółek św. Klemensa na górcze, jako miejsce pradawnego kultu. Na białym tle widnieje zielona trawa, czerwone mury i niebieski dach.



HOLDUNÓW to wieś założona w 1770 przez księcia anhalckiego Fryderyka Erdmana. Jej herb przedstawia boginię sprawiedliwości Temidę z mieczem i wagą. Pochodzi z pieczęci gminnej z końca XVII wieku. Oddany w kolorach ma następujący wygląd: bogini ubrana na biało, miecz i waga złote, tło niebieskie.



IMIELIN wzmiankowany jest po raz pierwszy w 1382 roku. Prawa miejskie posiadał w latach 1967—1975. Znane są 4 pieczęcie imielińskie, lecz tylko jedna przyjęła się jako godło gminne, używane od 1818 roku. Jest to wyobrażenie białej przydrożnej kapliczki ze złotą kopułą, z drzwiami i oknem do frontu, na niebieskim tle. Wśród mieszkańców Imielina istnieje jednak tradycja uznawania za herb wizerunku głowy św. Jana.



CHEŁM. Ślady osadnictwa w tej miejscowości pochodzą jeszcze z okresu mezolitu. W 1391 roku książę raciborski Jan odstępuje Chełm biskupowi krakowskiemu. W skład tej miejscowości wchodziły kiedyś 3 wsie: Chełm Mały, Wielki i Wójtostwo. Wspólnym herbem symbolizującym jedność tych jednostek był złoty trójkąt z okiem opatrznosci w promieniach na niebieskim tle. Godło to jest wyciśnięte na pieczęci z 1835 roku.



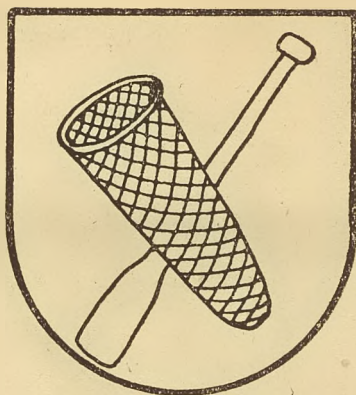
GOŁAWIEC. Wieś używała herbu już w XVIII wieku. Przedstawia on samotnie rosnące zielone rozłożyste drzewo o rzadkim listowiu. Tło herbu jest białe.



BIERUŃ STARY na mocy dokumentu z 1387 otrzymał wójtostwo. Prawa miejskie posiadał nieprzerwanie od 1547 do 1975 roku. Najstarsza znana pieczęć pochodzi z XVII wieku. Przedstawia ona biegnącego jelenia z łabędziem na rogach. Jeleń jest złoty, łabędź biały, tło niebieskie. Są to typowo śląskie barwy, najczęściej stosowane w herbach licznych śląskich miasteczek.



BOJSZOWY były wsią rycerską już w 1367 roku. Na pieczęci z XVIII wieku znajduje się herb z wyobrażeniem św. Jana, który chrzci Pana Jezusa w Jordanie. Po bokach są kościół i drzewo. Te dwa ostatnie akcenty odnoszą się do starego drewnianego kościółka z 1584 roku i wiekowych drzew rosnących w przydworskim parku. Tło herbu jest białe, rzeka niebieska, postacie złote, murawa zielona, mury czerwone, dachy niebieskie.



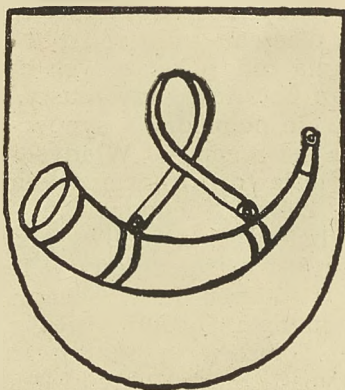
JAROSZOWICE posiadają herb wyobrażający złote wiosło i sieć skrzyżowane ze sobą na niebieskim tle. Elementy te wskazują na rodzaj zajęcia ludzi mieszkających nad brzegami licznych tutaj stawów. Godło pochodzi z XIX wieku.



WESOŁA powstała w początkach XVIII wieku jako osada leśna należąca do wsi Krasowy. Wniosła do historii gospodarczej Śląska ogromny wkład. W latach 1962—1975 posiadała prawa miejskie. Od XVIII wieku używała herbu symbolizującego biegnącego w lewo jelenia, za którym stoi drzewo. Herb w kolorach przedstawia się następująco: jeleni czerwony, murawa i drzewo zielone, tło niebieskie.



KRASOWY zostały założone jako wieś na prawie niemieckim pod koniec XIII wieku. Herb gminy pochodzący z połowy XVIII wieku przedstawia złoty łan zboża, do którego wbiega czarny dzik na niebieskim tle.



TYCHY jako dawna osada myśliwska używały od XVIII wieku herbu z wyobrażeniem rogu myśliwskiego (róg srebrny ze złotymi okuciami na niebieskim tle). Obecny herb symbolizujący nowe miasto pojawił się w 1965 roku. Jego autorem był architekt Marek Niklewicz.

Alojzy Lysko

DZIEJE KSIĄŻĄT NA PSZCZYNIĘ



iaście byli twórcami państwowości polskiej. Ostatnim Piastem rodu królewskiego był Kazimierz Wielki. Jego śmierć (1364) nie była jednak kresem istnienia dynastii. Najdłużej przetrwały linie piastowskie najstarszego i najmłodszego syna Bolesława Krzywoustego. Męska linia Kazimierza Sprawiedliwego wygasła na początku XVI wieku na księciu Januszu Mazowieckim. Linia najstarszego syna Krzywoustego — Władysława Wygnańca — przetrwała półtora wieku dłużej, bo do roku 1675. Wtedy to zmarł ostatni Piastowicz, książę Jerzy Wilhelm, pan na Legnicy i Brzegu.

Niezwykle interesujące były losy tej odnogi linii Piastów śląskich, władających ziemią, na której obecnie żyjemy.

Zainteresowanym dziejami tej ziemi przygotowaliśmy krótką chronologię panowania rodów książęcych na Pszczyńcu.

Rok 1138 — umiera Bolesław Krzywousty. Swoim testamentem rozdziela ziemie polskie pomiędzy 4 synów: Śląsk i Ziemia Krakowska przypada najstarszemu — Władysławowi II Wygnańcowi, Mazowsze — Bolesławowi Kędzierzawemu, Wielkopolska — Mieszkowi Staremu, Ziemia Sandomierska — Henrykowi. Piąty, najmłodszy syn, Kazimierz Sprawiedliwy przychodzi na świat już po śmierci ojca i nie jest uwzględniony w testamencie.

1159 — na zamku w Altenburgu w Saksonii umiera w opuszczeniu Władysław Wyganiec. Dzielnicę śląską biorą we władanie dwaj jego synowie: Bolesław Wysoki zwany też Przystojnym, któremu później przypada Śląsk Dolny i Mieszko I Płatonogi, który otrzymuje Ziemię Raciborską. Trzeci syn Wygnańca Konrad sposobiony jest w Niemczech do stanu duchownego.

1178 — król Kazimierz Sprawiedliwy trzyma do chrztu syna Mieszka Płatonogiego — Mieszka II. Ze swojej Ziemi Krakowskiej daruje chrześniakowi dwa obszary: Kasztelanję Oświęcimską, do której wówczas należała Ziemia Pszczyńska i Kasztelanję Siewiersko-Bytomską.

1238—1246 — Ziemią Pszczyńską należącą do Księstwa Opolsko-Raciborskiego włada Mieszko II. W tym okresie nawiedza te tereny tragiczny w skutkach najazd Tatarów.

1246—1281 — panowanie księcia opolskiego Władysława, zwanego Fundatorem. On to podejmuje odbudowę Księstwa Opolsko-Raciborskiego po zniszczeniach wojennych. Z tego czasu pochodzi większość zachowanych dokumentów lokacyjnych miast i wsi górnośląskich. Umierając dzieli księstwo pomiędzy 4 synów. Bolesław otrzymuje część północną z Opolem, Strzelcami i Niemodlinem. Kazimierz — środkową część z Bytomiem, Gliwicami, Toszkiem i Koźlem. Południową część otrzymują Mieczysław i nieletni Przemysław.

1290—1306 — ksiązę Mieczysław bierze we władanie Ziemię Cieszyńską i Oświęcimsko-Zatorską ze stolicą w Cieszynie. Przemysławowi wydziela księstwo Raciborskie z Raciborzem, Pszczyną, Wodzisławiem, Żorami, Rybnikiem, Mikołowem i Bieruniem Starym.

1306 — śmierć Przemysława. Ziemię Raciborską, częścią której jest Ziemia Pszczyńska przejmuje jego syn Leszek. W roku 1327 szukając oparcia u mocniejszego monarchy, Leszek Raciborski hołduje królowi czeskiemu Janowi Luksemburskiemu.

1336 — ksiązę Leszek Raciborski umiera bezpotomnie. Jest ostatnim z książąt raciborskich rodu piastowego. Księstwo dostaje się w ręce czeskiego księcia pana na Opawie — Mikołaja, ożenionego z siostrą Leszka Anną.

1365 — po śmierci księcia Mikołaja Opawskiego panowanie nad Ziemią Raciborską obejmuje jego syn Jan I. Silne związki miast Raciborza, Pszczyzny, Rybnika, Wodzisławia, Żor, Mikołowa ze stolicą księstwa Opawą.

1483 — ksiązę Jan Oświęcimski sprzedaje Pszczynę księciu cieszyńskiemu Kazimierzowi II — jednemu z najpotężniejszych panów na Śląsku i Opawie. Kazimierz był świetnym administratorem i człowiekiem dbałym o rozwój gospodarczy. Na Ziemi Pszczyńskiej zakłada się w tym okresie młyny, tartaki, stawy rybne, rozwijają się miasta.

1517 — niestety, Kazimierz II, ksiązę cieszyński, sprzedaje Księstwo Pszczyńskie z Pszczyną, Mikołowem, Bieruniem i Mysłowicami spolszczonemu kupcowi węgierskiemu Aleksemu Thurzo za 40 tysięcy złotych węgierskich. Kończy się historia książąt na ziemi pszczyńskiej.

Adam Leszczyzna

DROGA GÓRNEGO ŚLĄSKA DO POLSKI

Czyn zbrojny



łęska Niemiec i ich sojuszników w I wojnie światowej oraz Rewolucja Październikowa w Rosji w poważnym stopniu przeobraziły mapę Europy. Po 123 latach niewoli państwo polskie odzyskało swoją niepodległość i przystąpiło do zintegrowania rozdartych przez zaborców ziem, jak i do ukształtowania swoich granic. Ludność polska na Śląsku stanęła przed szansą zrzucenia pruskiego jarzma i przyłączenia się do Macierzy. Walka Górnoszlązaków przeciwko Prusakom była walką o godność, honor, pracę i walką o ojczyznę.

Osią ruchów powstańczych była założona przez Józefa Piłsudskiego 22. X. 1914 r. Polska Organizacja Wojskowa. Na Górnym Śląsku zaczęła działać 19. II. 1919 r. Pod koniec wojny zaznaczył się tu wzrost nastrojów patriotycznych, który doprowadził do tego, iż Niemcy ogłosili stan wyjątkowy na całym Śląsku. W powiecie pszczyńskim pierwsze poważniejsze wystąpienie antyniemieckie zanotowano 1 Maja roku 1919, kiedy to w manifestacjach wzięła udział ludność Mikołowa, Imielina, Bierunia Starego i Tychów. Wzmagający się terror niemieckich oddziałów granicznych — Grenzschutzu stał się bezpośrednią przyczyną wybuchu pierwszego powstania w sierpniu 1919 r. Cały teren Górnego Śląska został podzielony na 13 okręgów. Pszczyńska organizacja POW-u była jedną z czołowych. Tworzyło ją 11 kompanii, które w sumie liczyły ponad 2100 powstańców. Byli oni uzbrojeni w ponad 400 karabinów, tyleż pistoletów, setkę granatów i 3 karabiny maszynowe. Dowódcą okręgu w randze komendanta był Alojzy Fizia z Królówki. Okręg był podzielony na obwody, północny i południowy, każdy wystawiał jeden batalion powstańców. Dowódcą batalionu północnego był Stanisław Krzyżowski.

Mimo stosunkowo słabego uzbrojenia, powstańcy odnieśli kil-

ka lokalnych sukcesów. Walki na obszarze pszczyńsko-tyskim rozpoczęły się w nocy z 16 na 17 sierpnia. W Tychach zajęto folwark księcia pszczyńskiego, budynek urzędu gminnego i dworzec. Z powodzeniem toczono walki w Czułowie, Wartogłowcu, Paprocanach i Urbanowicach. W tych dwóch ostatnich miejscowościach walczyła również kompania z Łędzin pod dowództwem Karola Koniecznego. Niepowodzeniem natomiast skończyły się ataki na Mikołów i Pszczynę. W następnych dniach Niemcy odzyskali przewagę. Powstańcy wycofali się z Tychów. Wobec podobnych niepowodzeń na innych odcinkach walki, dnia 24 sierpnia padł rozkaz zaprzestania walk. Wielu powstańców musiało schronić się w Polsce.

Na Górnym Śląsku zapanował terror, który został zahamowany dopiero pod naciskiem Francji. W styczniu 1920 roku wkroczyły na Śląsk wojska francuskie, angielskie i włoskie. Międzysojusznicza komisja miała przygotować plebiscyt, w którym mieszkańcy Górnego Śląska mieli się wypowiedzieć za polską lub niemiecką przynależnością państwową. Jednostki Grenzschutzu zastąpiono niemiecką policją bezpieczeństwa — Sicherheits-polizei (Sipo). Terror rozpętany przez Sipo stał się przyczyną drugiego powstania śląskiego. Znalazło ono szersze poparcie polityków, w tym również Korfanteo. Poprzednie powstanie, ze względu na toczące się w Wersalu rozmowy pokojowe, było uważane za szkodliwe dla sprawy polskiej. Z podobnych względów powstańcy w roku 1920 nie wysunęli hasła przyłączenia Górnego Śląska do Polski, ale domagali się jedynie zlikwidowania Sipo oraz utworzenia mieszanej polsko-niemieckiej administracji i policji. Powstanie znalazło oparcie w szeroko rozwijającym się na



Powstańcy łędzińscy

naszej ziemi ruchu politycznym, sportowym i zawodowym. W Bytomiu powstał Polski Komitet Plebiscytowy, któremu podlegały powiatowe komitety plebiscytowe. Na czele komitetu pszczyńskiego stali Jan Kędzior, ks. Jan Kapica i Stanisław Krzyżowski. Powstawały i rozwijały się kółka rolnicze, które skupiły się w Śląskim Związku Rolników, towarzystwa śpiewacze, organizacje związkowe i społeczno-oświatowe. Ruch sportowy odznaczył się utworzeniem takich klubów jak Piast w Krasowach, Naprzód w Mikołowie i Jedność w Mokrem.

Przed wybuchem powstania przeprowadzono reorganizację POW-u na terenie Górnego Śląska. Przede wszystkim położono nacisk na szersze współdziałanie z władzami centralnymi w Polsce. Terytorium powstańcze podzielono na 6 okręgów. Powiat pszczyński wraz z katowickim należał do okręgu szóstego. Liczba zaprzysiężonych członków POW-u Ziemi Pszczyńskiej wynosiła około tysiąca, a na całym Górnym Śląsku ponad 20 tysięcy; w kwietniu 1921 roku liczba ta miała wzrosnąć do 40 tysięcy.

Walki powstańcze wybuchły spontanicznie 19 sierpnia 1920 roku, bez rozkazu wahającej się komendy POW. W powiecie pszczyńskim do starć z policją i kolonistami niemieckimi doszło w Imielinie, Krasowach, Kosztowach, a w szczególności w Hołduńowie. W Bieruniu Starym bez walki rozbrojono posterunek policji. Następnie powstanie rozszerzyło się na Tychy, Mikołów i Pszczynę, do zaciętych starć doszło w Wyrach.

Podobny przebieg miały wydarzenia na terenie innych powiatów. Powstańcy rozbijali niemieckie bojówki i policję. W krótkim czasie opanowali dużą część regionu. Najbardziej zacięte walki toczono w rejonie Mysłowic, Huty Baildon, w Chorzowie, Nowym Bytomiu i Wodzisławiu.

Pod naciskiem powstańców Niemcy musieli zgodzić się na likwidację Sipo, którą zastąpiono mieszaną policją polsko-niemiecką. Usunięto z obszaru plebiscytowego Niemców nie urodzonych na Górnym Śląsku oraz ustalono datę plebiscytu. Wobec osiągnięcia celów powstania, dowództwo POW wydało 25. VIII. 1920 r. rozkaz zaprzestania walki.

Plebiscyt odbył się 20 marca 1921 roku i w skali całego Górnego Śląska przyniósł nieznaczące zwycięstwo Niemców, którzy uzyskali 59,6 proc. głosów, podczas gdy za Polską głosowało 40,4 proc. W powiecie pszczyńskim Polacy posiadali zdecydowaną przewagę. Za Polską opowiedziało się 53,378 głosujących, co stanowiło 73,9 proc., za Niemcami głosowało 18 678 ludzi tj. 26,1 proc. Najwięcej głosów za Polską padło w gminach Chełm, Imielin, Łędziny, Tychy i Wiry. W Bieruniu Starym za Polską głosowały 1.172 osoby, za Niemcami 255. W Mikołowie sytuacja była

odwrotna, na skutek istnienia licznej kolonii niemieckiej, przeciwko Polsce głosowało tam 3.059 osób, a za 2.434.

W takiej sytuacji Międzysojusznicza Komisja Plebiscytowa podjęła decyzję o przekazaniu Polsce powiatów pszczyńskiego, rybnickiego i części katowickiego mających charakter rolniczy. Była to decyzja niesprawiedliwa, stało się jasne, że konieczna jest dalsza walka zbrojna. Wobec dekonspiracji POW utworzono nową organizację o mylącej nazwie Centrala Wychowania Fizycznego, którą potem przekształcono na Dowództwo Obrony Plebiscytu.

Dyktatorem trzeciego powstania został Wojciech Korfanty, a wybuchło ono 3 Maja 1921 roku. Ten zryw Ślązaków był najbardziej powszechny. Na ziemi pszczyńskiej utworzono 3 pułki powstańcze liczące 3 tysiące członków. Szybko uporano się z przeciwnikiem w poszczególnych powiatach. Na naszym terenie do poważniejszych starć doszło w rejonie kopalni „Bolesław Śmiały”. Powstańcy zdobyli Tychy i Mikołów, nie zajęli natomiast, na skutek oporu wojsk alianckich, Pszczyzny i Starego Bierunia. Na zdobytych obszarach zaczęto organizować polską administrację.

Udział powstańców ziemi pszczyńsko-tyskiej zaznaczył się również w walkach o Kędzierzyn, na Górze Świętej Anny, w Gogolinie, Zakrzewiu, Siedlcach i w Starym Koźlu. Działania wojenne trwały do czerwca. W październiku roku 1921 wielkie mocarstwa a, następnie Liga Narodów podjęły decyzje o podziale Śląska. Była ona bardziej korzystna, gdyż Polska otrzymywała 29 proc. obszaru plebiscytowego i 46 proc. ludności. W polskiej części pozostało 53, tj. 80 proc. wszystkich kopalń węgla, 66 proc. kopalń cynku i ołowiu, 60 proc. wielkich pieców i największa na Górnym Śląsku elektrownia w Chorzowie. Poza Polską pozostały takie miasta jak Zabrze, Gliwice, Kędzierzyn, Opole. Do Polski wróciły Katowice, Chorzów (wówczas Królewska Huta), Lubliniec, Tarnowskie Góry, Świętochłowice, Rybnik, Pszczyzna.

Podział Śląska w roku 1921 stanowił ważny etap w dziejach powrotu tej piastowskiej ziemi do Polski. Powrotu zaznaczonego wieloma trudnymi walkami i ofiarami. Sam podział nie rozwiązał wszystkich problemów i miał zaciążyć na przyszłych stosunkach polsko-niemieckich. Wystarczy przypomnieć, że w niemieckiej części Śląska mieszkało 530 tys. Polaków. Nie brakowało Niemców po stronie polskiej. Często właścicielami znajdujących się w Polsce przedsiębiorstw przemysłowych byli Niemcy. Tak więc sprawa Górnego Śląska nie została w roku 1921 rozwiązana. Dokończyło się to dopiero po II wojnie światowej.

Bernard Rutowski

CZYTELNICTWO - ZWYCZAJ PIĘKNY I POŻYTECZNY



o kraj to obyczaj — mówi przysłowie — a przysłowia przeważnie nie mylą się, bo z doświadczeń i mądrości pokoleń biorą swój początek. Od Bałtyku po Tatry i od Bugu po Odrę — jeden to kraj — zwykło się mówić — i ci sami ludzie. Jeśli jednak bliżej przypatrzeć się każdemu z osobna, poznać jego zainteresowania, przyzwyczajenia i codzienny język, a następnie dokładnie spenetrować wszystkie zakątki tej ziemi rozległej, okaże się, że co jedna

wieś to inna pieśń; co kraj to obyczaj właśnie.

W Tychach, we wszystkich dzielnicach miasta i najbliższych osiedlach robotniczych, zwłaszcza tych najnowszych, jeszcze dziś na każdym kroku można się przekonać, że ludzie — zależnie od miejsca rodzinnego pochodzenia — mają swoje osobliwe przyzwyczajenia, a także szczególne jakieś, sobie tylko swoiste cechy i właściwości, które ukształtowały wieki i przekazali nam przodkowie. Mają je Wielkopolanie i Ślązacy, przybysze z Mazowsza i Kielecczyzny, z Podhala i dziesięciu dalszych, historycznych regionów. Mamy je wszyscy i każdy z osobna. A choć wszyscy żyjemy tu, mieszkamy i pracujemy razem, choć każdego z nas bardzo obchodzi to, czego na co dzień doświadczamy jako społeczność tej samej kopalni, fabryki i miasta, jeszcze wciąż niejeden z nas lepiej czułby się w krajobrazie zapamiętanym w dzieciństwie: wśród okwieconych łąk i zbożem rozkołysanych pól, w okolicach morza albo gór, w bezpośrednim sąsiedztwie buchających ogniem hutniczych pieców i potężnych kopalnianych wież wyciągowych. Tesknimy czasem, wspominamy, a uciekający czas coraz mocniej osadza nas tu, na miejscu.

Rodzinne strony obdarzyły nas także różnymi talentami i zamiłowaniem. Jedne okolice haftem bowiem i malowankami słyną ponad wszystko, drugie rytmem tańca i wdziękiem pieśni porywają, a są i takie, gdzie rzeźbiarzy, w których dłoniach kawałki drewna w mig zamieniają się w cuda urokliwe i niepowtarzalne, spotkasz w każdej niemal chałupie.

Różne są również nasze tradycje rodzinne i obyczajowe, nawet nazewnictwo potraw i stopni pokrewieństwa, poszanowanie pracy i umiłowanie porządku. Różne są także wyobrażenia o włas-

nej wartości i wartości innych. Ileż jednak wszyscy mamy sobie wzajemnie do przekazania, ileż każdy, bez wyjątku, każdy z nas, ma się tu od drugiego do nauczenia. Jedniśmy bowiem, a jednak nie tacy sami, różni, ale przecież nie obcy wzajemnie.

W tradycjach regionów, z których pochodzimy, są takie przyzwyczajenia, które należałoby ze szczególnym pietyzmem pielęgnować i za wszelką cenę ocalić od zapomnienia, zaszczerpić je innym i upowszechnić. Jest ich wiele, ale z braku miejsca tylko o jednym z nich będę tu w stanie trochę obszerniej opowiedzieć. Chodzi mianowicie o zwyczaj rodzinnego czytania i szacunek jakiś szczególnie dla mądrości drukowanego słowa — tak do niedawna na Śląsku szeroko rozpowszechniony, a w ostatnich latach jakby coraz bardziej zamierający i znikający z powierzchni życia codziennego.

Z różnym nasileniem zwyczaj ten występował wprawdzie również w pozostałych regionach kraju, zwłaszcza w Wielkopolsce, na Pomorzu oraz na Warmii i Mazurach, nigdzie jednak nie był tak powszechny jak tu, na Śląsku. Gdzie nie tylko ludzie z warstw uprzywilejowanych, lecz także lud prosty, chłopi i robotnicy od wielu pokoleń zdradzali szczególne zamiłowanie do czytania gazet i książek. A czytelnikami byli znakomitymi. Bardzo przywiązani do swoich czasopism i autorów, nie opuszczali ich nawet w chwilach złych i niepomyślnych, chyba że nadużyli zaufania, sprzeniewierzyli się i w rezultacie raz na zawsze przegrali własny los. Jeszcze dziś na strychach starych chałup, w wiekowych szafach po prababkach bądź pradziadkach i gdzie tam jeszcze znaleźć można zleżałe, doszczętnie zaczytane roczniki czasopism i książek stopy, z których nasi pra-przodkowie uczyli się świata, poznawali jego dziwy i tajemnice i których lekturą uprzyjemniali sobie długie po pracy wieczory. Jeszcze dziś — bo je szanowano, chroniono i przechowywano jak świętości, jak dobra niezastąpione, które trzeba przekazać dzieciom i wnukom.

I tak też było w istocie, choć oczywiście każde z następnych pokoleń dokładało do tych zbiorów nowe tytuły; coraz trudniejsze ale i coraz mądrzejsze. Dzięki temu czytelnictwo gazet, czasopism i książek coraz mocniej z każdym pokoleniem utrzymywało się w tradycjach kulturalnych tej ziemi i coraz głębiej zakorzeniało w przyzwyczajeniach jej mieszkańców. Czytano i słuchano czytania całymi rodzinami, nierzadko przy udziale sąsiadów i znajomych. Wspólne przeżycia duchowe umacniały społeczne więzi, a pomnażające się z każdym pokoleniem zbiory drukowanego słowa stanowiły o prestiżu i społecznej pozycji człowieka. Nie tylko zamożność ale także mądrość, wiedza i pracowitość miały tu swoją cenę i wartość od wielu pokoleń.

Drukarstwo i zbieractwo ksiąg najrozmaitszych sięga na Śląsku kilku wieków, a pierwsza polska gazeta ukazała się tu już pod koniec XVII wieku, we Wrocławiu. Wtedy więc, gdy czasopiśmiennictwo nie było jeszcze w pełni upowszechnioną zdobyczą kulturalną ani w Polsce, ani w wielu pozostałych krajach Europy. W niektórych nie znano go wtedy jeszcze w ogóle. Nie była to jednak gazeta przeznaczona dla miejscowego ludu, lecz dla warstw wykształconych, wyższych, społecznie uprzywilejowanych. Nie mogła więc też odegrać jakiegokolwiek roli w rozwoju zainteresowań czytelnictwem prasy wśród najszerszych, ludowych warstw miejscowej ludności. Fakt jednak, że drukowano ją i wydawano tu właśnie dowodzi, że Wrocław — stara, tradycyjna stolica Śląska — był ośrodkiem, który nadawał ton i przodował kulturalnie nie tylko wśród miast śląskich.

Jednakże już w niespełna 100 lat później, także we Wrocławiu, zaczęło się ukazywać inne czasopismo, które w samym tytule określało swoje czytelnicze przeznaczenie, a mianowicie „Gazety Szląskie dla Ludu Pospolitego”. Niewiele możemy dziś o nim powiedzieć, ale ponad wszelką wątpliwość pewne jest, że była to pierwsza polskojęzyczna gazeta adresowana nie do mieszkańców pałaców, lecz do prostego ludu tej ziemi. Gazeta zatem, która już w końcu XVIII wieku zainteresowania czytelnicze rozbudzała wśród naszych pra-pradziadów. Rozchodziła się (miała bowiem dwie wersje), w języku polskim i niemieckim, w kilku tysiącach egzemplarzy, co — jak na owe lata — było nakładem zawrotnej wysokości, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę środowisko społeczne zamierzonych czytelników.

Wszystko, co wyżej powiedziałem o tym czasopiśmie, przywozдить musi wiele różnorodnych refleksji. Przede wszystkim jednak — by pozostać przy zasadniczym temacie tej gawędy — upewnia nas w tym, że wielu spośród naszych pra-przodków musiało już wtedy umieć czytać, skoro opłacało się wydawać dla nich specjalne czasopismo, a pamiętajmy, że w owych latach umiejętność czytania nie była jeszcze powszechna nawet wśród szlachty polskiej. Czasopismo to z kolei musiało się oczywiście z natury swego powołania przyczynić do dalszego upowszechniania tej umiejętności na coraz większych i coraz dalszych obszarach Śląska. W istocie bowiem zapotrzebowanie na nowe gazety dla ludu rosło od tej pory niemal z każdym rokiem i w coraz szerszych kręgach znajdowało zrozumienie. Najwięcej w tej sprawie zdołali jednak zdziałać ci spośród lepiej już wtedy wykształconych Ślązaków, którzy sami wywodzili się spod strzechy bądź miejscowych mieszczańskich kamieniczek. Im też zawdzięczamy powstanie dalszych czasopism.

Przeważnie byli to nauczyciele ludowi, czyli — jak byśmy dziś powiedzieli — nauczyciele szkół podstawowych. Ten zawód uprawiał bowiem Józef Lompa z Lubszy i Woźnik, Karol Miarka z Pielgrzymowic (ale otarł się również o Łęczyny i Urbanowice) oraz Krystian Szemel, nauczyciel w pszczyńskiej szkole ewangelickiej. Każdy z nich pozostawił w dziejach czasopiśmiennictwa ślad trwały i znaczący nie tylko dla Śląska.

Lompa — setki bardzo wtedy poczytnych artykułów, opowieści i różnotematycznych publikacji oświatowych, a co ważniejsze — on właśnie stworzył najpierwotniejszy zrab wzorca pisma i dziennikarstwa dla ludu, który potem inni, także nie tylko na Śląsku, naśladowali i rozwijali.

Miarka — „Katolika”. Najtrwalszą jak do tej pory (obok prawie 100-letniej „Gwiazdki Cieszyńskiej”) oraz niezwykle skuteczną pod względem oświatowym i politycznym gazetą dla ludu, a także pierwsze na Górnym Śląsku wielkie wydawnictwo z nowoczesną drukarnią w Mikołowie, w której nie tylko czasopisma, kalendarze (w przybliżeniu takie jak nasz) i inne książki przeznaczone dla miejscowego czytelnika drukowano, ale także dzieła klasyków, do dziś zdobiące księgozbiory w wielu krajach świata.

I Szemel wreszcie — kolejne po wrocławskich „Gazetach Szląskich dla Ludu Pospolitego”, a pierwsze na Górnym Śląsku czasopismo dla ludu, pod nazwą „Tygodnik Polski Poświęcony Włościanom”. Stało się to 5 lipca 1845 roku, a więc dokładnie 140 lat temu. W ten sposób Pszczyzna — bo tam właśnie tygodnik ten powstał i był wydawany — zyskała wtedy prawo do tytułu drugiej po Wrocławiu, ale pierwszej na Górnym Śląsku kolebki czasopiśmiennictwa. Fakt to dla nas tym bardziej istotny, że Pszczyzna właśnie jest historyczną stolicą tego mikroregionu Śląska, na którego obszarze i Tychy, i Łęczyny wyrosły. W jakiejś mierze mamy więc i my, współcześni prawo do tego tytułu, bośmy przecież tradycji tej ziemi spadkobiercami niewątpliwymi.

Prawdziwy rozkwit prasy i czytelnictwa na Śląsku przypada jednak na okres Wiosny Ludów, czyli na lata 1848—1849. Wtedy powstanie bowiem „Tygodnik Cieszyński” — pierwowzór wspomnianej już „Gwiazdki”, która przetrwała do 1939 roku, a także bytomski „Dziennik Górnośląski” i kilka dalszych tytułów. Sporo podobnych pism powstaje wtedy i zaczyna się rozwijać również w Wielkopolsce, na Pomorzu oraz na Warmii i Mazurach, czyli na obszarze każdego z regionów, wchodzących w skład zaboru pruskiego. Większość z nich wyrosła z wolnościowych powiewów Wiosny Ludów, toteż w miarę jak wygasały ogniska ludowego buntu i oporu, pod ciężarem cenzury i zakazów padały

kolejno wszystkie powstałe wtedy tytuły. Największe straty poniósł Śląsk: przy życiu nie utrzymało się ani jedno czasopismo. Błędem byłoby jednak sądzić, że tak krótki okres ich egzystencji, społecznej służby i rozkwitu nie pozostawił tu żadnych śladów. Przeciwnie. Zlikwidowano czasopisma, ale nie zdołano uśmiercić bardzo już żywego wśród ludu zainteresowania czytelnictwem prasy.

Następny, ale tym razem już do dziś nieprzerwany okres rozwoju czasopiśmiennictwa, rozpoczyna „Zwiastun Górnos Śląski” z 1867 oraz Miarkowy „Katolik” z 1869 roku. Potem przychodzi kolej na „Gazetę Górnos Śląską” Franciszka Przyniczyńskiego, „Światło”, „Nowiny Raciborskie”, „Gazetę Opolską” i „Gazetę Robotniczą” oraz kilkanaście dalszych tytułów samodzielnych, nie licząc ich bardzo popularnych dodatków, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży, dla robotników, rolników, rodziców, kobiet itd. Teraz więc — a działo się to w drugiej połowie XIX wieku — siatka wydawnicza czasopiśmiennictwa zaczęła się coraz bardziej zagęszczać, a czytelnik nie był już skazany na jedną tylko gazetę, lecz mógł wśród nich dokonywać wyboru, stosownie do swych zainteresowań, wieku, ogólnooświatowego przygotowania, przekonań i przyzwyczajęń. Skoro opłacało się dla niego wydawać aż tyle i tak już zróżnicowanych między sobą tytułów, to nie mógł to być czytelnik byle jaki. A pamiętajmy, że ciągle jeszcze mówimy o prasie i czytelniku nie naszego, lecz końca XIX wieku, o czytelniku zatem, którego wykształcenie nie przekraczało cenzusu szkoły podstawowej, obowiązkowej tu już jednak z całą surowością pruskiego prawa. I ten w taki sposób przygotowany czytelnik zdolny już był do dokonywania samodzielnych ocen politycznych, wyboru miejsca w coraz bardziej komplikującym się świecie swej codzienności, a nawet do czynnego udziału w egzekucji swych społecznych praw.

Rezultaty tradycji kilkupokoleniowego kontaktu z prasą i to z prasą nierzadko w dwóch językach — zaowocowały tu ostatecznie w okresie powstań i plebiscytu. Czyny te i akty — tak przecież tragiczne w swej faktografii, a tak jednocześnie historycznie doniosłe dla ludu tej ziemi i Polski także — byłyby nie do pomyślenia bez wieloletniego przygotowania, bez pracy u podstaw, którą spełniło tu powszechne ludu z książką i prasą obcowanie od kilku generacji. Doskonale ujął to postępowy pisarz polski, który w reportażu, opublikowanym w lewicowych „Wiadomościach Literackich” napisał: „Chłopów na kresach trzeba uczyć, w Kongresówce — przeprowadzać, w Małopolsce — wspierać radą. Robotników na Śląsku nie trzeba uczyć. Ci ludzie czytają gazety, ci ludzie znają wielki europejski język, ci lu-

dzie są nowocześni jak górnicy z Ardenów, jak robotnicy z Liverpoolu. Tych ludzi i synów tych ludzi trzeba tylko po prostu dopuścić. Trzeba chcieć przestać zawsze kogoś w czymś wyręczać". A na innym miejscu: „Ci ludzie łatwiej niż nasz przeciętny inteligent rozumieją niemiecki podręcznik budowy maszyn i lepiej niż przeciętny uczeń gimnazjum, gdzie wykładają o Reju i Kochanowskim, uporają się z Żywotem człowieka poczciwego i resztkami dzieł Biernata z Lublina... To zrobiono już za nas".

Dodać tylko wypada, że nie była to opinia odosobniona, choć oczywiście nie brakowało i skrajnie przeciwnych.

Sporo nowych tytułów prasowych rozgościło się na Śląsku w okresie międzywojennym. Samo ich wyliczenie zabrałoby kilka kartek druku. Spośród wtedy powstałych wspomnień jednak wypada o dwóch, a mianowicie o „Polonii” i „Polsce Zachodniej” — pismach, które wprowadziły ostro z sobą konkurowały politycznie ale jednocześnie kontynuowały dobre tradycje prasy śląskiej. W latach tych prawie każde miasto, a nawet i mniejsze miasteczko tutejsze rozporządzało już własnym pismem lokalnym. Spośród miasteczek najbliższej okolicy wymienić trzeba przede wszystkim Mikołów — z „Gazetą Mikołowską”, której tradycje sięgają 1869 roku. Pszczynę — z „Gazetą Urzędową Powiatu Pszczyńskiego”, zwaną wcześniej „Urzędówką Starostwa Pszczyńskiego”, a także z „Głosem Pszczyńskim” i kilkoma innymi pismami oświatowymi, szkolnymi i fachowymi o pozalokalnym charakterze; oraz Bieruń Stary — z „Głosem Bieruńskim”, „Nowinami Powiatu Pszczyńskiego” i jeszcze jednym piśmkiem o ponadlokalnym zasięgu, a także Mysłowice i Tychy, miasteczko wtedy zaledwie dziesięciotysięczne.

Wszystkie wymienione tu i nie wymienione tytułami pisma były oczywiście bardzo nietrwałe, wyłącznie niskonakładowe, ale żadne nie mogłyby przetrwać nawet krótko, gdyby nie znalazło odpowiedniej liczby czytelników. Sam fakt zresztą, że prób ich wydawania dokonywano w tak małych miejscowościach, i to w latach, gdy bieda zadomowiła się w większości robotniczych rodzin, dowodzi społecznego i przestrzennego rozpowszechnienia prasowych i czytelniczych tradycji tych najbliższych nam okolic. O tym zaś, jaką rolę miało to odegrać w najbliższej przyszłości — w przyszłości, która dla nas jest już także historią — zaświadczyły obrazki z 1945 roku.

Wtedy, gdy w ramach wielkich przeobrażeń społeczno-politycznych i kulturalnych kraju kładziono ogromny nacisk na upowszechnienie czytelnictwa prasy i gdy czytelnictwo to propagowano w całej Polsce niemałym nakładem sił i środków, gazety i czasopisma śląskie od początku rozporządzały masowym czy-

telnikiem o wielopokoleniowych tradycjach stałego kontaktu z prasą. Dzięki temu od początku były wszelkie krajowe rekordy nakładów i popularności, a ludzi czytających spotykało się wszędzie: w autobusach, tramwajach i podmiejskich pociągach, a nawet na przystankach. Po dziś dzień jest to też jeden z tych regionów, na którego obszarze ukazuje się najwięcej gazet i czasopism przeznaczonych dla miejscowego czytelnika. Oprócz bowiem trzech dzienników, każde miasto rozporządza tu swoim „Echem”, „Nowinami”, „Gońcem”, „Życiem”, „Wiadomościami” czy „Kroniką”. Tu bowiem najwcześniej spośród wszystkich regionów Polski zapoczątkowany został nurt plebejski w rozwoju prasy i masowe jej czytelnictwo. Z tych także powodów człowiek z gazetą w każdych okolicznościach i na każdym miejscu — nawet dziś przy tak silnej konkurencji małego ekranu — jest jednym z tak bardzo charakterystycznych obrazków śląskiej, pracowitej codzienności.

Józef Mądry



Rozmątsi



CZYTOJCIE W NASZYJ GWARZE

Na naszym śląskiej ziemi żyje jeszcze moc starek i starzyków, kierzy som tukej jak stare drzewa: szumią swojsko i dajom młodym ciyń przed złym słońcym i wichrzyskami.

Łod tych naszych mamulek w kieckach i tacików w westach poradzymy słyseć jeszcze dużo mądrych klechd, godek, śpiywek, wiców i śmiysznych bojek, łopedzanych piykniptom gwarom. Ta gwara jest naszym piyrwszom mowom. Jest najpiykniejszom polszczyznom. Tak, jak my godomy — godało już wiela innych wielgich ludzi — Bantke, Orkan, Kajka no i nasz Gustlik Morcinek.

Toż czytojcie to, co wom piszemy w tyj gwarze. Czytojcie a niy wstydzcie sie! Niy macie sie czego wstydzić.

JÓZEK WICHARY

(śpiywka elwrowska)

1. *Trzydzieści lot stary
Józek Wichary
co miyszkoł kole fary
Robił trumny, tragi i mary
I tyż koła do kary.*
2. *Jak jechoł przez Piekary,
Napadły go chachary
Strzaskały mu bary
Strzaskały mu bary,
Mary,
I kołka do kary.*
3. *W tym przyszły szandary.
„Wy Józku Wichary,
Co macie bary
Jak śtomel z cygary
Zaplacie piynć złotych kary”.*
4. *„A wy chachary
Za kołka łod kary,
Józkowe bary
I bajzel kole fary,
Pójdziecie do szpary.*
5. *Jak poszły za szpary
Pierońskie chachary,
Wsadziły szandary
Józka do kary
I zawiozły do Klary,*
6. *Aby mu posmarowała
śmietónkom strzaskane bary.
Czary, mary
Dioboł stary,
A diobołek młody
Z aniołkiem na gody.*

KLECHDY PSZCZYŃSKIE

NIMA JAK SE ZARADZIĆ

Jak jo służył u mojej uonej na Klachowcu w Urbanowicach, fórmanilech tam w pojedynoka takim koniym. Siwo sie mianowała, bo to była kobyła. Cóż tyż to był za pieroński koń, godom wom.

Jak zech piyrwszy roz niom jechoł po wyngiel na Murcki, toch myśloł, że wyjda ze siebie, abo sie wściekna. Pedziołech ji:

— Wio! A ta pierzińska kobylica, jakby niy słyszała. Stoła i ino błyskała tymi gupimi, wodnitymi ślypiami. Padom ji jeszcze roz: — Wio, ty staro siabrako! Kaj tam! Stoła dalij i jeszcze popierdywała... No, toch ji przycion biczyskiym pora razy, ale łona se tam z tego nic niy robiła.

— No, cóż by ci tu zrobić, ty zasmolono kamelo? — padom se.

Wyłoz zech z fóry i przyniół zech z wozownie taki zdrowy dymbczok. Łółka my to nazywali. Jak zech ji przysmolil w zadek, to jom aże dźwigło. Ruszyła, ale myślicie, że ujechała daleko? Zrobiła, psiakwa pora kroków i zaś stanyła.

— No, katać to z koniym niy dom se rady — godom do sie — dyć jak tu chca służyć u tej uonej, to musza tym łupym jakoś jeździć. Inaczej to niy zarobia ani na font kudeł.

No i roz pojechałech tyż po tyn wyngiel. Siwo szła fajnie, ale pod Zwierzyncym zapała. Godom ji: — Wio! — i zaroz groża ji tym dymbczokiym. Ale kaj tam! Siwo stoi i rżo sie zy mnie.

— No, ty pierono, zapieronowano — do żywego znerwowany klna na czym świat stoi — toby my ci sie śmioli, żebyś ty robiła, co ci sie podoba.

Zawołołech chopów, kierzy szli akurat z nocnej szychty: — Chopy, dorodźcie, co mom robić z tym łośliskiy?

— Co? — pedzioł stary Latusek. — Podroż ji pod rzyć tyn papiór, to bydziesz widzioł synku, co sie bydzie dzioć!..

Jeronie, pieronie... — niy uwierzycie... Niy tyn koń! Siwo szarpła i ruszyła z fórom aże sie kurzyło. A paradnie szła, jak szesnostka. Roz dwa zech przyjechoł do Murcek, roz dwa zech był nazod na Klachowcu.

I łod tego czasu miołech z kobyłom pokój. Ino zech musioł pamiyntać, żeby mi chopy tego papióru zawsze przyniysli. A to był papiór, w kiery pakuje sie materyjo wybuchowo.

BABA - PYSKOCZ

Tyj baby sie w naszymy wsi wszyscy boli jak łognia. Łona miała okropnie niywyparzony pysk. Ta, niy było dnia żeby sie łona z kim niy pochatusiła. A strasnie rada dowala ludziom brzydkie łosciegi. Jakby ino trefiła na kogo, co by ji niy spasował — to już przepod. Musiół zostać bez słowa. Tak tyrtoliła, tak rzegotała, że tyn borók zapominoł, skąd jest i jak sie nazywo.

No, a jak mu już tak nakładła jak tyj świni do koryta, to sie w łoka mgniyniu straciła. Zanim sie tyn istny zebroł na łodpowydź — to łonej już downo niy było.

A pamiyntliwo jako była! Łona ta nikomu nic niy podarowała. Prowda niy prawda — waliła prosto w łoczy.

Jo roz, wol niy wol, musiółech wyslyszeć, jak sie z jednym babom wadziła na dródze:



— Stójcie ino — pedziała tyj babie tak naprzód piyknie. — Słyszalać żeście Dyrdzinej godali, jako to jo jest. Toż chciałać wóm pedzieć, żebyście sie starali ło siebie a mie dali śwynty pokoj. Myślicie, że jak jo już ni mom chopa, to możecie na mie godać, co sie wóm podobo? O, niy! Jo se tego spodobać niy dom. To by było żeby mie bele wto broł na zymby! Wy se patrzcie swojigo pierdziatego nosa... Wy pukłocz u szczyrbaty! Mocie ta łąb tako jajowato, że człowiek niy wiy, jak na wos patrzeć. No, cóz sie tak gapicie we mie tymi gałami. Bryle se kupcie to mie bydziecie lepiej widzieć!... Jaa, niy zdo wóm sie... Jo wiy!... Widzicie, jak to piyknie drugigo łąbgadywać... Łazicie po wsi jak staro ojla i fulocie, co wóm ślina na jynzyk przyniesie. Tako baba? Tako staro baba, to siedzi w doma i przykłodo do pieca a niy smyko sie po ludziach i rozpowiado bele jaki wieści. Nawet moji dzieci ście łąbgodali... To wasze dzieci... som zapieczone wancki! To som takie piegocze, srokocze, rogocze, rysawce, knajtki niywydarzone i wszystko... Jedyn bładyga, drugi chudyga, trzeci spaśny jak wieprzek, czworte z tyj gupij mądrości spod ziymi niy widać... Cóz tyż to som te wasze najduchy, hm? Lompy same, chachary, szczodroki łąbtargane, muldoki łąbślinione i tela!...

Mocie już dość, czy jeszcze chcecie? A dołoża wóm jeszcze, boście i mojigo chopa poruszali. Moj chop — to był chop! A wasz? To niy chop! Jo bych mu ani do rzyci niy kopła... Sływok, rykała a ino mu bab... Czy wy wiyecie, kaj łąn po nocach łązi? No, widzicie, takiego chopa mocie! Jaa, bo jako baba taki chop! Przy dobrej babie to chop siedzi w doma. Ażeście som do niczego to i chopa mocie do niczego... Wstyd, gańba!... Jo bych sie wolała pod zymia zapaść z takim chopym.

I widzicie, tak ta baba mogła mleć tym łązorym permamynt. Jak jom ta tyż tyn pysk niy bolół?

Z niom sie chycić, to lepiej spotkać diobła. O, to był pyskocz — baba, pyskocz. O, umiała tyż to, umiała!...

Ale wiyecie, co sie śniom stało? Byście niy pedzieli... Stanyła se roz w Mysłowicach na przeciągu i jom łąwioło. Poraziło jom i łądebrało ji mowa.

Łobejrzyjcie, jak to tyż Ponbócek umie ludzi nacechować...

NIEDZIELA W MIEDŹNEJ

Downij na Miedznej było zawsze dużo wielkich gospodarzy. Jak przyszła niedziela, toż ci wywołani chodzowali zowdy na suma. Siadowali do nojpiyrwszych ławek i nojprzód witali się z Panym Bogiym, no a potym pociskali sie jedyn ku drugimu, podowali se rynki i coś szeptali.

Myśla, że Pon Bóczek wyboczy mi, jak to mojim roztomiłym czytelnikom łopedza, co szeptali:

„-Ojczy nasz, któryś jest w niebie... — **ta kobyła wom sie już łożrebiła?** — ... świyńc sie Imię Twoje, przydź królestwo Twoji... — **no, a co mo?** — ...bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziym. Chleba... — **a jako maść** — ...naszego powszedniego dej nom dzisioj. I odpuść... — **no toście ale radzi!**... — nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... — **moja już tyż jest na dniach...** — ...I nie wódz nas na pokuszyni ale nas zbaw ode złego.”

W drugij porzyndzi ławek siedziały zaś gospodynie. Łony sie tyż pochylały jedna ku drugij i tyż coś prawily. Jak by tak mieć wtynczos ty elektroniczne fizdynamenta, toby sie to dało nagrać i dzisioj puścić. Usłyszeliby my:

„— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... — **chowiesz co,** — ...Pan z Tobom. Błogosławionaś Ty... — **dobrze ci sie chowie?** — miyndzy niewiastami... — **a cera mo ta już jakigo?** — i błogosławiony owoc żywota... — **kiedy jom myślicie wydać?**... — Twojigo Jezus. Świynta Mario... — **na wiela morgów?**... — Matko Boża, módl sie za nami...”

No, ale niy myślcie se, że na tyj Miedznej to były piyrwej same grzyszniki. O niy! Bo jak ino ksiondz wyszeł ku łożtorzu, to ci gospodarze i gospodynie siedzieli już cicho. Bo tam som bardzo pobożni ludzie. O, ja! Tak, ta niy idzie pedzieć!...

W BIERONIU NA RYNKU

Łońskiego roku, jakoś na jesień byłech w Bieroniu, na rynku i przyposłuchałem sie tam dwom babom. Na łoko były to równiocki. Z jich godki wychodziło, że jedna z nich pochowała przed pora dniami chopa.

— Fluchcino, wycie jak mi sie tera cnie bez tego mojigo starego — pado ta po czornu — niy umia se miejsca w doma znojsć... Kaj bych ino niy wejrzała, to go widza... Co ino ło nim pomysła, to sie starom jak to bydzie dalij...

— Sie ta bydziecie starać... — pocieszo jom Mandzino — to ta drugo. — Dostaniecie po chopie trocha uwalitu i niy bydzie wom źle... Łobejrzycie... Ino sie niy starejcie...

— Padocie?... A wiela bych to tak dostała?

— Doś trocha-ście powinni dostać... Jo tyż jak wy miała chopa, co robił na grubie i sporo dostaja... Juści, bogactwo to ta niy jest źodne, ale żyć idzie. Tak ta niy idzie pedzieć... No a bez chopa sie idzie łobyjsć. I wy sie tyż łobyjdziecie... Bydziecie widzieć, godom wom...

— Jaa, tak se padocie, chop to je chop. Jak go w doma nima, to jakoś tak łobco. A choćby ino galoty w doma wisiały — to zaraz je lepij.

— Bez chopa idzie użyć... Dejcie se pedzieć. Jo to wiyim po siebie. Bele ino som po nim piniądze...

— A wiela jo tyż tak moga dostać po moim tego uwalitu?

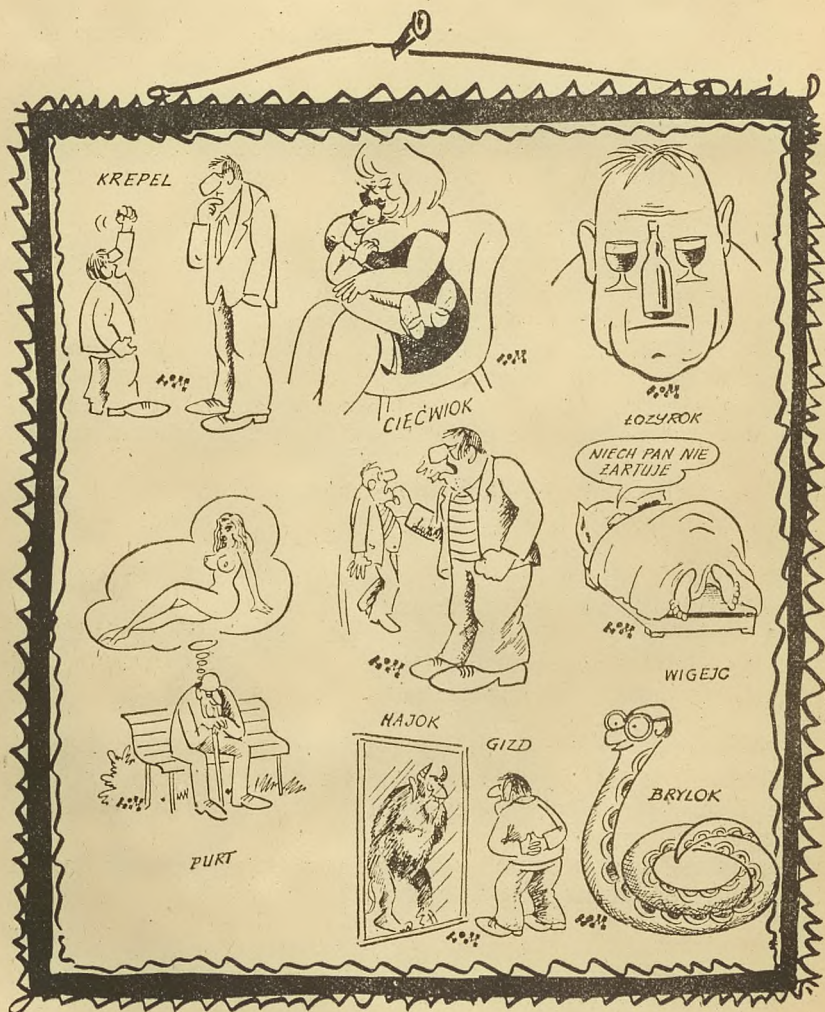
— No dyc bydziecie widzieć jak przyjdzie poczciorz. Na pewno bydziecie radzi... Ze dwadzieścia abo i wiyncyj musicie dostać...

— Jezderkusie, no katać bych tela dostała? — Niy godojcie ino... Jakbych jo tela dostała, to bych sie już tak niy starała... niy starała. I za chopym by mi sie tak niy cło... Jak to je dobrze wydać sie za grubiorza!

No widzicie, padom wom — dobrze jest czasym iść między ludzi i przyposłuchać sie, co godajom.

Alojzy Lysko

Z GALERII TYPÓW ŚLĄSKICH



FEDRUJEMY NA WESOŁO

Stary cieśla, któremu przydzielono do pomocy trzech nowo przyjętych pracowników pochodzących spod Przasnysza objaśnił im zadanie, jakie brygada otrzymała na fedrunku od sztygara.

— Zarozki ze szychty wypniemy ta keta, dźwigniemy brechom ta štraba, przecisnemy se suka bez wajcha, zahoczemy jej za jajca hok i byda wom jom haspłem zaciągoł. A wy — pieronie — bydziecie śniej rozciepywać te koziołki na zol pod lewy štus a rolki pod prawy štus, a dowejcie pozór coby te najduchy sie nie skulały do waserzyjgi. Zrozumiano?

— Tak jest panie brygadzisto, tyle was zrozumiałem co mojego poprzedniego brygadzistę Kaszuba, który chciał mnie nauczyć rybołówstwa.



14-letni syn przodowego Kowolika przyniósł do domu świadectwo, na którym figurowało dość dużo ocen dostatecznych. Zawiedziony ojciec karci syna wypominając mu, że rodzice po to ciężko harują, aby swoim dzieciom zapewnić dostatni byt i perspektywę na przyszłość. Zaś dzieci, zamiast okazać wdzięczność pilnością i pracowitością w nauce — przysparzają rodzicom zmartwień przynosząc takie właśnie świadectwa.

Na to synek:

— Tato, trujesz jakbyś sam do szkoły nie chodził. Chyba wiesz, że to świadectwo nie ja wypisywałem tylko mój wychowawca.

Spotkali się dwaj koledzy zatrudnieni na sąsiadujących ze sobą kopalniach
 — Erwin, słyszałem że na waszej kopalni bydzie dźwigano wieża szybowo.
 — Nie godej, a po pierona?
 — Ponoć wom z fabryki postali za długo lina wyciągowo i sie pierona nie może śmieścić w szybie.



Przychodzi sztygar do przodka i zastaje górników na pogaduszkach. Świecąc sobie lampą zagląda do wszystkich kątów i pociąga nosem.

- Słuchejcie przodowy, cosik mi tu pieronem śmierdzi!
- Nic nie czuja, panie stajger.
- Ale nie wiecie czym mi tu w waszym przodku śmierdzi?
- Chłopy, czujecie co? — pyta przodowy.

— Nie — odpowiadają chóralnie współpracownicy.
— Śmierdzi mi tu pierońskim lenistwem — stwierdza sztygar.
— Terozki richtig czuja, ale wierzcie mi panie stajger, że dopóki wos tu nie było, nic nom tukej w przodku nie śmierdziało.

* * *

— Jonek — potrzebują pieronem nowe opony do auta.
— Wczorej — widziolech — były w „Gewexie”.
— O pierona, a przedwczoraj żech kupił tepich, dwie deki i brytfanka no i udolech na to wszystkie moje „gewiży”.

* * *

Z „dojazdówki” wrócił do Domu Górnik a późną nocą młody górnik spod Ostrołęki i budzi swojego krajana, z którym dzielił pokój.

— Stachu, śpisz to?
— Nie, a co chcesz?
— Krystyna cię kazała pozdrowić.
— Dziękuję.
Po chwili rozpakował walizkę i otworzył szafę.
— Stachu, śpisz to?
— Nie, a co chcesz?
— Krystyna cię kazała pozdrowić!
— Dziękuję.
Powkładał przywiezione z domu rzeczy do szafy i zapalił papierosa.
— Stachu, śpisz to?
— Zасыpiam, a co znowu?
— Krystyna cię kazała pozdrowić!
— Do jasnego groma — już mi to dwa razy mówiłeś!
— A powiem ci to jeszcze wiele, wiele razy, bo mnie Krystyna prosiła, abym cię stokrotnie pozdrowił.

* * *

Nauczyciel w Wieczorowym Technikum Górniczym pyta słuchacza przygotowującego się do matury:

— Panie Pachotczyk, niech mi pan szczerze powie, do której książki zaglądał pan ostatnio najczęściej?
— Do książeczki „G”.

* * *

Z baru „Pod pyrlikiem” bufetowo do kupy z kelnerką wykludziły za próg Zeflika Kołoczka, bo trza już było bar zawierać. Zeflikiem pora razy tyrpnęło, słoz z bortstajna na gościniec, prasnył jak dugi i łostoł leżeć z lewym uchem na asfalcie. Wtem nadjechał radiowóz MO i dwóch milicjantów podeszło do leżącego Zeflika mówiąc:

— Obywatelu, natychmiast wstańcie!
Na to Zeflik:
— Pierona, terozki nie moga.
— Wstańcie natychmiast!
— Dyc wom padom, że terozki jeszcze nie moga wstać, bo podsluchuja naszego stajgra, jak na felezunku nocnej szychty dzieli moim kamratom robotę i pieronem żech ciekawy, czy bych też miał dzisioj szychta w ścianie, abo posłołby mie na pańsko.

* * *



- ALOJZ ? ... JASIU ? ... KARLIK ? ... NIE ? TO KIDZIABEŁ ?

U schyłku dnia wracają z podwórza do mieszkania dwaj kilkuletni bracia niesamowicie umorusani. Matka nad nimi zátamuje ręce, zaś ojciec ze spokojem powiada:

- Przychodzi nam zatem podjąć ważną decyzję.
- Jaką — pyta matka.
- Czy te — wskazując kciukiem na dzieci — myjemy, czy też robimy nowe.

* * *

- Franek, tyś słyszał jak Karlik po toniu doszedł do kolorowego telewizora?
- Nie.
- Kupił aparat czarno-biały i som se go ofarbił.

* * *

— Łód czasu jak żeś się ożynił, przestoleś Albin sie z nami kompłować. Katać żeś sie tak drap doł wcisnąć pod ten babski lać?

— Rod bych też z wami pochachorzył, inoś co chca popołędniu z chałpy wyleźć — moja ślubno poczyno mi jamrać.

— Chopie, my terozki chodzimy do „Anatola” — wiesz jak tam jest fajnie? Wypijemy se po ladze piwa i zaczynomy szkacić. Potym zaś se wypijemy po jednej ladze i szkacimy dalej. I tak se popijomy i szkacimy — pa-

dom ci, tam jest rychtig fajnie. A ta twoja ślubno se musisz zawczasu wychować. Jak ci zaczniesz jamrać, to jej fest przypol i bier się z chałpy. Dzisiaj na cie czekamy!

Nazajutrz:

— Albin, tyś już w naszej ferajnie blank przepod! Czamu wczorej ku nom nie przyszei?

— Jak zech sie z chałpy wybieroł, moja ślubno poczyna zarozki jamrać. Wnerwiłech sie pieronowo, wzion zech pasa, ślubno zech wypion bez kolano, dźwignoi zech jej szaty i jakzech jej miol przypolic, toch se tak pomysloł... że w doma tyż może być fajnie.

* * *

Ojciec spod Ostrołeki pyta syna górnika:

— Kazek, a co tam robisz na tej twojej kopalni?

— Pracuję przy rabunku!

— Synku, synku, a ja od dzieciństwa uczyłem cię jak należy uczciwie pracować i żyć...

* * *

Jedyn sztajgier, co lepiej umioł godać niż fedrować tak tłumaczył sie dyrektorowi kopalni:

— Panie dyrektorze, przeca jo jest zawsze tam, kaj jest zapieprzone, a zapieprzone — jak wyicie — jest wszyńdzie. To i jo musza być wszyńdzie. Jak zech jest wszyńdzie, to mnie nima nikaj. A jak mnie nima — to żądajcie łody mnie za wiela...

* * *

Wiluś ciągnął tyskie „Książęce” i przyglądol sie orkiestrze z „Ziemowita”, w kierej Broniek Latocha groł na puzonie. Wreszcie, kiedy orkiestra zakończyła występ podszedł do puzonisty i pado:

— Brono, pokoz ino ta tromba... No pieronie, katać tych rułek niy dałoby sie wyciągnąć...

zebrał i opracował: *Zenon Szeliga*

Z GALERII TYPÓW ŚLĄSKICH



POZNAJ DRZEWO SWEGO ŻYCIA

JABŁOŃ (24. XII—1. I, 25. VI—4. VII) — Łagodna i spokojna, lubiąca życie rodzinne. Dobra z niej gospodyni. Jest domatorką, ceniącą komfort zewnętrzny i wewnętrzny. Posiada inteligencję typu konkretnego, zdolności do szycia i prac wymagających zręcznych palców. W uczuciach bywa czuła, marzycielska, bez ambicji przywódczych. W życiu chodzi jej głównie o bezpieczną stabilizację i aby ją osiągnąć gotowa jest znieść wiele przeciwności losu, a także kapryśów partnera.

JODŁA (2.—11. I, 5—14. VII) — Indywidualistka, posiada umysł analityczny, często wybitną inteligencję i ogromne ambicje. Lubi chadzać własnymi drogami. W pożyciu bywa kapryśna i trudna, lecz uczciwa i szlachetna. Dlatego warto jej wybaczać te słabości, by zdobyć jej przyjaźń, którą obdarza nielicznych. Jeżeli odnajdzie swą życiową pasję, umie poświęcić jej się całkowicie. Uczuciowy chłód może niejednokrotnie zrażać do niej partnerów.

WIĄZ (12—24. I, 15—25. VII) — Uczciwy i skromny, raczej bez wymagań. Ceni prostotę i spokój, szczerść i uczciwość. Delikatnego zdrowia, często choruje. Bardziej przemawiają do niego konkrety, niż najwznioślejsze idee, toteż nie zaimponują mu ludzie z wyobraźnią, fantazji. Każdy pomysł rozpatruje pod kątem możliwości jego zrealizowania. W miłości — żarliwy i wierny, lubi jednak dominować nad partnerem i rzadko na tej płaszczyźnie wykazuje tolerancję.

CYPRYS (25. I—3. II, 26. VII—4. VIII) — samodzielny i surowy z wyglądu i stylu bycia. Pragnie żyć skromnie i bezkonfliktowo, lecz nie samotnie. Szuka towarzystwa osób podobnych sobie. Miłośnik przyrody o usposobieniu marzycielskim, uciekający przed codziennymi kłopotami w świat wyobraźni i refleksji. Pozornie szorstki, mało wylewny, gdy spotka odpowiedniego partnera, kocha wiernie i głęboko. Nie uznaje przemocy fizycznej, brak mu silnego charakteru i stanowczości.

TOPOŁA (4—8. II, 5—13. VIII) — Urodziwa, lecz nie potrafi żyć pogodnie. Stałe stwarza sobie problemy, bojąc się wymyślonych nie-



szczęść • czy np. starości. Psychicznie uzależniona od wpływów otoczenia. W sytuacjach trudnych okazuje się odważna, dobrą organizatorką. Prywatnie — lubi rozczulać się nad sobą, obarczając winą za własne niepowodzenia los, okoliczności i inne osoby. Wobec innych — krytyczna. Ma fantazję i wyobraźnię. W uczuciach i małżeństwie trudna, bo zmienna w zależności od nastroju i pogody.

WIĄZOWIEC (9—18. II, 14—23. VIII) — Mocny, cieszy się dobrym zdrowiem. Lubi luksus ale potrafi dobrze ułożyć sobie życie w każdych warunkach. Optymistycznie patrzy na świat, lecz bywa dumny uparty, ambitny i ogromnie drażliwy na punkcie własnej osoby. Żyje dynamicznie, na tzw. całość. Wysoko ceni miłość, umie (gdy chce) być czuły i sentymentalny ale nie przesłania mu ona innych wartości, z których także chce korzystać. Toteż partner zazdrosny o czas lub „te inne” panie (panów) nie ma co wiązać się z wiązowcem.

SOSNA (19—29. II, 24. VIII—2. IX) — Wie, czego chce od życia i zawsze na wszelki wypadek żąda więcej, niż może otrzymać. Często miewa pecha w miłości, jako że zbyt łatwo angażuje się w każdą znajomość, lecz nie poddaje się klęskom. Działa szybko i najczęściej skutecznie, nie znosi kręactwa, gmatwania spraw, niejasnych sytuacji. Jest istotą towarzyską, impulsywną, ale łatwowierną. Zdarza się, że zwiedziona pozorami, mylnie ocenia ludzi.

WIERZBA (1—10. III, 3—12. IX) — Delikatna, z wdziękiem jej nieco tajemnicza uroda zwykła pociągać płęć odmienną. Wrażliwa na przyjemności zmysłowe, posiada jednocześnie naturę melancholijną i poetyczną. To sprawnia w skłonna jest do cierpień miłosnych. W sytuacjach krytycznych wykazuje jednak odwagę, jest dzielna bezkompromisowa i niezależna w sądach. Umie rozwiązać problemy trudne, wymagające polotu i inteligencji.

LIPA (11.—20. III, 13.—22. IX) — Ma dużo uroku i szalone powodzenie wśród pici odmiennej — zwłaszcza panie swą lekliwością, delikatnością, poddańczą biernością wzbudzają w mężczyznach chęć opieki nad kruchą istotą. Lubi wygodę i stabilizację życiową. W uczuciach szuka pokrewnej duszy, ale jeśli ją znajdzie, bywa dość niestała i ogromnie zazdrosna. Chce mieć pewność, że partner należy wyłączyć



nie do niej i wiecznie szuka potwierdzenia swojej tezy. Podejrzliwa, lecz w towarzystwie umie być nadzwyczaj miła.

LESZCZYNA (22—31. III, 24. IX—3. X) — Często wątła i niepozorna, posiada magiczny wręcz urok, zmuszający do kochania jej. Rozumie życie i umie się do niego przystosować. Doskonały przyjaciel, ale (tuwaga!) i groźny wróg posiadający intuicję, wyobraźnię i wiele mądrości. Niezależna, nierówna, potrafi zaskakiwać, także w miłości. Mało kto na dłużej sprostą jej wymaganiom. Może dlatego rzadko osiąga pełnię szczęścia osobistego.

JARZĘBINA (1—10. IV, 4—13. X) — Z pozoru krucha i delikatna, faktycznie przejawia dużą odporność psychiczną. Posiada wdzięk, dobry gust (panie błyszczą elegancją) i łatwość adaptacji w nowych warunkach i sytuacjach. Jest samodzielna, ambitna, w zasadzie lojalna, ale skomplikowana wewnątrz i trudna we współżyciu. Umie być ofiar-na, ale i wymagająca. Rzadko zapomina i całkowicie przebacza tym, którzy jej w jakiś sposób zaszkodzili. Nie jest człowiekiem sukcesu.

KLON (11—20. IV, 14—23. X) — Ceni modę i urodę, ubiera się starannie, oryginalnie. Energiczny, ciekawski, posiada umysł przenikliwy, wszechstronny i szerokie horyzonty myślowe. Ale jednocześnie kawał z niego samoluba. Lubi dominować i błyszczeć w towarzystwie, pieczołowicie dba o własne interesy, nawet jeśli sukces wymaga bezwzględności wobec innych. W uczuciach skomplikowany, nietolerancyjny, potrafi całkowicie podporządkować sobie partnera.

ORZECH (21.—30. IV, 24. X—2. XI) — Stylowy i pełen sprzeczności. Kapryśny z niego egoista, ale miły kumpel umiejący imponować swą oryginalnością. Nieśmiały w działaniu, odważny w pomysłach. Często posiada uzdolnienia twórcze. Ten życiowy strateg ceni swą odrębność i mało kogo darzy szacunkiem. Nie istnieją dla niego uświęcone ideały, ani doskonałości. W uczuciach zmienny, krańcowy. Czuły i zadowolony, skłonny do cierpień, ale i do zadawania ich.

JAŚMIN (1—14. V, 3—11. XI) — Ruchliwy, żywy, towarzyski. Z pozoru wesoły i nieczuły, w istocie wrażliwy i... drażliwy na punkcie własnej osoby. Umie po mistrzowsku, dyplomatycznie załatwiać swoje



sprawy, to rzucając komplementem, tam trafną uwagą i uśmiechem. Często dobrze zarabia, ale łatwo traci pieniądze. Posiada cechy kabotyńskie, swoiste poczucie humoru, brakuje mu natomiast wybitnie silnego charakteru. Dla przyjemności łatwo zgrzeszy... W miłości lepszy z niego ojciec, niż mąż i kochanek.

KASZTANOWIEC (15—24. V, 12—21. XI) — Silny, pełen życia i wigoru ceni sprawiedliwość i umie o nią walczyć. Bezpośredni, nieco niezręczny w stosunku z ludźmi, ale konsekwentny i rozważny w postępowaniu. Posiada niezły zmysł obserwacji, lecz pozbawiony jest poczucia humoru i wszystko traktuje śmiertelnie poważnie. W miłości bywa jednocześnie purytański i zmysłowy. Trzyma się swoich zasad moralnych i tego samego wymaga od partnera, ale jak pokocha, to prawdziwie.

JESION (25. V—3. VI, 22. XI—1. XII) — Cechuje go inteligencja, spora intuicja i jeszcze większa ambicja. Trudno jednak żyć z nim na co dzień. Bowiernie ten kapryśny egoista, zazwyczaj urodziwy i elegancki, nie lubi żadnych ograniczeń i narzucania mu czegokolwiek. Nade wszystko ceni wolność. Miewa sporo szczęścia, toteż przyzwyczajony jest do osiągania sukcesów. Także miłosnych, co mu się zresztą zazwyczaj udaje. Nie jest stworzony do małżeństwa i sprzeczki, kłótnie w domowym duecie z Jesionem nie należą do rzadkości.

GRAB (4—13. VI, 2—11. XII) — Lubi zaszczyty i komplementy. Sam bez wdzięku, ceni jednak estetykę otoczenia, posiada również często zajmowania plastyczne. Konserwatywny w poglądach, pozbawiony inicjatywy, jest doskonałym pracownikiem. Obowiązkowy i prawy, zawsze starannie i dokładnie wykonuje polecenia przełożonych. Ceni dobra materialne. Jeżeli założy rodzinę, będzie pieczołowicie dbał o jej byt, mniej uwagi poświęcając potrzebom i pragnieniom partnera, które uważa za wartości drugorzędne.

FIGOWIEC (14—23. VI, 12—22. XII) — Delikatny, niezbyt piękny, lecz zawsze cieszący się dużym powodzeniem i ogólnie lubiany. Wrażliwy, pełen kompleksów, posiada usposobienie dość zmienne. Więdnie w złych warunkach, łatwo traci pogodę ducha, ale wystarczy drobny doping, by rozkwitła jego przedsiębiorczość, wyobraźnia i błyskotliwa in-



teligencja. Starą się nikogo nie urazić, nie sprawiać przykrości, ale umie być złośliwy, gdy dojrzy głupotę lub inne przywary. Doskonały materiał na współmałżonka, rzadko jednak trafia na partnera, który potrafi go docenić.

DĄB (21. III) — Pełen życia, silny i solidny, zazwyczaj dobrego zdrowia. Dumny, wytrwały i nieustępliwy, pozbawiony elastyczności w poglądach i tolerancji dla odmiennych postaw i zapatrywań. Woli czyny niż słowa, przemawiają do niego fakty, nie idee. Lepszy z niego przyjaciel, niż małżonek, bo trudno mu dotrzymać wierności jednej osobie. Zawsze też „wie najlepiej” i trzeba nie lada argumentów, by go przekonać o czymkolwiek.

BRZOZA (24. VI) — Wiotka i delikatna, najbardziej odpowiada jej życie na wsi, ale nieźle adaptuje się w każdych warunkach. Cenią jej dyskrecję, tolerancję i skromność. Nie narzuca się ze swymi poglądami, dla spokoju i zgody gotowa jest zrezygnować z wielu rzeczy. Często posiada uzdolnienia twórcze, ale nie lubi manifestować swych przymiotów. W uczuciach sentymentalna, jednak bez przesady: kieruje się w postępowaniu raczej rozsługą niż emocjami. Lojalna i wierna.

OLIWKA (23. IX) — Stateczna i spokojna, pełna wewnętrznej równowagi. W każdej sytuacji potrafi zapanować nad własnymi emocjami. To urodzony typ myśliciela i uczonego. Jest pogodna i życzliwa światu, choć nieco zbyt bierna, bez inicjatywy. Odporna na cierpienia i niepowodzenia osobiste, stara się nie okazywać złych nastrojów. W związkach uczuciowych sprawdza się jako świetny partner, nie usiłujący przesłonić sobą „całego świata”. W pełni docenia zalety i talenty tego, kogo kocha.

BUK (23. XII) — Nawet na starość czuje się młody duchem. Często osiąga duże sukcesy zawodowe. Interesowny, pomysłowy, posiada „handlowego nosa”, przy czym w interesach ceni solidność i uczciwość. Podstawową wadą jest jego despotyzm. Nie znosi bowiem sprzeciwu, choć gdy uzna wyższość przeciwnika, darzy go najwyższym szacunkiem. W miłości nie wykazuje fantazji, ale potrafi zdobyć sympatię otoczenia i uczucia płci odmiennej, może dlatego, że posiada słabość kokietowania innych, eksponując swe zalety.

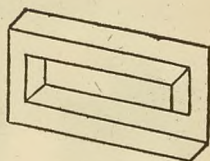
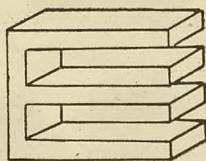
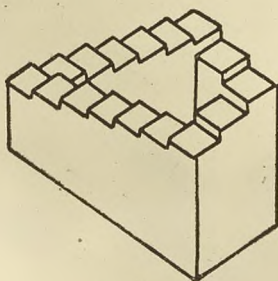


NIBY OCZYWISTE

Oko ludzkie jest najdoskonalszym narządem, jakim mogła obdarzyć człowieka przyroda. Ale ten wspaniały narząd potrafi być też zwodniczy. Zadufany w swoje możliwości często przedstawia człowiekowi nieprawdziwy obraz postrzeganego świata zewnętrznego.



1. Czy jesteś spostrzegawczy?
Co widzisz? Jedną postać kobie-
ty? A może więcej?



2. Wyszukaj błędy rysunkowe w modelach.
Jeśli Ci się to udało, masz bystre oko.

Na wczasach

MŁODY GÓRNIK NASZEJ KOPALNI
IGNAC WYSIADŁ NA JEDNEJ
Z MAZURSKICH STACJI...



PRZYJACIELE IGNAC I DOMIN
DOCIERAJĄ W KON-
CU DO OŚRODKA WCHA-
SOWEGO.

IGNAC NAPOTYKA DOMI-
NA, KOLEGĘ Z „ZIEMOWITU

SERWUS
DOMIN!

SERWUS
IGNAC! TY TEŻ
NA WCZASY?

ALE TU
CUDOWNIE!

IGNAC, ALE
DZIEWOJE..!



NA WIECZORKU ZAPOZNAWCZYM



NASTĘPNEGO DNIA DOMIN ZE
SWOIMI POZNANYMI DZIEWOJA-
MI DZIARSKO MASZERUJE NA
PLAŻĘ. IGNAC PODAJA Z TYŁU

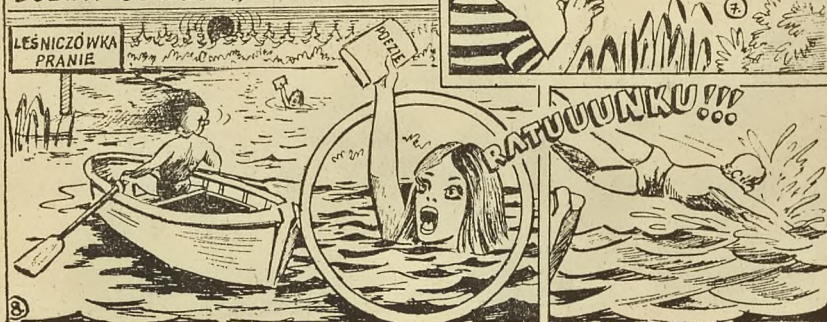
TO CHYBA
NIE GÓR-
NIK?

DOMIN Z DZIEW-
CZYNAMI ODPEY-
WA ZAGŁÓWKĄ...



... W GODZINĘ PÓŹNIEJ IGNAC NA ŁODZI
DOBIA DO BRZEGU, GDY NAGLE...

LEŚNICZÓWKA
PRANIE





Rysunki: E. Tomenko
Tekst: A. Leszczy 12

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1 — syn Piasta Kołodzieja, 5 — wykorzystywanie, pozyskiwanie, 12 — słynne uzdrowisko we wsch. Belgii u podnóża Ardenów, 13 — urobienie, wydobywanie węgla, 15 — owoc arachidu, 16 — postępowy pisarz brazylijski, autor powieści „Kakao”, 18 — na południe od Egiptu, 21 — tutaj jest Górny, 22 — twarde i lekkie stop, używany przy produkcji samolotów, 23 — jest w niej miejsce także dla baranów, 24 — oficer w sułtańskiej Turcji, 26 — rzeka w zach. Austrii, 28 — taniec modny w latach 60-tych, 31 — 23. VIII. — 22. IX., 34 — słynny niegdyś polski sprinter, 35 — niezbyt smutna dzielnica Mysłowic, 36 — załącznik, 37 — pierwsza strona medalu, 39 — naprawiacz, 41 — każdy na wagę złota, 42 — zwierchnik na dole, 43 — Pogorze, 45 — od niej wzięła się nazwa górnik, 46 — część korony kwiatowej, 48 — kopalnia ma ich więcej niż pokój, 49 — lipcowa solenizantka, 53 — nad kreską i w samochodzie, 55 — ich monografię napisał Orest Spiralski, 56 — 7,5 godziny w kopalni, 58 — imię bohaterki „Lalki” B. Prusa, 60 — przedmiot wystawiony na pokaz, 64 — honorowa górnicza, 66 — w kopalni lub przy armacie, 71 — tyska spółdzielnia ogrodnicza, 72 — część okresu geologicznego, 73 — rurka, 75 — kuzyn kota, 76 — wysła promieniowanie elektromagnetyczne, 79 — roczniki, kroniki, 81 — poprzedza rozdanie kart, 82 — szczególny czworokąt, 83 — żółta lub brunatna farba, 84 — staruszek do orzechów, 85 — uzdrowisko nad rzeką Lahn (zach. RFN), znane z produkcji soli w pastylkach, 87 — piłka nożna, 84 — miejsce na dnie oceanu, 96 — port w zach. Sycylii, niedaleko Palermo, 98 — pasożytuje w jelicie grubym, zwłaszcza u dzieci, 99 — czerwone drzewo w rezerwacie, 100 — włoska złotówka, 101 — do transportu urobku węgla, 102 — tędy do serca mężczyzny, 103 — góra z filtrem (lub bez), 104 — rynek w starożytnej Grecji, 105 — załoga łodzi wioślarskiej.

PICNOWO: 1 — jeszcze nie zazdrość, a już dzielnica Tychów, 2 — miasto wojewódzkie na północy, 3 — taśma, wstążka, 4 — dzieło Homera, 5 — utwór w antycznej poezji greckiej, 6 — poszła do Gogolina, 7 — śląski łobuz, gajgan, 8 — sortyment węgla, 9 — rzeczoznawca, 10 — górnicze wyrobisko korytarzowe, 11 — inaczej zakładnik, anagram słowa: ataman, 14 — australijski struś, 17 — tajniki wiedzy lub sztuki, 19 — stroma ściana skalna, 20 — dźwięk „a” podwyższony o pół tonu, 25 — dialekt, 27 — dźwignia nożna, pedał, 29 — znany zapaśnik śląskiego klubu (bez „R”), 30 — przejście w gmachu lub w kopalni, 31 — skrócona agencja prasowa, 32 — filtr w organizmie żywym, 33 — wesoły utwór sceniczny, 34 — wakacje, 38 — na trawie lub na lodzie, 40 — jednostka pracy lub zakład tworzyw sztucznych, 44 — wniesiony udział, 47 — oddział fabryki włókienniczej, 50 — kaprys, dziwactwo, dąs, 51 — płynie przez Weronę, 52 — niewielka przestrzeń, kawałek, 53 — np. pochwalny, 54 — trzeba płacić żeby mieszkać, 57 — góra obok kopalni, 59 — w parze z Lotaryngią, 61 — zestaw gatunków i odmian węgla, 62 — konkretna propozycja, 63 — postać starego Ślązaka wylansowana przez „Echo”, 65 — kochanek, 67 — urabia węgiel, w przodku, 68 — działał m.in. w Łędzinach i Mikołowie, 88 — wydobyty węgiel, 89 — miejsce w klasyfikacji, 90 — roślina meksykańska kwitnąca tylko raz w swoim życiu, 91 — wielobarwny łuk, 92 — różnica między przychodem i rozchodem, 93 — patronka solników, 95 — konkurencja lekkoatletyczna, 97 — lokator budy.

Adam Ząbek

